NR. 4 i 5. LWÓW, LIPIEC i SIERPIEŃ 1914. ROK 1.

SPRAWA POLSKA

MIESIĘCZNIK
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO

KOMITET REDAKCYJNY:
LWÓW — KRAKÓW — POZNAŃ — WARSZAWA.

TREŚĆ NUMERU 4 i 5.:

ADRES REDAKCYI I ADMINISTR.: LWÓW, PL. DĄBROWSKIEGO 7.

WARUNKI PRENUMERATY:

Rocznie w krajach austryackich K 12. — w Niemczech Mk. 12. — w innych krajach europejskich Fr. 18. — w Ameryce Dol. 4. Półrocznie i kwartalnie w odpowiednim stosunku.

Pojedynczy zeszyt: w Austryi K 1.20 h. — w Niemczech Mk. 1. — w innych krajach europejskich Fr. 2. — w Ameryce Dol. —·50.

Redakcya przyjmuje w środy i soboty między godz. 6—8 wieczorem w lokalu przy Pl. Dąbrowskiego 7.

Nr. 4 i 5. LWÓW, LIPIEC i SIERPIEŃ, 1914. Rok I.

SPRAWA POLSKA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM ŻYCIA NARODOWEGO

PRACA ORGANICZNA I SPRAWA NARODOWA.

„A potem, mości panowie, rozjedziem się do domów i przy pomocy Bożej rozpoczniem żniwa z tą myślą, żeśmy w dniu dzisiejszym ojczyznę ocalili".

Temi słowami Krzysztof Opaliński, wojewoda poznański, usypiał sumienie pospolitego ruszenia po dokonanym akcie kapitulacyi pod Uściem. Rzeczpospolita wysłała go po to, ażeby bronił granic ojczyzny przed wrogami. Ale ten szczególny wódz ukorzył się przed wrogiem, a zgromadzoną szlachtę odesłał do domów na żniwa. Jak widzimy, program pracy organicznej już w 17-tym wieku miał zwolenników, chociaż ci ani się domyślali, że o całe dwa wieki wyprzedzili słynne popowstaniowe wskazania.

Któż wątpi o konieczności i pożytku żniw? Niemniej wszakże uważamy sprawców nikczemnej kapitulacyi za zdrajców, a tych, którzy skwapliwie ich posłuchali, za zbiegów z pola walki.

Hasło pracy organicznej przewodniczyło powszechnemu zbiegostwu po ciężkich chwilach powstania styczniowego. Nakazywało zaniechać walki, a jąć się pracy.

Jest różnica pomiędzy ówczesnem a dzisiejszem zbiegostwem, lecz tylko w dziedzinie formalnej odpowiedzialności. Tamci mieli nad sobą władzę narodową, która ich posłała na określone pole walki i mogła im wymierzyć zasłużoną karę. Po dniach ostatniej klęski, jak i obecnie, niema karzącej ręki, zresztą winy zbiegostwa dopuszcza się całe społeczeństwo. Niemniej wszakże naród, rozważany jako całość, tak dobrze przed dwoma wiekami, jak i w naszych czasach, płaci całym swym losem i przyszłością następnych pokoleń za zbrodnię zbiegostwa z pola walki, bez względu na to, jakimi eufemizmami swą haniebną ucieczkę osłania.

Powiedzmy bowiem wyraźnie: hasło pracy organicznej nie posiada wcale treści pozytywnej i jest tylko eufemizmem dla oznaczenia rzeczy, do której wstyd przyznać się otwarcie. Zaborcy nigdy nam nie obiecywali, że w razie naszej lojalności wezmą nas na utrzymanie i uwolnią od konieczności pracy zarobkowej. W tych, czy innych warunkach politycznych, na drodze do pełni życia narodowego, czy na drodze do zagłady obec-

nych jego resztek, nie możemy się uchylić od obowiązku pracy; ta bowiem jest koniecznością życiową, niezależną od naszych aspiracyi i nadziei, od takiego lub innego ukształtowania naszych losów. Pracować musi wolny obywatel przodujących krajów Europy, pracuje również wszelkiego rodzaju niewolnik. Chodzi tylko o warunki oraz o cele pracy w jednym i w drugim wypadku. Dążenie do stosownych form politycznych, do odpowiedniej sumy wolności i możności kształtowania życia zbiorowego, jest to właśnie usiłowanie utworzenia odpowiedniego warsztatu pracy na korzyść własnego społeczeństwa, a nie na użytek jego ujarzmicieli i pasożytów.

Uznawać, że powinniśmy się pogodzić z istniejącymi warunkami jako terenem pracy ekonomicznej i kulturalnej i że praca taka jest ważniejszą i produktywniejszą od walki o zdobycie innych warunków, jest to przechodzić nad sprawą narodową do porządku dziennego. Czegóż bowiem żądają i pragną nasi wrogowie? Tylko tego, żebyśmy się wyrzekli świadomych działań i celowych wysiłków na rzecz tej sprawy, ażebyśmy za wymaganiami życia i naszych potrzeb kulturalnych podążali w ramach przez nich nakreślonych i z każdym rokiem lepiej przystosowywali się do narzuconego położenia, będącego zaprzeczeniem naszej egzystencyi narodowej.

Dzieje porozbiorowe przekazały ostatnim pokoleniom smutną pamięć tych, którzy ogłosili naszą sprawę za beznadziejnie straconą i w imię konieczności życiowej nawoływali do narodowego samobójstwa. Przyzwyczailiśmy się do uważania ich za odstępców i zaprzańców, lecz sami przed sobą unikamy drażliwego pytania, jaka odległość myśli i czynu dzieliła owe samobójcze nawoływania od popowstaniowej praktyki i ówczesnych programowych wskazań. Niestety, odległość ta była niewielka. Żaden z tych odstępców nie głosił potrzeby masowej rusyfikacyi ani porzucenia religii katolickiej, sam również nie przestawał pisywać książek lub artykułów w języku polskim. Lecz zrywał wyraźnie i stanowczo z narodową ideą polską i przez to odbierał wszelkie znaczenie moralne licznym pozostałościom odrębności narodowej, które w takim razie spadają do roli ruin, czasami malowniczych, lecz częściej smutnych i zbytecznych.

O ile nie chcemy się zadowalniać konwencyonalnym fałszem, o ile nie obawiamy się spojrzeć na rzeczywistość bez różowych okularów, musimy uznać, że tylko pewne q u a n t u m taniego sentymentalizmu oraz zachowywania pewnych przepisów etykiety narodowej oddziela szerokie koła wyznawców pracy organicznej od samobójczych wskazań Grabowskiego, Rzewuskiego i ich późniejszych następców. Różnica polegała na stanowczości i konsekwencyi, w pewnym stopniu na szczerości. Kiedy tamci przechodzili nad sprawą narodową do porządku dziennego, z wyraźną myślą abdykacyjną, wyznawcy pracy organicznej robią to samo

z jakąś nieokreśloną nadzieją, że właśnie przez swój absenteizm zakładają fundamenty przyszłego odrodzenia narodowego. „Kto śpi, ten nie grzeszy“. Ta „mądra“ zasada, która od dawna stała się kanonem naszej etyki narodowej, sprawia, że patryotyzm nasz góruje w całym świecie cywilizowanym, gdyż prawie nie ma na sumieniu grzechów... To także temat dla naszej czułostkowej publicystyki.

Cóż więc robić? — zapyta niejeden z czytelników: czy porzucić pracę zarobkową i odwrócić się od różnych zadań ekonomicznych i kulturalnych?

Walka z życiem i jego potrzebami byłaby równie niedorzeczna, równie beznadziejna, a jeszcze mniej zaszczytna, niż znana walka z wiatrakami. Jesteśmy nawet zdania, że potrzeby życia, że zadania cywilizacyjne, nie będą się pytały, czyśmy już gotowi do ich przyjęcia, lecz przyjdą w swojej chwili i będą rozwiązane ponad nami i wbrew nam. Każde tego rodzaju rozwiązanie zadaje nowy cios ujarzmionemu narodowi i jest nowym kamieniem przywalającym jego więzienne podziemia.

Naród taki, jeżeli nie chce marnie zginąć, jeżeli rzeczywiście dąży do odzyskania utraconej niepodległości, musi być ożywiony tak wielką w tym kierunku żądzą, iżby ta mocą swego napięcia trzymała się wciąż na poziomie ostrych, aktualnych potrzeb, ażeby się nie pozwoliła żadnej z nich zepchnąć, lecz przeciwnie, mogła je wszystkie w swoisty sposób zabarwiać.

Potrzeby życia istnieją i ciągle każą o sobie pamiętać, lecz idea niepodległości może się także stać potrzebą życiową, musi się nią stać, o ile naród wart jest dalszej egzystencyi. Powiedział przed laty Napoleon, że Polacy muszą pokazać, iż są godni zostać narodem. W tych zwięzłych słowach wyraził wielki wódz i polityk tę prawdę, że po upadku własnego państwa naród musi się zdobyć na nadzwyczajną żądzę niepodległości, na takie napięcie ducha, ofiarności i woli zbiorowej, o jakiem prawie zapominają narody wolne i szczęśliwe. Rozprawianie o potrzebach życiowych w przeciwstawieniu do wolności narodowej musiałoby się wydać prowokującą ironią w takiem środowisku, w którem zrzucenie więziennych kajdan narzuca się powszechnemu odczuwaniu, jako najważniejsza i najogólniejsza z potrzeb życiowych. Taka potrzeba, podniecana przez ustawiczne objawy i skutki obcego ucisku, jest nieznośna, a więc wciąż aktualna. W narodzie żywym idea niepodległości jest prawdziwą potrzebą życia, w obumierającym — tylko potrzebą marzeń, przysłowiowym kwiatkiem na kożuchu zgoła odmiennej rzeczywistości.

Każde zadanie wymaga pewnej sumy wysiłków dla swej realizacyi. Wymagać też ich musi sprawa narodowa, która jest zadaniem wielkiem i trudnem. Ze szczególnym naciskiem musimy dodać, że chodzi tu o działalność, mającą na celu właśnie tę sprawę, a nie cały szereg innych, pozostających w domniemanym związku z właściwem zadaniem.

Tu właśnie ideologia pracy organicznej rości najdziksze pretensye, głosi najfantastyczniejsze złudzenia. Wszak nic pospolitszego nad następujące rozumowanie. Pocóż specyalnie mówić o niepodległości, kiedy wszyscy ludzie dobrej woli co dzień na jej rzecz pracują. Alboż kooperatywy i inne objawy naszej ekonomicznej samopomocy nie dźwigają nas, nie zwiększają naszej siły i nie posuwają nas w upragnionym kierunku? Alboż oświata ludowa, prowadzona sumiennie i umiejętnie, nie jest pewnym fundamentem narodowego odrodzenia z jego naturalnymi skutkami? I tak dalej i tak dalej.

Absurd powyższego rozumowania uderzy każdego, skoro tylko zastosujemy je do pierwszego konkretnego dzieła. Chodzi dajmy na to, o budowę kanału oceanowego. Występują ludzie, którzy badają grunt, decydują się na dany kierunek, układają plany i kosztorysy, wreszcie mają zebrać środki i wziąć się do dzieła... Aż tu powstrzymują ich inni takimi oto argumentami: Poco te roboty kanałowe? Alboż mało ludzi już oddawna dla kanału pracuje? Wszak idzie ożywiona działalność na polach, kopalniach, fabrykach, produkuje się żywność, odzież i przeróżne przedmioty, które będą konieczne lub pomocne dla przyszłych robotników kanału. Należy iść dalej po tej drodze, a każdy dzień ogólnej pracy będzie krokiem do zamierzonego dzieła...

Oczywiście podobne argumenty przyjętoby wszędzie za drwiny lub za niezdarne próby pogrzebania zamierzonego przedsięwzięcia. W zastosowaniu do sprawy narodowej, a zwłaszcza do niepodległości, to samo rozumowanie najzupełniej wystarcza szerokim kołom społeczeństwa i cieszy się wśród nich uznaną popularnością.

Pracę należy przeciwstawiać lenistwu i niedbalstwu. U nas przeciwstawia się ją walce. Dlatego też nikogo nie razi, że z hasłem pracy obnoszą się różni szlifibruki i notoryczni próżniacy, którzy z jakąkolwiek pracą nie mieli nic wspólnego.

Narody miewają okresy życiodajnej pracy organicznej, która wlewa w nie nowe siły i jest właściwem źródłem późniejszych zwycięstw wojennych i politycznych. Taki okres miały rozbite Prusy po Jenie. Powróciły do niego po roku 1815 i kontynuowały długo i wytrwale, przygotowując Sadowę i Sedan.

Okresem rzeczywistej pracy organicznej, jakkolwiek nie dość intenzywnej i wszechstronnej, był dla nas kilkunastoletni przeciąg czasu przed Sejmem czteroletnim. W znacznej mierze pod to pojęcie podchodzi również okres Królestwa Kongresowego.

O pracy, którаby rzeczywiście była „organiczną“, którаby naprawdę sprowadzała przyrost sił narodowych, nie może być u nas w czasach popowstaniowych mowy. Wszystko to nic innego, jak eufemizmy i frazesy zwolenników bierności, wygodnego spokoju i istniejącego s t a t u s

quo. Nasza bezmyślna publicystyka wciąż paple o „organizmie narodowym“, jak gdyby naród, pochłonięty przez obcą państwowość i pozbawiony instytucyi, mógł pozostać organizmem.

Naród bez instytucyi — to organizm bez organów. W tej postaci jest on tylko materyałem biologicznym, pożeranym z roku na rok przez organizmy inne, którym nie brak sprawnych organów.

Zamiast przyrostu sił narodowych ewolucya ekonomiczna przynosi zgoła odmienne skutki. „Kraj Przywiślański“ — powiedział niedawno generał-gubernator Żylińskij — węzłami ekonomicznymi coraz mocniej zrasta się z Rosyą. Czyście to słyszeli, wy, panowie od pokojowej ewolucyi, mającej zrealizować nadzieje narodowe? I czy możecie z czystem sumieniem zarzucić satrapie moskiewskiemu kłamstwo?

Owo zrastanie — to asymilacya polityczna, to nasza zagłada jako narodu historycznego. Odwrócić ten los może tylko popęd samozachowawczy samego narodu, jeżeli przed otwartą przepaścią wydobędzie z niego wielkie siły, jeżeli wykrzesze ze zbiorowego ducha nienawiść niewoli, żądzę walki z wrogami i namiętne pragnienie wyzwolenia ojczyzny. Taką alternatywę stawia przed nami logika sytuacyi, taką widzi chłodny, nie bojący się spojrzeć prawdzie w oczy rozum. Kto nie chce ginąć, musi drogo za prawo życia zapłacić. *F. Notus.*

ZŁUDZENIA A RZECZYWISTOŚĆ.

I.

Wojna japońska, rozpoczęta lat temu dziesięć w lutym 1904 r., wiąże się z zapoczątkowaniem nowej ery reform w polityce wewnętrznej państwa rosyjskiego. Przeżytkiem prawnym, dla Królestwa szczególnie dokuczliwym, przytem drastycznie z duchem czasu niezgodnym i dawno już na Zachodzie należącym do wspomnień, były przepisy, ograniczające wolność religijną. Jako pierwszy krok ku reformie wydany został w roku 1904 Ukaz tolerancyjny, pozwalający, między innemi, na przechodzenie byłych unitów i prawosławnych na katolicyzm. Potem przyszły inne reformy na korzyść Polaków i polskości. Ukaz z dnia 30. kwietnia 1905 r. pozwalał na wykładanie religii katolickiej, jak i innych obcych, w języku ojczystym uczniów. Ukaz z dnia 14. maja 1905 r. rozkazał przywrócić wybory szlacheckie w 9 guberniach Litwy i Ukrainy; wchodząc w życie 14. listopada 1905, jednocześnie znosił ograniczenia językowe, wobec czego rozporządzenia administracyjne Murawiewa i jego następców traciły siłę; na Litwie i Ukrainie przestał istnieć szereg zakazów, niedopuszczających wydawania polskich pism peryodycznych, istnienia teatru polskiego, wywie-

szania szyldów nie-rosyjskich, obejmowania przez Polaków posad i urzędów; pozwolono na kupowanie ziemi przez Polaków i wogóle nieprawosławnych. Jednocześnie, zarówno w Królestwie jak i w całem państwie, drogą ustępstw, początkowo nieujętych w żadne normy prawne, prasa zyskiwała coraz większą swobodę, uzyskano częściowo możność zgromadzania się i niejaką wolność słowa. Królestwo otrzymało możność zakładania, drogą inicyatywy prywatnej, szkół polskich; pozwolono na rozszerzenie zakresu języka polskiego w szkołach istniejących; korzystając z ukazu tolerancyjnego, 200.000 byłych unitów przeszło na katolicyzm; w okręgu naukowym wileńskim wprowadzono wykład religii katolickiej w języku polskim i litewskim; na Litwie i Ukrainie język polski znów począł rozlegać się na zebraniach publicznych, powstała, oddawna tam niewidziana, prasa peryodyczna polska.

Po manifeście 17. października, gdy w Królestwie poczęły się mnożyć uchwały gmin za przywróceniem języka polskiego w urzędzie gminnym i w sądach, został ogłoszony stan wojenny, motywowany, w drugim komunikacie urzędowym, twierdzeniem, iż „wszystkie klasy ludności polskiej i wszystkie stronnictwa polityczne owładnęła myśl o autonomii polskiej“. Odwołany 1. grudnia, następnie znów wprowadzony dnia 21. tegoż miesiąca, stan wojenny, skierowywał swe ostrze zarówno przeciw przejawom rewolucyjnym, których tolerować nie może żadne państwo normalnie rządzone, jak i przeciw dążeniom ku zaprowadzeniu języka polskiego w szkołach i urzędach.

Początkowo, podczas trwania stanu wojennego (zniesionego ukazem z dnia 11. października 1908 r.), władze nie stawiały przeszkód organizowaniu się towarzystw, wobec czego Królestwo, korzystając z nowych praw, pokryło się różnorodnemi organizacyami. Wkrótce jednak, w miarę, jak nacisk stanu wyjątkowego kruszył i zmniejszał ilość przejawów rewolucyjnych, zwrócił się siłą rozpędu przeciw instytucyom, świeżo na gruncie nowej legalności wyrosłym. Naprzód uległy podejrzane o socyalizm bezpartyjne związki zawodowe, poczem przyszła kolej na t. zw. polskie związki. Dnia 4. września 1906 zamknięto tow. gimnastyczne „Sokół“, liczące 16.000 członków. Dnia 14. grudnia 1907 została zamknięta „Macierz Szkolna“, w której ochronkach było 24.000 dzieci, w szkołach — przeszło 63.000 uczniów. W październiku 1908 zamknięte zostały: „Uniwersytet ludowy ziemi radomskiej“, „Towarzystwo uniwersytetu dla wszystkich“, oraz „Stowarzyszenie kursów dla analfabetów“, posiadające 20 filii na prowincyi. We wrześniu 1909 przyszła kolej na „Towarzystwo wpisów szkolnych“, liczące 55 kół w Warszawie i 129 prowincyonalnych. W sierpniu 1911 oberpolicmajster warszawski i administracya prowincyonalna wydała „upomnienie“, nakazujące ograniczenie języka polskiego w wewnętrznej biurowości towarzystw. Na wiosnę 1911 generał-gubernator warszawski ogłosił rozporządzenie, ograniczające inicyatywę prywatną w nauczaniu na obszarze powiatów wschodnich gub. lubelskiej, siedleckiej i suwalskiej. Na Litwie i Ukrainie, poczynając od kwietnia 1906, szeregiem nieprzerwanym pociągnęły ograniczenia administracyjne, sprowadzając dyskwalifikacye języka polskiego i Polaków do norm istniejących w r. 1904. Wreszcie rozpoczęły się wyjaśnienia reformy, którą swego czasu sam rząd uznał za najbardziej elementarną: w połowie r. 1912

okólnik warszawskiego generał-gubernatora do władz kościelnych katolickich dał przepisy, niezbędne dla osób, pragnących przejść z prawosławia na jedno z obcych wyznań chrześcijańskich. Postanowienie ministerstwa z marca 1913 nadało władzy szkolnej prawo rozstrzygania narodowości ucznia w wypadkach, gdy chodzi o zdecydowanie, w jakim języku ma słuchać wykładu religii. Tym sposobem najpierwsza i najbardziej zasadnicza z reform ostatniej doby stała się polem komentarzy, przenikniętych duchem administracyi z czasów ministra Plewego.

Stanowisko rządu centralnego i Dumy względem Polaków, również określiło się zupełnie wyraźnie. W nowych prawach zasadniczych z dnia 23. kwietnia 1906 pominięto samą nazwę Królestwa Polskiego; w pierwszej mowie tronowej nie było wzmianki o Królestwie, jako całości odrębnej. Do tego tonu dostosowali się, z „kadetami" na czele, reprezentanci społeczeństwa rosyjskiego, w odpowiedzi Dumy na mowę tronową, unikając wzmianki o Polakach. Reformą praw zasadniczych z dnia 16. czerwca 1906 liczba mandatów polskich z Królestwa została zmniejszona z 37 na 12, i uniemożliwiono, poza gub. wileńską i kowieńską, wybór Polaka na Litwie i Ukrainie. Tak przygotowana trzecia Duma nie tylko nie stawiła żadnych przeszkód polityce organów administracyjnych Królestwa, lecz sama szła nieraz dalej, niż uczyniłaby to biurokracya, odcięta od społeczeństwa rosyjskiego. Niezadowolona projektem rządowym wyodrębnienia Chełmszczyzny, trzecia Duma zaokrągliła projektowaną gubernię nowymi szmatami ziemi i pogłębiła szereg ograniczeń polskości. Dnia 14. stycznia 1912 kolej warszawsko-wiedeńska stała się własnością rządową, przyczem w Dumie za projektem upaństwowienia głosowali również „kadeci". Samorząd dla miast Królestwa, początkowo obiecywany jako rekompensata za Chełmszczyznę, został w komisyach dumskich tak zmieniony, że wyszedł stamtąd jako nowe narzędzie rusyfikacyi Królestwa.

Ten krótki przegląd najważniejszych dla nas wypadków unaocznia, iż polskość cieszyła się swobodą największą w krótkim czasie, związanym z wypadkami na dalekim Wschodzie i poprzedzającym Manifest 17. października. Okruchy praw polskości, jakie zachowały się dotychczas, pochodzą z tamtego okresu. Era konstytucyi i Dumy nie tylko nic nam dodatniego nie przyniosła, lecz pochłonęła szereg ustępstw, z jakich chwilowo korzystaliśmy poprzednio, i stała się rodzicem szeregu nowych, na wielką skalę zakreślonych, zarządzeń antypolskich. Zarzadzeń tych sprężyną jest nie tylko „biurokracya", lecz, w osobach swych przedstawicieli w Dumie, samo społeczeństwo rosyjskie, to samo społeczeństwo, o którem lat temu dziesięć głoszono, iż z antypolską biurokracyą nie ma nic wspólnego.

II.

Gdy cofniemy się myślą wstecz do roku 1905 i z odległości tamtych chwil niedawnych, a tak ogromnie dalekich, spojrzymy w teraźniejszość, która wówczas miała dopiero stać się przyszłością, gdy, stojąc wciąż na stanowisku ówczesnych spodziewań, — porównamy to, co

wówczas było nadzieją lub prognozą, z tem, co życie istotnie przyniosło, jakaż przepaść otworzy się przed nami!

Było rzeczą zupełnie naturalną iż, — w owych czasach zawrotnych, — im dalej na lewo stały ugrupowania polityczne, tem śmielszemi były wyznawane przez nie nadzieje co do zakresu zmian nadchodzących; entuzyazm, będący zawsze niezbędną częścią składową psychiki kół, przeciwstawiających się warunkom dnia, idzie zwykle w parze z optymizmem co do przyszłości i w jej obrazach szuka rekompensaty za gorycze teraźniejszości. Więc było rzeczą względnie normalną, że w początkach 1905 programy i spodziewania partyi skrajnych sięgały bardzo daleko. Wielu z pomiędzy ludzi, domagających się zwołania pełnowładnych ciał ustawodawczych w Petersburgu i w Warszawie, głęboko wierzyło, że staną się one faktem; tragiczną na morzu śmiercią zmarły niedawno Bielecki, z gorącą wiarą pisał słowa, iż instytucye monarchiczne w Rosyi nie dotrwają do końca 1906 roku. Zygmunt Heryng, stawiając na Komisyi organizacyjnej związków zawodowych wniosek, by w opracowywanej ustawie normalnej znalazły się paragrafy, przewidujące objęcie przez związki kierownictwa produkcyą, tem samem dawał wyraz swemu przeświadczeniu o niesłychanej rozległości zmian prawno-politycznych, umożebniających wykonanie proponowanych paragrafów. Gdy w grudniu 1905, podczas lokautu w zakładach Żyrardowskich, jeden z menerów późniejszych „umiarkowańców" proponował objęcie składów żyrardowskich w Warszawie przez delegatów partyi, gdy na kopalni „Saturn" i w kilku innych miejscowościach na prowincyi zdarzyły się próby zagarnięcia przez robotników technicznej organizacyi produkcyą, — w podłożu tych projektów niewczesnych leżała ukryta wiara zarówno w ogrom jak i trwałość dokonywujących się w państwie zmian. Jeśli nawet pominąć te objawy krańcowe, jeśli część prognoz, wówczas wypowiadanych, złożyć na karb agitacyi, starającej się wygórowanemi nadziejami wzmocnić w masach potrzebny dla siły ruchu płomień entuzyazmu, — to jeszcze pozostanie szereg faktów takich, jak przetworzenie „Kuryera Codziennego" na wyraźny organ partyjny, legalizowanie związków zawodowych, ujawnienie tajnej organizacyi politycznej, słowem — szereg faktów, wskazujących na wysoki stopień pielęgnowanych przez grupy krańcowe spodziewań co do zakresu dokonywujących się zmian. Rzecz znamienna: jedynym wówczas na lewicy polskiej niedowiarkiem w trwałość dokonanego przewrotu była garść zdecydowanych irredentystów, którym z ich pesymizmu robiono zarzut nieoryentowania się w sytuacyi.

Niemniej różowe, choć nie tak jaskrawe, były nadzieje inteligencyi, nie objętej żadną organizacyą partyjną, oraz wyraźnych ugrupowań mieszczańskich i ziemiańskich. Ludzie, oddani pracy kulturalnej, podejmowali poważną i żmudną pracę organizowania polskiego szkolnictwa średniego; kładąc fundamenta pod „Macierz Szkolną", jednocześnie lada dzień oczekiwali możności ujęcia w swe ręce uniwersytetu. Al. Świętochowski głosił, że należy słać posłów do Dumy, albowiem przyniosą stamtąd Królestwu autonomię. Postępowcy obdarzali kadetów sympatyą gorącą i ufną do tego stopnia, iż wyrażenie najlżejszego powątpiewania o trwałości obietnic, słyszanych na zjeździe w Moskwie,

uważane było za niewłaściwe; sympatye dla kadetów wypływały z poczucia wspólności ideowej, z widoku ich zainteresowania się sprawą polską, lecz podsycała je cicha wiara, iż oto niezadługo leaderzy tej partyi zostaną przewódcami większości parlamentu rosyjskiego i ministrami państwa... Wiara w nadchodzące zmiany stanowcze była wśród przedstawicieli warstw zamożnych i kształconych zjawiskiem powszechnem. Prawnicy postępowo-demokratyczni przygotowywali projekt statutu autonomicznego dla Królestwa. Inny projekt statutów autonomicznych przygotowywali działacze narodowej demokracyi, przyczem rozognił się wśród nich spór długi i zacięty pomiędzy grupą większości, a p. Steckim, któremu chodziło o usunięcie w projekcie wszelkich śladów prawno-państwowej samodzielności Królestwa, podczas gdy stronę przeciwną zadowalniało jedynie utrzymanie w jednym z paragrafów prawnej fikcyi samodzielności, sprowadzonej w paragrafach innych do poziomu czysto administracyjnego ideału, głoszonego przez tegoż p. Steckiego.... Gdy jedni z całą powagą senatorów bawili się w pisanie projektów, nigdy nie mających wejść w życie, p. Dmowski wytężał wszystkie siły, by przekonać Zamek warszawski i ministra Wittego, że on, Dmowski, i jego koledzy są regierungsfähig; tymczasem Witte przestał rządzić, nim zwrócił uwagę na te zaloty, nieudolnie naśladujące dawny krok Wielopolskiego. Późniejsi „realiści“, podawszy niezapomniany „Memoryał 23-ech“, w cichości szukali dróg do Korony, a następnie w trzydziestu sześciu mandatach poselskich z Królestwa widzieli trwałe gwarancye dla polskości i, opierając się na tej skale, zupełnie seryo przygotowywali się do odegrania roli, jaką stańczycy z powodzeniem oddawna objęli w Galicyi. Tak wyglądała działalność i zamiary różnych postępowców, endeckich i realistycznych mężów stanu, na lewo i na prawo zapewniających o swej trzeźwości wówczas, gdy wraz z nimi świat cały wirował w upojeniu. Któż winien, że skała na której budowano, okazała się tak krucha?

Zawrotny haszysz upojenia, płynący z krwawych pól Mandżuryi, w r. 1905 odurzył wszystkich, choć nie wszystkich jednakowo. W kraju panował stan wojenny, a w umysłowości polskiej jakiś, niedopuszczający trzeźwej oceny faktów, stan wzmocnionej ochrony przed myślą krytyczną.

Wśród rozmaitości różnych stopni upojenia, w rozbieżności dążeń, programów, ścierania się interesów klasowych, w pośród całego chaosu różnic istotnych i różnic wmawianych, wbrew ciągle powtarzanym zapewnieniom o zupełnem przeciwieństwie dążeń różnych warstw, istniały jednak wówczas pewne cechy wspólne ruchu politycznego w Królestwie i ogólno-polskie elementy złudzeń.

Takim wspólnym dobytkiem był przedewszystkiem sposób postawienia najważniejszego problemu politycznego, — stosunku Rosyi do Królestwa, streszczający się w żądaniu dla Królestwa autonomii. Narodowi demokraci i postępowi demokraci wyraźnie, odpowiednimi projektami statutów, określili swe stanowisko, realiści, przy całym krytycyzmie, jaki mieli dla cudzych projektów, również zasadniczo stanęli na gruncie autonomii, autonomii oczekiwali socyaliści, oczekiwały jej organy prasy partyjnej i prasy niezależnej. Program autonomiczny stał się, bez umów i porozumień międzypartyjnych, żądaniem wszystkich

partyi politycznych w Królestwie, poczynając na realistach, kończąc na rewolucyonistach. Albowiem, jeśli rozpatrzyć nawet tendencye stronnictwa, które, rządzone literą swego programu, było przynajmniej od początków r. 1905 wyraźnie irredentystyczne, — P. P. S., — okaże się, że miejsce starych haseł zajęły nowe, wyraźnie kompromisowe, i że większość tych, którzy godzili się na chwilowo modne hasło konstytuanty, zastrzegała, że ta instytucya ma określić formę politycznego bytu Królestwa w związku z Rosyą, t. j., mówiąc poprostu, stanęła równie dobrze na gruncie państwowości rosyjskiej, jak i stronnictwa inne, tak, że „Ekonomista" miał zupełną racyę twierdząc, że „partye nasze, poczynając od narodowej demokracyi i kończąc na demokracyi społecznej, zdają się nie przedstawiać różnic natury zasadniczej".*) Kto widział całą zaciętość, z jaką w 1905 różne partye zwalczały się wzajem, kto odczuwał cały ogrom niechęci, jaką ku sobie pałały, i słyszał zapewnienia o niezgłębionych pomiędzy niemi przeciwieństwach, — temu ani nie przeszłoby przez myśl, iż na punkcie problematu najważniejszego polityki polskiej partye te zgadzają się ze sobą! A jednak tak było! Hasło autonomii na gruncie państwowości rosyjskiej stwarzało łacznik, spajający w jedno kolisko — wbrew wszelkim pozorom — ludzi, którzy imię Polski przeciwstawili rewolucyi, wraz z tymi, którzy w imię rewolucyi wyrzekli się imienia Polski.

Był jeszcze jeden objaw charakterystyczny, wspólny nie tylko wszystkim polskim stronnictwom politycznym, lecz niemal wszystkim Polakom wogóle, — wiara w reformatorską twórczą moc Rosyi. Realiści zawsze pielęgnowali to przekonanie, więc z nowych wypadków czerpali tylko umocnienie w wierze i coraz silniej akcentowali zależność swego postępowania od stanowiska, zajętego przez rząd centralny. Pan Dmowski, oparłszy swe nadzieje na Wittego, nie mogąc znaleść nowej panny Błudow, sam zgłaszał się do potężnego ministra. Postępowi demokraci ufali w siłę i dobrą wolę kadetów. Socyaliści wyrzekli się inicyatywy na rzecz rosyjskiego ruchu robotniczego i na swój sposób uzależnili się od Petersburga. Każda partya w Polsce miała swą oporę w jakiejś partyi rosyjskiej i, podobnie jak ongi za dobrych czasów gospodarki wiejskiej, każdy szlachcic miał swojego żyda, tak w r. 1905 każdy politykujący Polak miał swojego Rosyanina. Krótko mówiąc, istniała ogólno-polska wiara w Rosyę. Była to cecha ogólno-narodowa, żadna klasa, ani żadna partya w Polsce nie była od niej wolna. Na tym punkcie, podobnie jak w sprawie autonomii na gruncie przynależności państwowej, żadnego przeciwieństwa zasadniczego pomiędzy różnemi klasami nie było, — panowała doskonała solidarność narodowa.

Inna cecha wybitna ideologii 1905 r. ujawnia się dopiero przy porównaniu tego okresu z dawniejszymi momentami dziejów. Działacze roku 1831, ogłosiwszy uchwałą Sejmu warszawskiego detronizacyę cesarza Mikołaja 1-go, dążyli do ustanowienia państwa samodzielnego, obejmującego Litwę i Ukrainę: działacze roku 1863-go zmierzali ku celom wyrażonym w adresie szlachty, we wrześniu 1862, do Andrzeja Zamojskiego, w słowach następujących: „...jako Polacy wtedy tylko rząd z zaufaniem popierać będziemy mogli, gdy rząd ten będzie naszym,

*) „Ekonomista", r. 1907, tom I, str. 152.

polskim, i gdy Ustawą Zasadniczą przy wolnych instytucyach złączone będą wszystkie prowincye, ojczyznę naszą składające. Dzielić miłości nie możemy. Ojczyznę naszą całą stawiamy w granicach, jakie jej Bóg zakreślił, a tradycye historyczne przekazały". Pokolenie 31. i 63. dążyło do własnej państwowości, przyczem Polska, którą reprezentowali, sięgała hen, po granice 1771 roku. W 1905 politycy polscy akceptowali wszyscy — nawet socyaliści — państwowość rosyjską i, gdy mówią o reformach autonomicznych dla Polski, przez Polskę rozumieją 10 gubernii Królestwa. Ewolucya, jaką w ciągu ostatnich lat 40 odbyły naczelne wskazania narodowe i, z niemi razem samo pojęcie Polski, jest w świetle tego faktu objawem w naszej historyi zgoła nowym. Nie tylko jest akceptowana przynależność państwowa do Rosyi, lecz na jej terenie sama Polska skurczyła się do ram, zakreślonych przez Kongres wiedeński. Zasada organicznego wcielenia, propagowana przez cały okres popowstaniowy, znalazła w tych nowych dążeniach swój pełny wyraz polityczny. Po raz pierwszy w dziejach, fakt przynależności państwowej Polski do Rosyi został przez szerokie warstwy opinii polskiej uznany jako zasada własnej ideologii politycznej. W świetle tych prądów okazało się, że po 150 latach walk i szarpań państwo rosyjskie podbiło nie tylko ziemię i ciała, lecz umysły i serca Polaków.

Przy akompaniamencie dalekich gromów wojny i odgłosów rosyjskiego ruchu wolnościowego, nowa ideologia polityczna wciskała się do serc pod taką lub inną formą wiary w Rosyę, zdobywała umysły argumentem rzekomego realizmu politycznego. Ci, którzy podczas zastoju lat 1864—1890 jako jedyne wskazania głosili hasło pracy organicznej lub kazali wierzyć w bezczyn polityczny, występujący pod maską ufności w ewolucyę pokojową, z żywiołową koniecznością, prowadzącą do wyższych form bytu społecznego, wszyscy ci, kiedy na horyzoncie zaczęły błyskać dalekie łuny wojny japońskiej, nabrawszy nowej wiary w słuszność swego stanowiska, organizowanemi manifestacyami lojalizmu usiłowali przykuć do siebie opinię publiczną, przekonać rząd, iż wszelkie marzenia są już w Polsce wyplenione. Gdy atmosfera poczęła drgać coraz silniejszymi odgłosami mów, wypowiadanych na zjazdach i bankietach w Rosyi, gdy cenzura zwolniła więzy i poczęły obiegać wieści o przygotowywaniu instytucyi reprezentacyjnych, zapanowało przekonanie, iż nadchodzi chwila wyjątkowa, umożliwiająca uzyskanie ustępstw dla Polaków, byle tylko nie przekraczać granic, będących tendencyą chwili i nie budzić obaw w rządzie i w samem społeczeństwie rosyjskiem, iż jesteśmy separatystami. Narodowa demokracya zapomniała, iż jeszcze niedawno w „Przeglądzie Wszechpolskim" wyznawała kierunek nieprzejednany, nie chciała pamiętać, iż podnosiła myśl organizowania legionów polskich w Anglii, i jesienią 1904 brała udział w paryskim zjeździe stronnictw opozycyjnych i rewolucyjnych: nieprzejednane hasła szybko jedno po drugiem odrzucone, a teorya Polski w granicach historycznych przetworzona w oręż, którym broniono projektu autonomii Królestwa przed wtargnięciem najmniejszych śladów odrębności prawno-politycznej.*) Niektórzy socyaliści, począwszy organizować żywioły postępowo-mieszczańskie pod

*) Patrz broszura Steckiego.

hasłem radykalizowania, wkrótce sami przejęli się ich sympatyą i szacunkiem dla programu „kadetów“; P. P. S., w pogoni za hasłem praktycznem i urzeczywistnialnem, wykreśliła ze swego programu niepodległość. Dążąc różnorodnemi drogami, cofając się wstecz lub chyłkiem pomykając naprzód, rzucając gromy na nielicznych marzycieli, przeszkadzających w użytecznej pracy nad zamianą „utopii“ „hasłami praktycznemi i ziszczalnemi“, ludzie różnych obozów, — wśród ciągłej ze sobą walki — doszli wreszcie niespodziewanie dla siebie samych, bo razem, do wspólnego hasła autonomii administracyjnej Królestwa. Wszyscy mieli na ustach trzeźwość i w jej imię uganiali się za formułami, mającemi okazać światu swój realizm i dojrzałość polityczną, potrzebną dla ułatwienia innym mężom stanu dania Polsce upragnionego minimum reform.

Upłynęło lat niespełna dziesięć. Reformy i ulgi, uzyskane w okresie przedkonstytucyjnym, jedne zwiędły, inne zamierają. Nie tylko autonomia Królestwa, lecz i polski uniwersytet i polski samorząd miejski, twarde fakty życia sprowadziły do poziomu utopii. Widzą to nawet najbardziej niepoprawni wśród optymistów, a „Kuryer Warszawski“, rozważając „okres oczekiwań“, zainaugurowany w r. 1905, pisał niedawno: „W każdym razie nikt przed ośmiu laty nie przypuszczał, że tak dalece nic a nic nie przyjdzie do skutku z tego, co wydawało się nieuniknionem. Likwidacya lat 1905 i 1906 jest zupełna“. *) Sławiona lat temu dziesięć trzeźwość polityczna okazała się iluzyą, zaprawioną złudnymi pozorami praktyczności.

III.

Oczywiście, w każdej ocenie sytuacyi można się mylić, mylono się więc w latach 1904—5, gdy nożycami rzekomej praktyczności przykrawano żądania i programy tak, by pasowały — jak mówiono — do warunków zmieniającej się rzeczywistości. Lecz, jeśli ocena była krytyczna, rozumowa, to wielkość błędu popełnionego nie powinna znacznie przekraczać prawdopodobieństwa wniosków, jakie w innym czasie i miejscu wyciągnąć można na podstawie tych samych niedostatecznych danych, które w chwili czynienia błędnego wniosku były wiadome. Tymczasem wnioski, które wogóle wyciągnąć się dają z tej samej ilości faktów, jakie były wiadome pod koniec 1905 r., — jeśli tylko pamiętać poprzedni rozwój Rosyi i posiadać świadomość ogólną, iż żadne społeczeństwo nie może odrazu zmienić swych instytucyi, — tak znacznie przekraczają wnioski, faktycznie wysnuwane podówczas, że o zwykłej, z przyczyn materyalnych wynikłej, omyłce, nie może być mowy. Wówczas popełnione omyłki mogły wyrość jedynie na gruncie wysoko napiętego uczucia, tłumiącego krytycyzm normalny.

Krytycyzm w ocenie sytuacyi zanikł wówczas nie tylko u nas, lecz na całym obszarze państwa; jednak, pomimo zasadniczego podobieństwa nastrojów, nadzieje rosyjskiej inteligencyi pod jednym przynajmniej względem nigdy nie miały takich tonów gorących, jak u nas: pisma petersburskie i moskiewskie, entuzyazmując się, wierzyły w do-

*) „Kuryer Warszawski“ z 24. grudnia 1913 r.

konany przewrót ustroju politycznego i w ulgi dla inorodców; polskie, — w tenże przewrót polityczny i jednoczesną zmianę zupełną całego historycznie wyrobionego stosunku Rosyi do narodowości nie-rosyjskich. Była to różnica doniosłości ogromnej, pierwszorzędnej, choć w zamęcie ogólnym świadomość o jej istnieniu tonęła, przygłuszana wypadkami dnia i wspólnymi porywami radości. Głoszona przez sfery zamożne w Polsce, jako przykazanie taktyki dla całego społeczeństwa polskiego, bierność polityczna, miała swe źródło w przeświadczeniu, iż ostateczna wypadkowa ruchu zależy od rezultatu starcia w samej Rosyi, a była równocześnie wyrazem wiary, iż przewrót w Rosyi da nam automatycznie, także pod względem narodowościowym, więcej, niż moglibyśmy otrzymać, rozwijając również siły własne.

Dlaczego działo się, że iluzye polskie szły dalej, aniżeli rosyjskie?

W sferach inteligencyi pokutowała u nas przez czas długi teorya o niemożebności rozwoju Rosyi w kierunku konstytucyonalizmu i związane z nią przeświadczenie o niezdolności mas rosyjskich do ruchów analogicznych do tych, jakie wstrząsały Zachodem w r. 1848. To, co od początku 1905 działo się na rdzennie rosyjskiem terytoryum, było dla wielu Polaków zupełnym przewrotem spodziewań względem psychiki rosyjskiej. Nastrój, wywołany nieoczekiwanem przejawieniem się w życiu Rosyi czynników politycznych, których niedawno samego bodaj prawdopodobieństwa istnienia zaprzeczano, musiał stać się gruntem, rodzącym bujnie sądy niekrytyczne o sprawach bieżących i fantastyczne prognozy. Lecz wnioski na takiem podłożu wyrosłe, a rozwijane logicznie, tyczyłyby instytucyi ogólnopaństwowych: byłyby to specyalnie polskie złudy co do spraw ogólno-rosyjskich. Tymczasem, oprócz takich właśnie złud, najbardziej uderzającemi swą przesadą i nielogicznością — gdy dziś na nie patrzymy — były nasze nadzieje, tyczące spraw polskich. Wybujałe spodziewania autonomii Królestwa, jakiegoś specyalnego przystosowania się instytucyi ogólno-państwowych do potrzeb rozwoju polskiego, właśnie polskiego życia, — oto, czego żadne niedocenianie czy przecenianie elementów postępowych rosyjskich nie objaśniają, co musiało mieć źródło w jakimś specyalnie polskim sposobie rozumienia problematu stosunków polsko-rosyjskich. Popełniona wówczas omyłka mogła wyrość jedynie na podłożu pewnej idei a priori, panującej w świadomości społeczeństwa. Ideą tą było przeświadczenie, iż w umiarkowaniu własnych żądań leży najlepsza gwarancya ich spełnienia.

Przeświadczenie to wyrosło i w ciągu długich lat zacisza politycznego wżarło się w mózgi i serca ogromnej ilości Polaków jako naturalny, sam przez się zrozumiały wniosek, wypływający z popularnego poglądu, iż w 1862 roku jedynie wskutek naszych wygórowanych żądań, Polska nie potrafiła utrzymać ustępstw, otrzymanych przez Wielopolskiego. Całe pokolenie, które po 1863 roku wyrosło, uczuciowo związane z klęską wspomnieniami, jeśli słyszało jakąś ocenę, jakieś próby oceny tamtych czasów, wiodło ono niechybnie, tak czy inaczej — podane w zaprawie żółci czy też ze słodyczą przebaczenia — do syntezy, potępiającej zbrojny poryw, który pogrzebał instytucye samorządu, nadane Królestwu. Stańczycy głosili tę myśl otwarcie, przyczem,

zaznaczając kontrast pomiędzy położeniem Polaków w Galicyi i w Królestwie, przypisywali te różnice lojalizmowi galicyjskich polityków. Za stańczykami powtarzał to samo nie tylko „Kraj“ petersburski i reprezentanci późniejszej oficyalnej warszawskiej ugody; w wypowiedzeniach się warszawskiego postępu, we „Wskazaniach politycznych“ Świętochowskiego, przeświecało również, czasem niedopowiedziane, czasem równie jak u stańczyków silne, potępienie polityki polskiej podczas wypadków minionych. Przytem, dzięki cenzurze, ci, którzy posiadali bodaj najpłytszy pogląd ujemny o roku 1863, mogli go wypowiadać, ci zaś, którzy może w innych warunkach zajęliby stanowisko odmienne, musieli milczeć. Ludziom, których serce rwało się ku obronie swego uczuciowego stanowiska, brakło możności uzasadnienia go jakąś konstrukcyą myślową; a tymczasem boleśnie odczuwany szereg zarządzeń, jakie spadały na kraj, kazał wszystkim tęsknie spoglądać ku systemowi, w którym naczelnikiem władzy cywilnej w Królestwie był Polak. Poglądu stańczyków nie analizowano i nie przeciwstawiano mu żadnego innego, a w takim stanie rzeczy przenikał on wszędzie, jako jedyna ocena rzeczowa, wypierając powoli i nieznacznie stosunek uczuciowy. Z biegiem czasu więź uczucia stawała się coraz słabsza, a prawo obywatelstwa zdobywał pogląd, opierający się na formule, która bez konkurencyi zawładnęła rynkiem myślowym.

Okresy historyi, w których pozornie nic się nie dzieje i nic w zakresie polityki się nie myśli, czasem przynoszą niezmiernej doniosłości zmiany psychiki i nastrojów politycznych. Dla Królestwa takim okresem było czterdziestolecie, jakie nastąpiło po roku 1863: świadomość społeczna musiała wchłonąć uwłaszczenie chłopów, powstanie wielkiego przemysłu, zarządzenia rządowe, — szereg pierwszorzędnych zmian społecznych i reform politycznych, — oswoić się z nową sytuacyą, przetrawić ją według możności i wyprowadzić wnioski; notabene musiała tego dokonać bez odpowiedniej dyskusyi i komunikowania się wzajemnego w prasie, co z konieczności odbiło się na wartości pracy dokonanej. Gdy, po zastoju w życiu publicznem, przyszło raptowne ożywienie, dokonane w psychice i nastroju, zmiany uzewnętrzniły się nagle, przyjmując czasem formy, budzące zdziwienie obserwatorów. Jedyna synteza, jaka żyła i rozpowszechniała się w związku z wypadkami 1863 r. wskazywała, żeśmy samorząd Królestwa już kiedyś posiedli, i budziła żal, iżeśmy go, nierozsądnie, żądając więcej, stracili. Taki stosunek do wypadków, związanych z powstaniem, stwarzał podłoże, na którem, jako pierwsze przykazanie wszelkiej mądrości politycznej, wyrosło zadowalnianie się małem, bo tylko małe może być trwałe i pewne. W takiej to atmosferze, gdy życie polityczne na nowo poczęło się budzić, dokonywało się ponowne rozważanie odwiecznego problematu stosunków polsko-rosyjskich. Zmiana zaznaczona powyżej odbyła się nieznacznie, cicho, wpół skrycie, występując w formie wyraźnej tylko w wypadkach wyjątkowych. W ciągu długoletniego zacisza nie ugoda programowa, lecz ugodowy sposób myślenia o zagadnieniach polityki praktycznej zatoczył daleko szersze koła, niż to się zwykle przypuszcza. Cały ten proces dokonał się na wpół świadomie, był raczej zmianą nastrojów niż myśli; ludzi, którzy z całą świadomością mogliby o sobie powiedzieć: przyjąłem poglądy szkoły krakowskiej, —

było niezmiernie mało; tem gruntowniej dokonało się najważniejsze: w mózgach nowego pokolenia utkwiło (często podświadomie) przeświadczenie, iż przyczyn złego położenia Królestwa szukać należy nie na zewnątrz, lecz w przeroście naszych pragnień.

Ta, jakeśmy ją nazwali, apryorystyczna myśl, odrazu poczęła wydawać owoce, gdy przyszły chwile osobliwe z r. 1904: rozpoczęły się istne wyścigi w kierunku przystosowania żądań politycznych do warunków podstawowych już istniejących, i fakt wcielenia Polski w obręb państwa rosyjskiego stał się punktem wyjścia, niepodlegającym dyskusyi. Nie ulega wątpliwości, że, w porównaniu z dawnymi przełomowymi momentami historyi, Polacy w r. 1905 żądania swoje zredukować umieli zasadniczo. Nie ulega również wątpliwości, że nawet tak okrojone pragnienia nie zostały zaspokojone.

Rozpatrywane ze strony formalnej, zasady programów autonomicznych roku 1905 były wyrazem kompromisu, na jaki godziła się myśl polska. Przed r. 1831 zarówno jak przed 1863 czynniki decydujące w Polsce stanęły na gruncie zasady odrębnej państwowości, co wykluczało z góry wszelką możliwość kompromisowego załatwienia sprawy. Wszelka wojna jest procesem przekonywania i dwie przegrane wojny powstańcze przekonały decydującą większość opinii polskiej, iż swej zasady państwowej przeprowadzić nie potrafi. Nie pozostawało jej nic innego, jak przyjęcie zasady przeciwnika, co w r. 1905 uzewnętrzniło się z wyrazistością zupełną. Z chwilą, gdy podstawa stała się wspólna, otwarła się formalna m o ż n o ś ć kompromisu. I utajoną ideą, tkwiącą w 1904—5 r. w świadomości działaczy, było przekonanie, iż, stawiając polskie żądania na gruncie uznania państwowości rosyjskiej, tem samem umożebniali Rosyi danie Królestwu ustępstw. Zapominano tylko o drobiazgu, o tem, że istnienie możności formalnej zawarcia kompromisu nie decyduje o możności faktycznej. Porozumienie kompromisowe może dojść do skutku jedynie wówczas, gdy, prócz wspólnej zasady i gotowości do ustępstw z naszej strony, od strony przeciwnej możemy uzasadnienie spodziewać się ofiarowania nam pewnego minimum praw oraz lojalnego ich utrzymania; bez tego, najlepsze chęci jednej strony muszą kończyć się fiaskiem. A czy w historyi stosunków polsko-rosyjskich istnieje wiele momentów, uzasadniających takie spodziewanie?

W tej historyi bywały już dawniej zawierane kompromisy. W r. 1815, w chwilach, gdy Rosya potrzebowała sojuszników, książę Adam Czartoryski uzyskał od cesarza Aleksandra I., jako cenę pojednania dwóch narodów, utworzenie Królestwa Polskiego, konstytucyę liberalną i obietnicę połączenia z Królestwem Litwy i Rusi. Wpływy rosyjskie i polskie przeważyły nacisk dyplomacyi angielskiej, zabiegającej wówczas, by ziemie Księstwa Warszawskiego podzielić pomiędzy Austryę, Prusy i Rosyę. W r. 1816 nie było w Polsce ludzi usposobionych nieprzychylnie dla Rosyi: patryoci najwybitniejsi, jak Kościuszko, Staszyc, wierzyli w spełnienie przyrzeczeń cesarskich, cały kraj entuzyazmował się dla Aleksandra I-go, dążył za Czartoryskim. Opozycya narodziła się, gdy rząd przeciął spełnianie przyrzeczeń i rosła w miarę usiłowań krępowania praw już nadanych. Gdy państwo wzrosło w siły i święte przymierze usunęło niebezpieczeństwa, grożące z zewnątrz, nie tylko

obietnice nowych ustępstw poszły w zapomnienie, lecz ręka tego samego cesarza poczęła odbierać, co niedawno dała. Działo się tak nie dlatego, by swego czasu Aleksander I., dając Polakom konstytucyę, postępował nieszczerze, lecz ponieważ wzmógł się nacisk nań ze strony Rosyan, upatrujących w przywilejach, nadanych Królestwu, pokrzywdzenie interesów Rosyi. Interesy wpływowych warstw rosyjskich, przeciwstawiające się osobistej i na oryentacyi międzynarodowej opartej polityce liberalnej cesarza względem Polski, — oto była ukryta sprężyna dziejowa, niwecząca nasze prawa. Widział ją dokładnie jeszcze podczas Kongresu wiedeńskiego pełnomocnik angielski, pisząc o projektowanem Królestwie, że „....jeśli nawet jego (Aleksandra I.) wpływ osobisty utrzyma je przy życiu podczas jego panowania, to prawdopodobnie będzie umyślnie zburzone lub zginie w rękach jego następcy".*) Nie dążenia niewczesne ze strony Czartoryskiego i polskich mężów stanu były powodem porzucenia polityki pojednawczej ze strony Rosyi, nie Polacy dali powód swą nielojalnością do nieuznawania swych potrzeb i życzeń, lecz poczucie bezpieczeństwa i powrotu pełni sił państwowych, pozwalające na zastosowanie względem Polski polityki, zmierzającej do unifikacyi i centralizmu, odpowiadającej tradycyi i psychice rosyjskiej klasy społecznej, mającej wpływ decydujący na zamierzenia tronu.

Rok 1862 przyniósł drugą próbę kompromisu, która nie wytrzymała ani roku. Instytucye wówczas nadane, — cokolwiek możnaby powiedzieć o ich wpływie ewentualnym na losy kraju w dalszym rozwoju, — na razie nie zapobiegły nawet takiemu aktowi nielegalności, jak zarządzenie branki, będące wyraźnem pogwałceniem prawa z 1859 roku. Jeśli nawet przyjąć, iż polska lekkomyślność i nieumiarkowanie, doprowadziwszy do powstania, były bezpośrednią przyczyną cofnięcia uzyskanego w r. 1862 samorządu, — należy spytać, dokąd system zainicyowany przez Wielopolskiego prowadził, czy w razie, gdyby wybuchu nie było, okazałby się trwalszym, niż starszy i uroczyście gwarantowany samorząd Finlandyi? Okres późniejszy wykazał, że rozwój historyczny Rosyi dąży w kierunku zniesienia odrębnych urządzeń lokalnych i zastąpienia ich systemem administracyi jednolitym dla całego państwa, nie znoszącym wyjątków. Ta sama klasa społeczna, pod której naciskiem za czasów Aleksandra I. poczęto krępować działalność liberalnych instytucyi Królestwa, zachowała, jak okazały wypadki późniejsze, cały swój wpływ na politykę rządu; co więcej, na pomoc jej przyszły mieszczańskie żywioły nacyonalistyczne, i pod ich łącznym rozmachem poczęły ustępować nawet te sfery społeczeństwa rosyjskiego, które w chwilach wolnościowego porywu wypowiedziały się przychylnie dla Polski i Finlandyi. Na bieg historyi należy patrzeć nie ze stanowiska naszych żalów i pożądań, lecz w świetle tych realnych, znowu i znowu przejawiających się sił społecznych Rosyi. Gdy o nich pamiętamy, czyż możemy — mając pretensye do głoszenia prawdy historycznej — twierdzić, że, gdyby w r. 1863 wybuchu nie było, lub Biali, poparłszy Wielopolskiego, przeciwstawiając się żywiołom czer-

*) List lorda Castelreagh do ks. Liverpool z 2 września r. 1814. Część pierwsza tomu, zawierająca poufną korespondencyę rządu angielskiego w sprawach polskich, w bibliotece krakowskiej Akademii Umiejętności.

wonym, potrafili całe powstanie zredukować do fajerwerkowego buntu poborowych, to takie ówczesne stanowisko Polaków potrafiłoby zmienić cały bieg wewnętrznego rozwoju polityki państwowej względem narodowości nie-rosyjskich? Czy podtrzymywanie powyższego lub analogicznego twierdzenia nie byłoby równoznaczne z dowolnem przekreślaniem jednego z najbardziej wyraźnych czynników rosyjskiego bytu państwowego? W rozpatrywaniu rzeczy tak zawiłych, jak stosunki polityczne, zawsze istnieje dążność objaśniania ich czynnikami blizkimi i nam samym znanymi, przeszkadzająca odnalezieniu przyczyn istotnych, co wymaga i wiedzy specyalnej i objektywizmu historycznego. Charakter i cechy państwowości rosyjskiej są rzeczą dalszą, teoretycznie mało u nas znaną, gdy tymczasem czyny popełnione w r. 1863 przez nas samych były bliższe, bardziej rzucające się w oczy, były świeżo w pamięci, więc nic dziwnego, że w doszukiwaniu się przyczyn naszego położenia ostatniej doby przeważył i zyskał cichą popularność pogląd, iż leżały one wyłącznie w nas samych. W świetle tych pod własnym adresem wytaczanych pretensyi, zapomniano, że instytucye samorządu Królestwa, nadane w chwili porywu reformatorskiego, dzięki zupełnie przypadkowemu zbiegowi okoliczności niezwykłych, dzięki przedewszystkiem osobistemu wpływowi Aleksandra II., nie miały nigdy, nawet w momencie nadania, sympatyi rosyjskiej rządzącej klasy społecznej, która, chwilowo pozornie godząc się z reformą, wskazaną przez sytuacyę przejściową, natychmiast po minięciu niebezpieczeństwa, — podobnie jak w latach 1816—20, — rozwinąwszy swe wpływy, instytucye samorządu w Królestwie drogą administracyjną zniosła, pomimo obietnic Manifestu cesarskiego z 1864 r., obiecującego nie tylko utrzymanie, lecz dalsze rozwinięcie instytucyi nadanych w r. 1862. Gdyby wypadki poszły inną drogą i kompromis 1862 r. nie został zatopiony we krwi nagle, lecz rozpadł się powoli, jak się rozpadł w Finlandyi, ustępując pod parciem konsekwentnego centralizmu,— w takim razie iluzya o możliwości ugody za cenę uznania zasady państwowości rosyjskiej nigdy nie owładnęłaby umysłowością polską z taką siłą, jak to miało miejsce później. Tak, jak się stało, samorząd Wielopolskiego przedstawiał się w całym okresie popowstaniowym jako niezrealizowana instytucya, rozbita przez nas samych.

Tęsknota za tą instytucyą krótkotrwałą i błędna do własnych rąk pretensya o rozbicie już posiadanego skarbu, nie pozwalała, w okresie wojny japońskiej, całemu szeregowi ludzi, głoszących swój realizm, zachować dostateczną trzeźwość w zapatrywaniach na stosunki polsko-rosyjskie. Zapominano, że stosunek wzajemnego szacunku dla zobowiązań jest niemożebny do utrzymania tam, gdzie jedna strona, nie mając wyrobionego poczucia prawnego, nie uznaje dla siebie żadnych więzów prócz swej woli i siły; zapominano, że w chwilach zawikłań państwowych Rosya gotowa była czynić ustępstwa i starać się o zaufanie Polaków, by po minięciu niebezpieczeństwa powracać do systemu, uważającego centralizm, narodowościowe represye i wpół wojskową administracyę za silniejsze spojenie państwowe, niż poszanowanie indywidualności narodowej; zapominano, że polityka pojednania ze strony Polaków okazywała się bezpłodną nie dlatego, abyśmy nie potrafili zadowolnić się małem, lecz ponieważ ustrój społeczno-polityczny Rosyi

żadnego przygodnie ofiarowanego minimum utrzymać nie jest zdolny. Gdyby wypadki poszły inną drogą, i samorząd 1862 r. zginąłby — jak zginąć w każdym razie musiał — śmiercią powolną, nie wytworzyłaby się iluzya o naszej nieustępliwości jako źródle złego; i w rezultacie w r. 1905 nie łudzilibyśmy się, jakeśmy się łudzili, że okazując gotowość zejścia ze stanowiska historycznego zyskamy choć kompromis; widzielibyśmy dokładnie — co poczynamy widzieć nareszcie dzisiaj, — że w granicach państwa rosyjskiego niema dla narodowości nie-rosyjskiej możliwości narodowego rozwoju.

Teraźniejszość, rozpatrywana nie przez pryzmat chwilowo przez wojnę japońską wysuniętych załamań, lecz jako moment, wynikający z poprzedniego rozwoju politycznego państwa rosyjskiego, — żadnych objawów wyjątkowych nie przedstawia. Dla kogoś, rozpatrującego zmiany, dziś zachodzące ze stanowiska doświadczenia historycznego, nie są one żadnemi niespodziankami. Jeżeli zaś fakty życia w ciągu ostatniej doby przedstawiają się tak beznadziejnie szaro w porównaniu z nadziejami niedawnemi; jeżeli w r. 1905 spodziewania co do przyszłości wybujały tak wysoko, — stało się to również dlatego, iż zapomnieliśmy, że im bardziej kurczymy nasze żądania polityczne, tem więcej rosną pożądania państwa względem nas. Za wytworzenie się i rozpowszechnienie tego zapomnienia odpowiedzialna jest przedewszystkiem popularna od lat wielu legenda o lekkomyślnie naszemi rękami zaprzepaszczonym skarbie Wielopolskiego.

Tytus Filipowicz.

SAMORZĄD MIEJSKI W KRÓLESTWIE.

Jedną z najdojrzalszych potrzeb życia publicznego w Królestwie Polskiem jest wprowadzenie instytucyi samorządnych do gospodarki zarówno miejskiej jak wiejskiej. Gdy się zważy złożoność zadań, jakie cywilizacya współczesna stawia do rozwiązania miastu i wsi: w zakresie budownictwa, oświaty, hygieny, estetyki tudzież ekonomii wysiłku zbiorowego, gdy się zważy ponadto, że Królestwo należy do krajów najgęściej zaludnionych w Europie, że miasta rosną w niem jak na drożdżach, a wieś głębokiej podlega ewolucyi od podstaw, wówczas, poprostu, strachem przejmuje myśl o tem, że kierownictwo tych przemian i tego rozrostu życia spoczywa w rękach nieodpowiedzialnej czeredy biurokratów, którzy kraj cały uważają jedynie za pole grabieży i wyzysku.

Ani po miastach, ani po wsiach, do udziału w zarządzie miejscowym niedopuszczani są obywatele kraju, którzy interes swego środowiska czują i rozumieją. Zarząd miejscowy stanowią czynownicy, mianowani z ramienia wyższych czynowników, którzy z kolei mianowani są przez cara. Poprzez nich machina ucisku rosyjskiego, ciążąc od góry, dochodzi tłoczeniem

swym aż do dołu: opiera się o bruk rynkowy po miastach i o strzechy chłopskie po wsiach. Wprawdzie gminy wiejskie obdarzone są, wedle litery prawa, pewnym samorządem minimalnym, który wyraża się w postaci istnienia obieralnych wójtów, sprawujących władzę administracyjną po wsiach; ale jest to samorząd stanowo-chłopski, nie mający nic wspólnego z samorządem ziemskim. Od samego początku samorząd gminny stał się pośmiewiskiem w swoich własnych oczach: gmina wiejska, z wójtem i pisarzem na czele, poddana brutalnej supremacyi zwierzchności rosyjskiej, stała się szkołą upodlenia i serwilizmu dla chłopa, nieodrodzonego jeszcze po jarzmie pańszczyźnianem. Na domiar, samorząd gminny jest strzeżony pilnie przeciwko możliwym wpływom inteligencyi, zamknięty w swej bezradnej ciemnocie, wyodrębniony z reszty społeczeństwa i postawiony oko w oko z brutalną przemocą naczelników powiatu, komisarzy włościańskich i gubernatorów. Jeśli istniejący po wsiach samorząd chłopski jest bezecną karykaturą samorządu, to w miastach jest o tyle lepiej, że niema bezeceństwa fikcyi: rządzi tam szczery, bezwględny cynizm samowoli administracyjnej.

Szczerość, choćby najbrutalniejsza, daje zawsze rezultaty lepsze, niźli hodowla fikcyi. Wszelako, w danym wypadku, w zakresie gospodarki miejskiej, niewspółmierność między kwalifikacyami biurokracyi a ogromem i złożonością zadań, obarczających magistraty miejskie, tak stała się wielka, tak rażąca i nieznośna, że o usunięciu jej zmuszony był pomyśleć sam rząd centralny, w osobie swych ministrów. Nie trzeba zapominać o tem, że biurokracya także miewa chwile, w których nad zaślepieniem krótkowidztwa bierze w niej górę trafny instynkt samozachowawczy. Wytknięcie projektu samorządowego dla miast w Królestwie było takim właśnie ze strony rządu centralnego odruchem samozachowawczym.

Początkodawcą wniosku był Stołypin, mąż stanu, nie ogarniający szerokich widnokręgów polityki, ale posiadający przecież tę sumę wiedzy politycznej i doświadczenia, jakie wydobyć się daje ze skrzypu szubienic· Widmo szubienicy wiąże się ściślej, niżby to mniemać można, z kolebką samorządu miejskiego. Projekt samorządowy zrodził się istotnie pod znakiem szubienicy. Powstał on z uduszenia autonomii Królestwa Polskiego, której cień blady na wybrzeżu polskich nadziei zostawiła odpływająca fala rewolucyi. Rząd rosyjski nie dopuścił ani jednego słowa w Dumie, uzasadniającego autonomię Królestwa. Sam natomiast wystąpił z uzasadnieniem reform w gospodarce miast polskich. Dał tem do zrozumienia, że w obrębie caratu niema miejsca na aspiracye Polaków polityczne i kulturalne; niema miejsca na aspiracye narodowe. Otworzyć się zaś może przed nimi szerokie pole dla rozwoju ekonomicznego. Ze stanowiska polityki caratu w powyższem postanowieniu sprawy odzwierciedlił się istotnie, jak rzekliśmy, pewien instynkt samozachowawczy biurokracyi: Rosya żywi słuszne obawy przed

kulturą i polityką polską; ale Rosya dbać musi o to, aby jej poddani nie poszli z torbami żebraków; inaczej bowiem, któżby podołał podatkom ciągle rosnącym na armię i policyę? Carat nie życzy sobie mieć prężnych narodowo, mocnych kulturalnie Polaków; ale chce mieć poddanych zamożnych wszędzie: nad Wołgą, równie jak nad Amu-Daryą, nad Irtyszem, równie jak nad Wisłą: posiada bowiem ręce dość długie i chwytne na to, by sięgnąć wszędzie, by ssać ze wszystkich kieszeni skrzętnie uciułane złoto.

Stawiając projekt samorządu miejskiego na grobie projektu autonomii, rząd, w osobie Stołypina, odwoływał się do oportunizmu polskiego, by wespół z nim postawić stopę na świeżym grobie marzeń narodowych. Czuł on dobrze, iż samorząd nie jest żadną redukcyą autonomii, żadną automomią drugiego stopnia; czuł on i rozumiał, że między autonomią a samorządem miejskiem, przez niego projektowanym, zachodzi różnica nie ilościowa tylko, ale różnica jakościowa, różnica głęboka w naturze i w istocie. Autonomia była projektem, wychodzącym z ogniwa polityki polskiej, szukającej dróg rozwoju dla narodu polskiego. Samorząd zjawił się jako projekt, wychodzący z przesłanek taktyki biurokratofilo-rosyjskiej. A więc punkty wyjścia tych dwu reform zajmują względem siebie stanowiska przeciwległe.

Również punkty ujścia ich są zasadniczo sprzeczne. Autonomia prowadzi Królestwo Polskie do potęgowania znamion samoistności narodowej, a więc Wisłę przeciwstawia Newie. Samorząd wplata miasta polskie w wir wspólnych interesów z całą Rosyą, a więc Wisłę roztapia w Newie. Ubytek, jaki przez wdrożenie samorządu miejskiego poniosłaby biurokracya rosyjska w postaci utraty wielu posad zyskownych w magistratach, sowicie obiecywała ona sobie wynagrodzić na przyroście dobrobytu „swych“ poddanych. Uznała ona za pożądany dla się jak najszybszy i najświetniejszy rozwój miast w Polsce: wszak wodze rządu ostateczne trzymała w rękach, każdej chwili władna je przykrócić lub zgoła ściągnąć. Niechaj powstają szkoły, niechaj budują się teatry, niechaj kwitną banki, lombardy, przedsięwzięcia budowlane, sanitarne i wszelakie inne: każde z nich to przytulisko synekury dla moskiewskiego trutnia, który teatrowi narzuci się z ramienia rządu jako kontrolor, szkole jako inspektor, szpitalowi jako kurator. Niechaj samorząd pracuje! Plony jego pracy, tak lub inaczej, nie ujdą szponów i dziobów drapieżnego ptactwa. Niechaj się miasta bogacą: biurokracyi nie zbraknie ani apetytu ani sił po temu, aby zgłosić swe prawa niezawodne do udziału w zyskach, płynących ze wzmożonej gospodarki.

Lecz, aby zyski były istotne i poważne, samorząd miejski, w oczach rządu centralnego, powinien odpowiadać warunkom swej istoty: powinien dać rzeczywiste pchnięcie inicyatywie ekonomicznej i rzeczywiste pole

tryumfu zapewnić przedsiębiorczości obywatelskiej. Nie powinien drażnić, ale pobudzić; nie dokuczać, ale odświeżyć wrażeniem ulgi i swobody. Czuwać nad jego kierunkiem, ze strony rządu, trzeba stanowczo, ale z daleka. Tym, istotnie, warunkom odpowiadał projekt samorządu w tej postaci, w jakiej wyszedł z pracowni Stołypina i złożony został pierwiastkowo pod obrady w trzeciej Dumie. To, co w jakikolwiek sposób sprzyjać mogłoby rozwojowi dążeń narodu, bądź politycznych, bądź kulturalnych, zostało przez Stołypina obcięte i wypalone do cna już w samem założeniu projektu. Nie było tedy potrzeby, w zamyśle Stołypinowskim, który polskości zadawał cios stanowczy na początku, pastwić się nad polskością w szeregu dokuczliwych drobiazgów i ukłuć, godnych kata, opartego o stopnie tortur, ale już niegodnych kata, opartego o stopnie tronu. Projekt Stołypina poddawał instytucye samorządu pod nadzór ścisły gubernatorów, którzy w imię swych dowolnych pojęć o tem, co „prawne", a co „bezprawne", mieli zyskać władzę zawieszania uchwał municypalnych. Projekt Stołypina wyosobniał Rosyan w osobną kuryę narodowościową, obdarzając ich w instytucyach miejskich przedstawicielstwem niewspółmiernie licznem w stosunku do ich siły liczebnej w kraju. Projekt Stołypina wreszcie ustanawiał cenzus wyborczy dla obywateli miast tak wysoki, iżby przewagę w zarządach municypalnych miała zapewnioną burżuazya średnio i wysoce zamożna, przeważnie cudzoziemska (litwacka bądź niemiecka) z oczywistem upośledzeniem ludu, który stanowi w miastach główną ostoję polskości.

Wprowadzając atoli te zastrzeżenia rządowe do projektu, Stołypin nie chciał śmierci projektu, nie chciał jego skaleczenia. Co więcej, nie chciał do tego projektu wnosić pierwiastków, któreby w zastosowaniu praktycznem spowodowały paraliż wewnętrzny bądź spaczenie przedłożonej reformy. Dlatego to zaręczył w projekcie swym prawa językowi polskiemu podczas obrad w instytucyach samorządu: rozumiał, że językiem samorządu w miastach polskich może być tylko język polski, że obrady, aby dawały wnioski trafne, toczyć się muszą w języku rodowitym obywateli miast. Powołać ludzi do kierownictwa sprawami miasta, a jednocześnie zakneblować im usta: to nawet dla Stołypina, który się przed środkami dzikimi nie cofał, gdy je dobro caratu usprawiedliwiało, to dla Stołypina nawet było nazbyt dzikie i... widokami na dobro caratu nieusprawiedliwiane. Podobnież, poddając organy samorządu, w swym projekcie prawodawczym, pod kontrolę władz administracyjnych, Stołypin nie chciał przecież całkowitego instytucyi samorządowych połknięcia przez biurokracyę. Czynił on uchwały municypalne zależnemi od woli gubernatorów, ale nie chciał uzależniać ich od gubernatorskich kaprysów. Zapewniał on gubernatorom veto wobec postanowień rady miejskiej z uwagi na tychże

postanowień legalność, ale stawił poza obrębem kontroli gubernatorskiej celowość uchwał i zarządzeń municypalnych.

Jakkolwiek tedy ciasny, jakkolwiek ubogi, jakkolwiek skrępowany w założeniu widokami na interesy biurokracyi, jakkolwiek wkuty w machinę caratu, samorząd miejski, w redakcyi wnioskodawczej Stołypina, zdawał się, bądź co bądź, nabytkiem pożądanym, reformą w zakresie ekonomicznym użyteczną, tem użyteczniejszą, iż przypaść miała na okres wzmocnionego tempa gospodarczego w narodzie, w okresie wielkiego porywu Królestwa ku założeniu trwałych pod rozwój ekonomiczny podstaw narodowych.

Projekt Stołypinowski był tym obrębem minimalnym, w jakim interesy cararatu godzić się mogą z interesem polskim: był ugodą fisku rosyjskiego z kieszenią polskiego płatnika podatków. W tym obrębie minimalnym, poza granicami dążeń politycznych narodu, a poniekąd na ich grobie, mógł projekt ów istotnie oblec się w ciało bardzo rychło, pod bezpośrednim naciskiem rządu, i posiadał wszelkie widoki natychmiastowej realizacyi. Ze strony rządu bowiem, jak rzekliśmy, projekt samorządu miejskiego był protestem przeciwko projektowi autonomii krajowej, i dlatego biurokracya z pośpiechem parła go naprzód, nie tając tego, że w ślad za samorządem miejskim pójdzie niebawem samorząd ziemski, jako wtóry krok na drodze reform ku ujednostajnieniu zarządu wewnętrznego wszystkich ziem caratu. U kresu polityki „unifikacyjnej" majaczył wreszcie projekt zniesienia w Królestwie Kodeksu Napoleona i poddania kraju pod cywilne prawodawstwo Rosyi.

I trzebaż było fatalizmu, że „Koło Polskie" w Dumie, stając między caratem a społeczeństwem polskiem w roli powiernika caratu, obwieściło rzeczony projekt Stołypinowski za niebotyczny tryumf polityki narodowo-demokratycznej w obliczu całej Rosyi, aby tę skąpą reformę zaprzepaścić!

Gdy Stołypin, stojąc u steru sławy, gotów był projekt swój przeprzeć siłą, choćby wbrew obu Izbom prawodawczym, choćby wbrew „Kołom Polskim", podobnie jak siłą narzucił samorząd na Litwie na podstawie § 87 (w drodze administracyjnej), przedstawicielstwo polskie w Dumie przybrało postawę trymfatorów i zwycięzców, którzy dyplomacyą, rozumem, powagą i urokiem swych imion zdobyli to, czego zdobyć nie potrafiła... rewolucya.

Koła polskie we wszystkich czterech Dumach powstały z łona Narodowej Demokracyi. Dla tej ostatniej samorząd miejski przychodził bardzo w porę; aby jednak mógł on przywrócić zachwianemu stronnictwu stanowisko naczelne w kraju, trzeba było znaczenie omawianej reformy wydąć do rozmiarów, wielekroć przekraczających jej znaczenie rzeczywiste. Trzeba było pokazać, że stronnictwo nie na darmo uchwyciło wodze kraju w ręce w pamiętnych latach 1906—1908; że nie tylko u siebie

w domu umie zwyciężać; że zwycięstwo walne odniosło także w Petersburgu; że wiedziało dobrze, w jakim celu walczy z rewolucyą, z postępem, z socyalizmem; że oto nadchodzi pora, w której kraj zbierze plony tej walki, plony oczywiste, wspaniałe, stokrotne w stosunku do poniesionych ofiar. By plony te jeszcze bardziej uświetnić, postanowiono je krajowi podać na tle tej samej ideologii, która uprzednio wiązała się z autonomią; poczęto niemal projekt Stołypinowski przedstawiać za coś w rodzaju doraźnej autonomii, a Stołypina imię wypisać na tym samym sztandarze ugody, który ongi zawierał imię Wielopolskiego i wszystkie z nim związane ułudy...

Wówczas stała się rzecz nieoczekiwana: rząd oniemiał. Ujrzał się nagle mimowiednym wspólnikiem i sprawcą... endeckich tryumfów. Nie mógł pojąć zrazu, aby przedstawicielstwo polskie upadło tak nizko, że to, co mu się daje w interesie państwowym, niesie z tryumfalną pychą do domu, jako zdobycz wojenną. Tymczasem Stołypin padł pod kulami Bogrowa; tekę premiera przejął Kokowcew. Ten wprędce zdał sobie sprawę z pomyłki poprzednika: zrozumiał, że Stołypin Polaków, w osobie ich przedstawicielstwa, przeceniał; że „Koła Polskie" w Izbach rosyjskich marzeniami swemi nie dosięgają nawet poziomu... tolerancyi biurokratycznej i że nie stoją na wysokości tego nawet oportunizmu, o jaki posądzał ich rząd; że Stołypin posądzeniem swojem nie ubliżył im, ale ich zaszczycił tak dalece, że, o zawrót głowy przyprawieni, jęli upokorzenie smakować jako chlubę, a z hańby wykroili dla się płaszcze dostojności...

I odtąd rozpoczęła się licytacya zniżkowa projektu. Z wściekłą zapalczywością rzuciła się prawica rosyjska na projekt rządowy, którego stempel Stołypinowski ubrali posłowie endeccy w girlandy z amarantowych dziękczynień. Posypały się gradem siarczystym „poprawki", i „udoskonalenia" i „sprostowania". Począł się wyścig szalony między Dumą a Radą Państwa w kierunku doprowadzenia projektu do niedorzeczności. Duma skreśliła język polski w połowie, Rada Państwa usunęła język polski doszczętnie. Duma zatwierdziła cenzus wysoki dla wyborców miejskich, Rada Państwa podniosła go i zatwierdziła jeszcze wyższy. Duma z ośmiu powiatów gub. Suwalskiej usunęła język polski w samorządzie, Rada Państwa, aby nie zostać w tyle, upoważniła gubernatorów do kwestyonowania każdej uchwały miejskiej ze względu na jej „rozumność" i „celowość".

Rząd w osobie Kokowcewa, ostatnio w osobie nowego premiera Goremykina, przypatrywał się temu wyścigowi obojętnie: zniecierpliwienie wobec rodzinnej głupoty czarnosecinnej równoważyło się w nim zapewne politowaniem dla karkołomnej i upodlonej głupoty „Koła Polskiego", które przesadą w ugodzie pokrzyżowało rządowi jedyny plan ugodowy, z jakim wobec Królestwa wystąpił.

Społeczeństwo polskie tymczasem, w swej części zdrowej i żywotnej, z kraju przyglądało się scenie tegoż wyścigu, pytając, do jakich też granic dojdzie upodlenie „Kół polskich“ w Petersburgu. Doświadczenie pokazać miało, że, niestety, małoduszność posłów polskich granic nie posiada żadnych. Gotowi byli na wszelkie kompromisy z czarną seciną; przystawali na wszelkie okrojenia projektu; poświęcili względny jego demokratyzm początkowy, poświęcili język polski w znacznej mierze; dopiero przed zupełnem skreśleniem języka polskiego w rzekomo „polskim“ samorządzie wzdrygnęli się na chwilę, ale i to raczej dreszczem, który udzielił im się z zewnątrz, ze strony kraju, niźli własnem oburzeniem wewnętrznem. Rząd widział, że samorząd ginie marnie, ale był bezsilny wobec postawy „Koła Polskiego“, które istotę samorządu sfałszowało w oczach naprzód własnego społeczeństwa, potem wobec Rosyi, a wreszcie i wobec całej Europy, podając go za początek nowej w stosunkach polsko-rosyjskich ery.

Projekt samorządu upadł.

Prócz szczupłej grupy endecko-ugodowych menerów, którym nadzwyczaj pilno było do posad w magistraturze miejskiej, nikt nad upadkiem jego nie ubolewał; nikt go nie żałował.

Ale jakże dalej najbliższe rozwiną się wypadki?

Od ostatecznego pogrzebania samorządu przez Radę Państwa upłynął zaledwie miesiąc, i oto rząd ponownie z ramienia caratu wnosi projekt samorządowy pod obrady Dumy, stwierdzając tem dobitnie, że na reformie tej nieodwołalnie zależy rządowi, który niewątpliwie w tej lub owej postaci w czyn ją wprowadzić potrafi.

Lecz w postaci jakiej? Oto pytanie.

Projekt Stołypinowski przerastał, jak się okazało, ponad głowy „Koła Polskiego“. Projekt obecny Goremykina, jak się spodziewać należy, lepiej będzie dostowany do wysokości tych głów i czół. Licytacya rozpocznie się na nowo, ale już od poziomu znacznie niższego: od poziomu, jaki swą zgodą usankcyonowało „Koło Polskie“. W tem spowodowaniu zniżki streszcza się bilans siedmioletnich zasług przedstawicielstwa polskiego w rosyjskich izbach prawodawczych.

Stefan Klonowski.

KANAŁY ŻEGLUGI W GALICYI.

Epokowa ustawa kanałowa, wniesiona w 1901 roku z inicyatywy ówczesnego prezesa rządu wiedeńskiego dr. Koerbera przed forum austryackiego parlamentu, nie miała szczęścia już w samej swej kolebce.

Cel wniesienia tej ustawy był dwojaki.

Stwarzała ona z jednej strony podstawy pod niezmiernie doniosły zwrot w dziedzinie wodnej austryackiego państwa, zwrot, ze względu

na uporządkowane gospodarstwo wodne sąsiednich mocarstw bardzo pożądany. Ustawa ta stawiała na porządku dziennym obrad parlamentarnych wielkie projekty gospodarcze, by zająć nimi uwagę ludów i odwrócić je od niezwykle ostrych wówczas sporów narodowościowych, rozsadzających wewnętrzne spoidła państwowe.

Z drugiej strony kanały żeglugi projektowane ustawą z 1901 roku stanowiły rekompensatę dla północnych krajów Austryi za kolej południową, której pierwotny kosztorys wynosił 407,038.000 kor., a którą wybudowano w rzeczywistości kosztem 726,000.000 kor. Kolej południowa nie miała na celu podtrzymania stosunków handlowych z koloniami — tych bowiem Austrya nie posiada — cały zaś handel zamorski monarchii zdążał utartą drogą na Budapeszt.

Kolej południowa podnosiła wielkomocarstwowe stanowisko państwa Habsburgów przez połączenie Wiednia z wybrzeżami morza Adryatyckiego — wzmacniała jego pozycyę strategiczną w stosunku do południowych nieprzyjaciół i wątpliwej wartości sojuszników.

Przedewszystkiem jednak ziszczała ona dumne fantazye wszechniemców, rozszerzając ich wpływy w kierunku południa i wschodu przez bezpośrednie połączenie Berlina z morzem Adryatyckiem. Oddawała nieocenioną usługę Prusom także i przez to, że wzmacniała potęgę morską Austryi.

Wykonanie tej kosztownej budowy było również pożądanem przez niemieckie koła przemysłowe, a przedewszystkiem przez wszechwładny w Austryi przemysł żelazny, który przez zapewnienie sobie wielkich dostaw żelaznych — dyktował ceny, zapewniające mu 40% czystego zysku.

Budowa tej kolei nie leżała natomiast w interesie potrzeb gospodarczych państwa — czego najlepszym dowodem jest fakt, że nie rentuje się ona wcale po dzień dzisiejszy.

Nic więc dziwnego, że plany budowy tej kolei — nie mając nic wspólnego z ludowemi koniecznościami państwa, nie entuzyazmowały jego ludów, napotkały na opozycyę północnych Słowian austryackich. By tych ostatnich pozyskać dla sprawy, rzucono im wielką obietnicę, ustawę kanałową z 1901 roku.

Ustawa powyższa postanowiła budowę kanałów żeglugi pomiędzy:

a) Dunajem—Odrą—Wisłą—Dniestrem, czyli Wiedniem—Krakowem—Haliczem.

b) Dunajem a Wełtawą.

Ponadto obejmowała ona kanalizacyę Wełtawy, oraz regulacyę wszystkich tych rzek i potoków, które wchodzą w jednolity skład sieci kanałowej i posiadają dla niej specyalną wagę: czy to ze względu na doprowadzenie potrzebnej wody, czy też ze względu na przesuwanie mas żwirowych.

W r. 1901 postanowiono budowę 1180 km. kanału żeglugi, oraz kanalizacyę 370 km. rzek w państwie, które po zarzuceniu krótkiego kanału z Wiednia do Wiener-Neustadt nie posiada wcale sztucznych dróg wodnych, pomimo rozgałęzionej sieci naturalnych wód. Koszta tych olbrzymich projektów wynosiły okrągło miliard i 250 tysięcy koron, z czego na Galicyę, t. j. na wybudowanie kanału żeglugi od granicy śląskiej do spławnej przestrzeni Dniestru 465 km. długości, przypadło 336,839.911 kor. według rządowego kosztorysu.

Znaczenie tych projektów zrozumiemy, jeśli sobie uprzytomnimy, że sąsiadujące z Austryą państwa posiadają rozgałęzioną sieć wodną. Niemcy bowiem posiadały w 1901 roku 11.800 km. dróg wodnych, Francya 12.150 km. i t. p.

Przypomnieć na tem miejscu należy olbrzymi projekt kanału środkowo-europejskiego, który ma złączyć Paryż z Warszawą, Antwerpię z morzem Czarnem. Propozycya stworzenia komunikacyi wodnej od oceanu Atlantyckiego i morza Północnego do morza Czarnego i Wschodniego nie jest nową. Europejscy technicy podnoszą ją w obecnej dobie, w której koleje żelazne, owa dźwignia olbrzymiego rozrostu życia gospodarczego kontynentu, nie mogą już podołać bez zarzutu potężnemu ruchowi. Kanały żeglugi, łącząc naturalne systemy wód, zapobiegają temu złu. Podnoszą one i ożywiają ruch towarowy, oddają niepoślednie usługi rolniczej i przemysłowej kulturze krajów, które przecinają, ułatwiają zakładanie, zaprowiantowanie, a co za tem idzie i utrzymanie miast. Stanowią one jedyny ratunek przed nieuchronnem starzeniem się Europy, która przez pozyskanie w swej środkowej części nowych, życiodajnych arteryi komunikacyjnych, odmłodziłaby i wzmocniła swój organizm gospodarczy, przeciwstawiając się skutecznie drugiej półkuli świata.

W tem oświetleniu projekty rządu wiedeńskiego nabierały specyalnej wagi. Kanał zaś galicyjski, jako ogniwo światowej komunikacyi, która ujmie w sferę swych wpływów potężny ruch transytowy między Zachodem i Wschodem, mógł być podstawą zupełnego odrodzenia ekonomicznego naszej dzielnicy.

Nic więc dziwnego, że projekty dr. Koerbera znalazły powszechne uznanie w państwie i zagranicą, ich zaś ustawową realizacyę przyjęto z ogólnem zadowoleniem. Nie trwało ono niestety długo, stanowisko bowiem rządu centralnego w tej sprawie nie było szczerem.

W wykonanie ustawy kanałowej nie wierzył sam wnioskodawca, zabezpieczając 175 milionów koron nominalnie, a po potrąceniu rozmaitych strat 155 mil. koron efektywnie, a więc około 12% potrzebnej do budowy projektowanych kanałów kwoty. Nie wierzył w tę ustawę p. Koerber i wówczas, gdy powierzał nad nią pieczę wiedeńskiemu ministerstwu handlu, które wysilało cały swój spryt i energię w tym kierunku, by tylko sprawę przewlec, a później ubić, pozostając w tym względzie pod przemożnym wpływem niemieckich przemysłowców. Ci ostatni w wybudowaniu taniej komunikacyi wodnej, łączącej Galicyę, ten naturalny rynek zbytu dla niemieckiej i czeskiej tandety przemysłowej wprost ze środkową Europą, widzieli (i słusznie) zadatek zupełnego wyzwolenia się Galicyi z ich jarzma ekonomicznego.

Mieliby bowiem oni dopuścić do tego, by Galicyi ułatwić zbyt jej naturalnych produktów, jak węgla kamiennego, ropy, parafiny, wosku ziemnego, materyałów budowlanych, drzewa, zboża, glinki ogniotrwałej, wapna, gipsu i t. p. Miałyżby się skończyć te czasy, w których dzięki protekcyjnej taryfie kolejowej węgiel pruski zalewa Galicyę, mającą nieprzebrane pokłady węgla krajowego o równie dobrej jakości? Mogłybyż się ożywić kopalnie galicyjskie, a przez dowóz rud żelaznych z południowej Rosyi miałybyż powstać w naszej dzielnicy warunki wielkiego przemysłu?

Galicya samodzielną, bogatą jednostką gospodarczą?

Przenigdy!

Galicya pozostać musi na zawsze pod przewagą i przemysłową kuratelą czesko-niemieckich prowincyi, wszelkie zaś środki, zmierzające do zmiany tego położenia, powinny być w samym zarodku zniszczone.

Ministerstwo handlu, działające pod presyą wrogich nam czynników, rozpoczęło więc podwójną grę. Z jednej strony objęło rolę naturalnego opiekuna ustawy, by z drugiej strony wszystko zrobić, co tylko do jej pogrzebania prowadzi.

W tym też celu u wstępu samego stworzyło ono legendy o niebywałych trudnościach technicznych, na jakie przy realizacyi ustawy napotkać miano. Rozpisano konkursy na podnośnie mechaniczne, powołano ekspertyzy naukowe, któreby poprzeć miały nieprzyjazne dla sprawy kanałowej kalkulacye. Po bliższem rozpatrzeniu jednakowoż tych wątpliwości okazało się, że kanał Dunaj—Odra—Wisła należy do średnio trudnych tras wodnych. Kanał zaś galicyjski będzie najłatwiejszą drogą wodną w świecie. Leży bowiem w lwiej części w poziomie, a przy przekroczeniu działu wód, odgraniczającego zlewnie Sanu i Dniestru, wykorzystuje ten jedyny w świecie wypadek, że wody jednej zlewni w czasie wielkich wezbrań wpływają do drugiej, tak nizką są bowiem przedzielone przegrodą.

Znalazła się i woda potrzebna do trasportu statków i to bez wielkich trudności technicznych, a ekspertyza naukowa w 1908 roku uznała, że rzecz cała jest pomyślana dobrze, trudności pokonane, koszta finansowe zwykłe i przeciętne, racyonalność, a co z tem idzie i pożyteczność dróg wodnych, projektowanych w 1901 roku, niechybna.

Ta metoda zawiodła. Trzeba się chwycić pewniejszych środków.

I sprawa kanałowa stała się kwestyą, obalającą ministrów, a wprowadzającą nowych na ich miejsce, pracujących jednakowoż w dalszym ciągu nad pogrzebaniem dobroczynnej ustawy.

Sekundowało im dzielnie niestety w tym względzie wiedeńskie Koło Polskie. To Koło polskie, którego zasadą jest i było bezwzględne popieranie każdoczesnego rządu, jeszcze w 1901 roku nie wierzyło w pełną realizacyę ustawy kanałowej. W pozyskanie tak wielkich inwestycyi dla kraju nie wierzył i Sejm krajowy, który nie umiał, tak, jak sejm czeski, zdobyć się w tym kierunku na szybką egzekutywę.

Zaprzepaszczono przez to inwestycyę techniczno-gospodarczą, którаby pozwalała przebudować w kraju około 350 mil. koron. Nieuświadomieni i źle pouczeni agraryusze galicyjscy zwalczali kanały spławne, które przez tani przewóz produktów zawsze i wszędzie podnosiły wartość ziemi i lasów, stwarzały dogodne warunki do rozwoju melioracyi rolnych, bez których nie może być mowy o intenzywnej gospodarce rolnej.

Przez tani wywóz surowego drzewa wzróść mogła w dwójnasób wartość galicyjskich lasów, które zajmują około 3,500.000 morgów t. j. 25·79% całej powierzchni kraju. Kanały wodne miały ułatwić stworzenie taniej siły wodnej, tej nowoczesnej w zachodnich krajach tak czynnej dźwigni kultury gospodarczej i przemysłu średniego.

Przecinając krakowskie zagłębie węglowe, obejmujące 1390 km. kwadratowych powierzchni, a posiadające w swej głębi 24·9 miliar-

dów ton węgla kamiennego, jak według ostatnich badań geologicznych i przy pomocy głębokich wierceń niezbicie stwierdzono, umożliwiłoby naszemu węglowi skuteczną konkurencyę z węglem pruskim*) i to nie tylko na rynku galicyjskim, ale i środkowo-europejskim.

Jeżeli sobie przypomniemy, że sama Galicya spala corocznie około 145.000 wagonów węgla obcokrajowego, jeżeli za podstawę obliczeń przyjmiemy, że na jednego robotnika przypada 25 wagonów produkcyi rocznej, która daje utrzymanie jemu i jego rodzinie, złożonej średnio z trzech osób, to otrzymamy jako rezultat tego rozważania zapewnienie wyżywienia 65.000 osób przez samo pokrycie zapotrzebowania galicyjskiego węglem rodzimym.

Jakież cyfry otrzymalibyśmy, licząc na eksport do krajów austryackich, które w 1913 roku sprowadziły z poza granic Austryi 12,891.000 ton węgla kamiennego na 7,080.000 ton eksportowanych, wykazując tak znaczny niedobór w tym względzie.

Tani dowóz węgla**) do odległych zakątków kraju, którego kształt jest nienormalnie wydłużony, usunąłby opłakane stosunki opałowe we wschodniej Galicyi, stworzyłby podstawy rozwoju wielkiego przemysłu. Budowa kanałów żeglugi w Galicyi podnieść więc miała kraj nasz z upadku ekonomicznego, wzmocnić i spotęgować rozwój handlu i przemysłu.

Przez połączenie z Wisłą pod Krakowem i z portem w Nadbrzeziu, a przy pomocy Wisły z portami Królestwa Polskiego, a dalej z Toruniem i Gdańskiem, przez wybudowanie odnogi na Sądową-Wisznię—Lwów—Brody, mogły kanały żeglugi Galicyi złączyć w jednolitą całość gospodarczą dzielnice dawnej Polski, stwarzając tem samem warunki niezmiernie korzystne dla ekonomicznego, a co za tem idzie, i politycznego wyzwolenia się narodu.

Jakżeż marną wydaje się w tem szkicowem zestawieniu niechybnych korzyści taktyka rządzących stronnictw w kraju, których przewódcy za nędzną misę soczewicy, za marny ochłap ogólniejszego znaczenia, lub co gorsza za order albo tytuł ministra, zaprzedają od lat kilkunastu najżywotniejszy postulat kraju.

Tak wygląda w praktyce hasło „organicznej pracy“ — tak się przedstawia na żywym przykładzie „organiczna“ budowa narodowej Niepodległości.

Rząd centralny w walce z sankcyonowaną i prawomocną ustawą znalazł również najlojalniejsze poparcie ze strony Izby panów, która, posługując się fałszywemi zestawieniami kosztorysowemi, udzieliła rządowi rozgrzeszenia za stosowaną w tej sprawie przezeń politykę, umocniła go na dalszą walkę z opinią publiczną.

*) Starsze formacye węgla kamiennego w Galicyi, na które później natrafiono w dolinie Wisły, nie tylko nie ustępują pod względem dobroci pruskiemu węglowi, lecz owszem przewyższają go nawet. Węgiel górnego Śląska posiada bowiem 6.000—6.800 kaloryi — węgiel zaś galicyjski z doliny Wisły 5.800—7.000 kaloryi.

**) Aby dać przykład taniości ruchu na drogach wodnych, dość przytoczyć następujący przykład. Frachty węglowe na skanalizowanej Łabie są czasem tak nizkie, że wynoszą 0.30 hal. od tony na 1 km., co na odległość 320 km. wyniesie 10 kor. od wagonu. Za taką cenę przewozi kolej żelazna węgiel na odległość 6 km., transport zaś kolejowy jednego wagonu węgla na odległość 320 km. kosztuje nie 10 kor., lecz 89 kor. okrągło licząc.

Społeczeństwo bowiem galicyjskie pod wpływem agitacyi techników polskich zaczęło budzić się z odrętwienia, zaczęło domagać się coraz to energiczniej wykonania ustawy. Rząd centralny — a właściwie jego ówczesny reprezentant, p. Biliński, zrozumiał, że trudno mu będzie w dalszym ciągu wykręcać się sianem nierealnych przyrzeczeń i obietnic. Dlatego też postanowił wykręcić się rekompensatą pieniężną, bo w zamian za zaniechanie pierwotnego planu — którą zresztą trzeba sobie dopiero było — jak to sprytnie p. Biliński określił — wywalczyć w parlamencie.

Owe projekty odszkodowań pieniężnych odrzucił jednakowoż kraj równie stanowczo, pomimo chwiejnego stanowiska większości naszych posłów, wiedział już bowiem, że nie zdołają one nigdy zastąpić nam kanałów spławnych, mających skrzepić nasz organizm produkcyjny i stworzyć przełom w gospodarczem życiu Galicyi.

Na skutek szerszego uświadomienia społeczeństwa, sprawa kanałowa stała się z czasem kwestyą, która otwierała lub zamykała podwoje parlamentu wiedeńskiego dla kandydatów poselskich z Galicyi. Byliśmy przytem świadkami niebywałych od dawnych czasów objawów cudotwórczych w naszem życiu politycznem. Oto podczas ostatnich wyborów parlamentarnych nastąpiła gwałtowna przemiana materyi mózgowych naszych wybrańców, a na arenie wyborczej w Galicyi zjawiło się raptem tylu najgorętszych zwolenników idei dróg wodnych, ilu było kandydatów do godności poselskiej.

Wpłynęło więc do Koła polskiego wielu rzekomych obrońców tej sprawy, sam zaś jego ówczesny prezes. p. Biliński poprzysiągł wierność ustawie z 1901 roku, z pogardzanego przez siebie przed niedawnem jeszcze czasem świstka papieru uczynił sztandar wspaniały, przy którym walczyć, paść lub zwyciężyć — ślubował.

I trzeba przyznać objektywnie p. Bilińskiemu, że udało mu się doprowadzić w r. 1911 do faktycznego rozpoczęcia budowy kanałów galicyjskich. Ten pierwszy ruch łopaty — wykonany pod Zelczynem w 10 lat po uchwaleniu ustawy kanałowej, miał niezmierne dla sprawy kanałowej znaczenie. Znaczenie to było tem większe, że rozpoczęcie budowy kanałów żeglugi przypadło na okres najbardziej stanowczego zwalczania tej idei przez rząd centralny. Doszło w tym względzie do tego, że p. Bienerth, ówczesny szef gabinetu ministrów, pomimo obecności w tym gabinecie zastępcy polskiego, nie wahał się rozpoczynać każdorazowego posiedzenia ministrów parafrazą starorzymskiego „Ceterum censeo — Carthaginem delendam esse“, na austryackie: „Die Wasserstrassen werden nie gebaut werden“, by wpoić w swoich kolegów, że realizacya ustawy z 1901 roku nigdy nie nastąpi.

Niestety zainteresowanie się społeczeństwa galicyjskiego budową kanałów żeglugi było krótkotrwałe. Najżarliwsi zaś obrońcy tej idei, do jakich zaliczano posła Kędziora, zbyt szybko przejęli się atmosferą wiedeńską w tej sprawie, zbyt łatwo poszli za argumentami rządu centralnego, głoszącego w dalszym ciągu niemożliwość wykonania uchwał parlamentarnych z 1901 roku.

Dzisiaj więc buduje się wprawdzie kanały żeglugi na przestrzeni około 20 kilometrów między Zatorem a Krakowem z opuszczeniem wszystkich ważniejszych objektów kanałowych. Sama zaś budowa postępuje w tak powolnem tempie, że, gdyby ono trwać miało tak w dalszym ciągu, to na

wykonanie kanału od granicy śląskiej do Krakowa potrzeba byłoby z górą lat 20-stu.

Jak więc z jednej strony grozi nam wybudowanie krótkiego i ślepego kanału od Krakowa do granicy śląskiej, który byłby anachronizmem technicznym i komercyalnym, tak z drugiej strony, gdyby budowa kanałów galicyjskich postępowała nadal w dotychczasowem tempie, ciągnęłaby się wówczas conajmniej przez dwa pokolenia — co zabić musi i najgenialniejszy projekt techniczny.

Połączenie zaś zachodniej odnogi kanału galicyjskiego ze spławną Odrą i pruską siecią dróg wodnych, o które zabiegają Prusacy, przyniosłoby nam nieobliczalne szkody. Wydałoby bowiem Kraków wraz z zagłębiem krakowskiem — dzisiaj już niestety bardzo poważnie pod tym względem zagrożonem, na łup bezwzględnej germanizacyi. Ten wzgląd należy podnieść z tym większym naciskiem — ponieważ znajdują się pomiędzy nami ekonomiści, którzy, dążąc za wszelką cenę do połączenia galicyjskich dróg wodnych z europejską siecią — propagują najkrótsze połączenie — z Odrą lub też przez Przemszę z dawnym kanałem Kłodnickim. Myśl ta zrealizowana — szczególniej wówczas, gdybyśmy nie mieli połączenia z Dunajem — a przezeń wprost ze środkową Europą — ani też odnogi do Nadbrzezia, decydowałaby na zachodnich kresach Galicyi o naszem samobójstwie narodowem i ekonomicznem.

Jeśli mówimy o stanie sprawy budowy dróg wodnych w obecnej dobie, to przypomnieć również należy, że dzisiaj panuje w tej dziedzinie najzupełniejsze bezprawie.

Ustawa z 1901 roku obowiązywała rząd do 1913 roku — w którym kończył się pierwszy okres budowy. Fundusze, przeznaczone na ten cel, są do dnia dzisiejszego — dzięki podjęciu budowy w 1911 roku albo wyczerpane — albo też najzupełniej związane.

Po roku 1913 powinno było Koło polskie w myśl pierwotnej ustawy kanałowej postarać się o zabezpieczenie dalszych funduszów. Miała to uczynić nowela do ustawy kanałowej z 1901 roku, której projekt wniósł rząd centralny w parlamencie wiedeńskim z końcem grudnia 1911 roku.

Nowela powyższa miała duże braki. Zarzucała ona między innemi przynajmniej na czas najbliższy budowę kanału spławnego Dunaj-Odra, unicestwiając przez to wielką ideę kanału środkowo-europejskiego, wyrywając kanały galicyjskie ze światowej sieci dróg wodnych, pozbawiając je międzynarodowego pod względem ekonomicznym znaczenia.

Nowela kanałowa wyznaczała na II-gi okres budowy bardzo szczupłe fundusze — bo 73·4 milionów koron i to na lat 15 (1913—1927) tak, że budowa kanału galicyjskiego zabezpieczona w ten sposób trwaćby musiała co najmniej lat 50. Zawierała ona mnóstwo niejasności i niebezpieczeństw dla naszego kraju.

W każdym jednak razie nowela kanałowa była ustępstwem rządu — kardynalnym obowiązkiem Koła Polskiego było — łącznie z polskim Klubem socyalistycznym — występującym zawsze szczerze i gorąco w obronie ustawy z 1901 roku, wymóc na odnośnych czynnikach potrzebne zmiany, nie dopuścić do tego pod żadnym warunkiem, by po 1913 roku mógł zaistnieć ten stan chaotyczny, którego obecnie jesteśmy świadkami.

Że to nie nastąpiło pomimo ciągłego odwoływania się rządu centralnego do kieszeni ludów, czy to w formie potężnego zwiększenia wydatków na cele zbrojeń, czy to w formie zwiększenia podatku krwi przez pomnożenie o jedną trzecią rocznego kontyngentu rekruta — winną jest rządząca większość Koła — jak również Klub posłów ruskich, odnoszący się do całej sprawy w sposób szowinistyczny, naiwny i krótkowzroczny, na ogół dla budowy kanałów spławnych wrogi.

Nie możemy w tej sprawie winić rządu centralnego. Ten patrzy spokojnie na naszkicowane powyżej ewolucye społeczeństwa, nie zmieniając zasadniczo swojego stanowiska, a posługując się coraz to nowymi sposobami, przy pomocy których rozbija opinię publiczną, rozszczepia jej ostrze, czyniąc je dla siebie nieszkodliwem.

Jest błędem nie do darowania, że rząd centralny znajduje w tej taktyce częstokroć nieświadomych zwolenników w Galicyi, którzy zależnie od okoliczności popierać będą pośrednio jego zamiary. Podniosą więc oni w niewłaściwym czasie myśl skanalizowania Wisły. Kiedy zaś myśl ta upadnie przez to, że Wisła jest rzeką pograniczną i że podniesienie zwierciadła jej wód wpłynąćby musiało niekorzystnie na kultury nadbrzeżne, wówczas wysuną oni kwestyę przesunięcia trasy kanałowej ku istniejącym już kopalniom w zagłębiu krakowskiem, lub rzucą spóźnioną ideę zbudowania kanałów mniejszych dla statków 200, a nie 600-tonnowych.

Wszyscy ci wnioskodawcy nie osiągają niczego, kultywują natomiast chaos w całej sprawie — tak wygodny dla rządu centralnego.

W ostatnich czasach powstał w kołach techników galicyjskich spór na temat kierunku trasy kanału galicyjskiego. Jedni występowali w obronie trasy północnej, biegnącej wzdłuż Wisły i Sanu, drudzy bronili zasady, że projektowany kanał powinien wziąć w opiekę istniejący już handel i przemysł — nie może przeto być trasowany w pustkowiu galicyjskiem, biec natomiast powinien wzdłuż kolei Karola Ludwika, by dotrzeć do wszystkich miast galicyjskich, tamże leżących. Ostatecznie zatwierdzono w Wydziale krajowym trasę pośrednią, będącą kombinacyą dwu poprzednich alternatyw.

Z naszej strony wypowiadamy się za trasą środkową, żądając bezwzględnie odnogi do portu w Nadbrzeziu i odnogi do Lwowa-Brodów. Posiadając te ostatnie, moglibyśmy się na razie obejść bez połączenia z Dunajem i Odrą. Uzyskalibyśmy bowiem przez nie bezpośrednie połączenie z morzem Bałtyckiem i morzem Czarnem.

Co do postępowania rządu centralnego, nie mamy żadnych złudzeń. Rząd ten wynajdzie zawsze te motywy, jakich w danej sytuacyi politycznej potrzebuje.

Dziwić się zatem będzie w pewnym momencie, że pomimo nader rozwiniętej sieci naturalnej rzek, w państwie austryackiem tylko 6% ruchu towarowego przypada na drogi wodne, 94% zaś na koleje żelazne. Gotów uwierzyć wówczas, że przeciążenie ruchu kolejowego towarami masywnymi, o stosunkowo nizkiej taryfie przewozowej jest jedną z głównych przyczyn deficytów kolejowych. Wyprowadzi stąd naturalny wniosek uzasadniający potrzebę zmiany w tym kierunku, potrzebę połączenia rzek spławnych sztucznymi kanałami żeglugi, stworzenia jednolitej sieci dróg wodnych, stawiającej Austryę w rzędzie tych państw europejskich, które prowadzą racyonalną gospodarkę wodną i ciągną z tego różnorakie korzyści.

I w danej chwili zainicyuje tenże rząd centralny rozległe studya fachowe, stworzy osobne biura techniczne, które z ogromnym nakładem pieniężnym przygotują szczegółowe projekty, wykupi grunta potrzebne pod budowę, wyda jednem słowem miliony na zapoczątkowanie tej „epokowej“ — jak sam ją tytułuje — inicyatywy.

Zmienią się warunki polityczne, zmienią się również i te poglądy, jak pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej.

A więc to, co było prostą konsekwencyą naturalnych, nader dogodnych warunków, staje się niemożliwą do pokonania trudnością techniczną, której realizacya powoduje nadmierne koszta. To, co było przedtem rentowne, staje się dzisiaj interesem więcej niż wątpliwym; co było pożyteczne, szkodliwem; co wspierało i rozwijało przedtem przemysł krajowy, dzisiaj go zabija. Jednem słowem, co wczoraj było białem, stało się dzisiaj czarnem.

Nie można się dziwić taktyce rządu w tej sprawie. Naczelną bowiem zasadą jest jedną ręką Galicyi dawać pewne koncesye — pod przymusem chwilowych okoliczności, a drugą to samo odbierać — o ile przymusowe okoliczności przeminą. Zdziwieniem natomiast przejmuje nas obojętność, z jaką społeczeństwo galicyjskie obserwuje te logiczne skoki, które poprzednio scharakteryzowałem. Z oburzeniem śledzimy również niedołęstwo i ustępliwość Koła polskiego, które świadomie zaprzepaszcza przyszłość ekonomiczną Galicyi.

Przyczyną tego smutnego stanu sprawy jest małe uświadomienie społeczeństwa, które się tak zachowuje, jak gdyby tu chodziło o jakiś kanał panamski, albo też przyjmuje pozę miliarderów, dla których przedsięwzięcie, obliczone na setki milionów, drobnostką się wydaje.

Będzie naszem najbliższem zadaniem przełamać tę obojętność, uświadomić jak najszersze koła obywatelskie w omawianej sprawie. A wówczas już łatwo nam przyjdzie rozkołysać fale opinii publicznej na wielką skalę i wydobyć z odmętu poglądów i poglądzików na widownię publiczną jedno olbrzymie wołanie:

„Żądamy bezwarunkowej realizacyi ustawy kanałowej z roku 1901, która stworzyła najkorzystniejsze dla nas w tej sprawie warunki i za którą zapłaciliśmy już dziesięciokrotnie świadczeniami na rzecz konieczności państwowych.

Inż. Wł. Sikorski.

PRAWDA O POWSTANIU 1863 ROKU.

Gdy powstanie 1863 r. zostało stłumione — a nastąpiło to o rok wcześniej, nim ostatni z „kryjaków“ wyzionął ducha pod kulami — na całym obszarze ziem Rzeczypospolitej rozpoczęła się skrzętna praca grabarzy kontrrewolucyjnych. Wszędzie zmywano, ścierano ślady wielkiego porywu narodowego, chowano skrzętnie lub niszczono pamiątki drukowane, zdradzając strach przed ponownym wybuchem zgasłego wulkanu,

nie mniejszy od strachu rządu rosyjskiego, który ciągie jeszcze raz po raz wytaczał armaty na place miejskie. Ale na tem nie koniec. Nie dość było usuwać ślady zwyciężonego ruchu, trzeba było zapobiec jego odrodzeniu się w przyszłości. I ta praca została też dokonana sumiennie, *con amore*...

Nie upłynęło pół tuzina lat, a już na wszystkich działach polskiej myśli popowstaniowej reakcya ugodowa wycisnęła swoje piętno. Historya, literatura, sztuka, powieść, poezya — zostały ugniecione, wymodelowane stosownie do potrzeb coraz bardziej pod wpływem strachu szalejącej reakcyi. A zwłaszcza tyczyło to się historyi. Najtęższe umysły konserwatywne Polski ówczesnej, Bobrzyński, Kalinka, Szujski, wytężyły swój talent, aby przekonać naród, że niepodległość musiała być przez nas utracona, gdyż historya pracowała nad tem bodaj jeszcze za czasów myszy Popielowych i że zgoda z losem jest koniecznością dziejową. I, odpowiednio do tego, powstanie musiało być przedstawione, jako wybuch szaleństwa, nie tylko niczem nie umotywowany, ale właśnie z góry skazany na klęskę. Ponieważ zaś pozostali na wolności byli to przeważnie ci, którzy do powstania pójść nie zechcieli, więc można sobie wystawić ich entuzyazm, gdy im czarno na białem wykładano, że powstanie udać się nie mogło i że każdy rozsądny człowiek powinien był to zauważyć.

Żadne powstanie nie trwało tak długo, jak styczniowe, żadne nie było tak mało ludowem, dlatego żadne nie skończyło się tak doszczętnem wytępieniem drobnej warstewki, z której rekrutowała się ostatnia armia polska. To też kontrrewolucya miała łatwe zadanie. Każdy utwór, skierowany przeciwko powstaniu, znajdywał czytelników, nie wymagających od autora ani talentu, ani zamiłowania prawdy, lecz tylko schlebianie panującym wtedy namiętnościom. I dlatego, jeżeli historya państwa polskiego fałszowana była przez Kalinków i Bobrzyńskich, to nad dziejami powstania znęcały się już tylko postacie drugorzędne, Koźmiany, Przyborowscy, Lisiccy...

Były próby oporu. Mamy pewną, niezbyt wielką ilość książek, usiłujących dać prawdziwy obraz powstania styczniowego, albo zbijających fałsze, hojną ręką rozsiewane przez ugodę. Ale nawet przez tę obronę powstania jedna jego dziedzina nie została wyświetlona. Są to stosunki międzynarodowe, polityka zewnętrzna 1863 r. Tu ugoda czuła się w swym elemencie, gdyż ze stanowiska wychowania, stanu majątkowego, miała łatwiejszy dostęp do dyplomacyi europejskiej i mogła znać, albo, jak zobaczymy, u d a w a ć, ż e z n a t a j n i k i p o l i t y c z n e i na swój sposób je tłumaczyć. Nieliczni pogrobowcy rewolucyjni nie byli w stanie im przeciwdziałać. Rodzący się socyalizm albo się tem nie zajmował, albo przez doktrynerstwo zaniedbywał tę kwestyę.

W ten sposób powstała l e g e n d a, ż e p o w s t a n i e 1863 r o k u n i e m i a ł o ż a d n y c h w i d o k ó w p o w o d z e n i a. Nazywam ją le-

gendą, gdyż nie była ona oparta na żadnych sprawdzonych faktach, lecz w najlepszym razie na przypuszczeniach, zwykle na prostych fałszach, bezczelnie podawanych za prawdę. Dotąd bowiem żadne archiwum spraw zagranicznych mocarstw, które miały związek z powstaniem styczniowem, nie zostało otwarte ani dla publiczności, ani nawet dla osób wybranych. I dopiero teraz spadła część zasłony z tego sfinksa. Udało się mianowicie znaleźć książeczkę, zawierającą korespondencyę dyplomatyczną angielskiego ministra spraw zagranicznych z ambasadorami angielskimi przy dworach w Rosyi, Austryi, Prusiech, Francyi itd. Korespondencya ta zawiera, obok dokumentów, wydrukowanych w urzędowem angielskiem wydawnictwie („Księdze niebieskiej"), ustępy opuszczone oraz listy, raporty, depesze, które wcale parlamentowi angielskiemu nie były komunikowane [1]).

Rzadko która książka robi takie wrażenie, jak ten na pozór suchy przedruk dokumentów dyplomatycznych. Jest to coś w rodzaju tego podmuchu wiatru w końcowym ustępie powieści Sieroszewskiego „Ucieczka", który odkrywa zdumionym oczom garści zbiegłych zesłańców zbliżającą się do nich obławę kozacką i stojący o kilkadziesiąt kroków od brzegu morskiego statek angielski, który miał ich unieść ku wolności, ku nowemu życiu. Co chwila wykrzykuje się mimowoli: „Ach czemuż oni tego nie wiedzieli!"

My zaś, dowiedziawszy się o tem, mamy obowiązek wysnuć stąd odpowiednie wnioski.

* * *

Przyjrzyjmy się naprzód, jak przedstawiane były przez ugodę warunki zewnętrzne, które towarzyszyły wybuchowi powstania. Żeby tego dokonać, nie będziemy rozpatrywali wszystkiego, co na tem polu zostało dokonane, choć jest to praca, do której należałoby już dzisiaj, po zjawieniu się „Tajnej korespondencyi", przystąpić. Ale na to nie nie wystarczy artykuł w miesięczniku, dlatego ograniczymy się do książki Koźmiana. Zresztą, książka ta miała większy wpływ od wszystkich innych prac, skierowanych przeciwko ruchowi powstańczemu, a w większości wypadków powtarzających tylko wymysły Koźmiana [2]). Otóż według tego ostatniego bieg wypadków był następujący:

Powstanie styczniowe wybuchło w chwili najnieodpowiedniejszej, gdyż Francya wtenczas właśnie wymogła na Rosyi ustępstwa, których widownią było Królestwo. Dlatego też „cesarz Napoleon, rząd cesarski, Wa-

---

[1]) Confidential Correspondence of the British Government respecting the insurrection in Poland: 1863 (Paris 1914).

[2]) St. Koźmian. Rzecz o roku 1863. Kraków 1896. Wydanie II.

lewski, a wskutek tego także Hotel Lambert... poczytywali powstanie za nieszczęście, niemal za zawód, za wypadek, niweczący warunki powodzenia sprawy polskiej, za zgubne działanie" [1]).

O tej swojej opinii Hotel Lambert zawiadomił „grono krakowskie", t. j. Koźmiana, Stanisława Tarnowskiego i Ludwika Wodzickiego, za pomocą kuryera, wysłanego co prawda z iście wielkopańską nonszalancyą, bo dopiero 9. lutego 1863 r., w 18 dni po wybuchu powstania.

Ale dnia 16. lutego sytuacya się zmieniła i z Hotelu Lambert przyszła depesza tej treści: „Wszystko zmienione, instrukcye G. F. (kuryera) uważajcie za niebyłe. Trzeba jak najdłużej przetrzymać walkę".

Jakie były przyczyny tego zwrotu? Dwie: 1. zawarcie przez Rosyę i Prusy konwencyi wojskowej [2]), 2. widoki przymierza Francyi z Austryą i Anglią [3]).

Konwencya prusko-rosyjska, dzieło Bismarka, była wykonaniem planu oddawna hodowanego przez tego męża stanu — zbliżenia Prus z Rosyą. Dozwalała ona wojskom obu państw przechodzić granicę, w celu ścigania powstańców polskich. Zawarcie tej konwencyi było według Koźmiana porażką dla polityki Napoleona, który starał się o przyjacielskie stosunki z Rosyą. Dla Prus była ona zabezpieczeniem tyłów na wypadek wojny z Francyą, a jednocześnie asekuracyą przeciw niebezpieczeństwu polskiemu. Zaś w stosunku do Napoleona stanowiła prowokacyę, gdyż przesądzała o losie Polski, nad którą Francya rozpościerała rodzaj moralnego protektoratu.

Anglia obawiała się zbliżenia Francyi z Rosyą [4]), nie chciała też ewentualnego sojuszu Francyi i Austryi (str. 38) i zwycięstwa tych państw nad Rosyą, gdyż to powiększyłoby ogromnie siły Francyi; wreszcie Anglia zazdrościła Francyi jej potęgi morskiej (str. 39). Wskutek tego Anglia pchała Francyę do zerwania z Rosyą, ale wpływała na Austryę ochładzająco (str. 35) i starała się nie dopuścić do wojny. Wciągnięcie Francyi do polityki antyrosyjskiej dokonane zostało w machiawelski sposób przez lorda Russella (angielskiego ministra spraw zewnętrznych); mianowicie zwierzył on się przed margrabią de Cador (zastępcą posła francuskiego, p. Gros), podczas obiadu, że weźmie inicyatywę sprawy polskiej [5]). Rozmowa została oczywiście powtórzona Napoleonowi, który w swej naiwności nie zauważył pułapki, przeląkł się, iż go Anglia ubiegnie i zaczął bronić Polski (typowe dla pewnych ludzi pojmowanie polityki, jako szeregu szachrajstw!) Ale i wtedy Napoleon nie odrazu zmienił po-

[1]) L. c. T. I., str. 6—7.
[2]) L. c. T. I., str. 43.
[3]) L. c. T. III., str. 18.
[4]) L. c. T. III., str. 37, 99.
[5]) L. c. T. III., str. 20.

litykę: naprzód napisał własnoręczny list do cara, namawiając go do ustępstw względem Polaków i, gdy to nie poskutkowało, zaczął Polaków popierać.

Co wreszcie Austryi się tyczy, ona też chciała zapobiec przymierzu francusko-rosyjskiemu (T. III., str. 38) i bała się atrakcyjnego wpływu Królestwa, obdarzonego autonomią, pamiętając słowa „Listu szlachcica polskiego", napisane przez Wielopolskiego po rzezi galicyjskiej. Polityka jej była więc podobna do angielskiej. Ponieważ zaś dyplomacya ugodowa nie wyobraża sobie polityki bez plotki, więc i tu zbliżenie dwóch cesarstw przedstawione zostało w ten sposób, że cesarzowa Eugenia miała na balu zapytać się ambasadora austryackiego, Metternicha, co jego państwo ma do zarzucenia Polakom, na co z jego strony nastąpiła odpowiedź, wielce dla Polaków przychylna [1]). Łatwo sobie wystawić, jak wdzięczne zadanie mieli publicyści ugodowi, kpiący z naiwnych powstańców, którzy tego rodzaju flirt balowy brali za „sojusz".

Chcąc zbadać sprawę na miejscu, całe „grono" jedzie do Paryża, naprzód St. Tarnowski, potem L. Wodzicki, wreszcie sam Koźmian. Zatrzymamy się na podróży tego ostatniego. Nastąpiła ona zdaje się między 24. a 28. marca, w każdym zaś razie blizko po 24. marca [2]), co, jak zobaczymy, ma swoje znaczenie.

Koźmian wyniósł z Paryża „przykre, nawet przygnębiające wrażenie" (T. I., str. 89). Na samym wstępie zraził go p. Texier, redaktor półurzędowego „Siecle'u", który pochwalił się, że doradzał cesarzowi, by „na początek pchnął natychmiast 40.000 Szwedów na pomoc powstaniu". To „dało mu miarę lekkomyślności t. zw. opinii publicznej francuskiej" [3]). Później rozmawiał z ministrem Walewskim i kilku innemi osobami, z których żadna nie dała mu wyraźnego zapewnienia, że Francya dobędzie oręża w obronie Polski. Tej powściągliwości autor nie chciał przypisać niechęci wywnętrzania się przed pierwszym lepszym (choć mającym „koligacye") młodzieniaszkiem, przybyłym z Krakowa, ale zaraz „przeczuł okropne położenie i srogie następstwa" (T. I., str. 96).

Pomimo tego jasnowidzenia, ani Koźmian ani inni późniejsi wrogowie powstania nie odważyli slę wystąpić przeciwko niemu, póki ono miało siłę. Autor tłumaczy to hypnozą, wywieraną przez postać Napoleona i jego obietnice, które widocznie innym ludziom wydawały się bardziej realnemi, niż Koźmianowi. Hotel Lambert mianowicie nie przestał powsta-

---

[1]) L. c. T, I., str. 47.

[2]) L. c. T. I., str. 78. Podkreślamy słowa „zdaje się", gdyż u Koźmiana rzadko można być pewnym dat. Zwykle zadowalnia się on takiemi określeniami, jak „nazajutrz", „po paru dniach" lub najchętniej „w owym czasie". Dodajmy, że prawie nigdy nie wymienia źródeł, z których czerpie swe informacye.

[3]) Dowiemy się niżej, po czyjej stronie była lekkomyślność!

nia popierać, ba, jeszcze w listopadzie, gdy projekt Napoleona odbycia kongresu mocarstw, dla rozpatrzenia kwestyi włoskiej, polskiej, duńskiej i naddunajskiej [1]), spotkał się z powszechną odmową, Czartoryski i Zamoyski nie przestali wierzyć, że jest to tylko sprytny manewr Napoleona, by zyskać czas do wiosny r. 1864 i wtedy rozpocząć wojnę.

Tem, według Koźmiana, tłumaczy się udział konserwatystów w powstaniu i wszystkie klęski, które stąd wynikły. Gdyby nie wiara w pomoc Napoleona, niemożebną, jak pokazuje (rzekomo) analiza dziejowa, bo sprzeczną z interesami wszystkich mocarstw i z ich prawdziwemi dążeniami, to powstanie zostałoby w zarodku zgniecione, no — a wtedy oczywiście Królestwo zachowałoby do dnia dzisiejszego autonomię, instytucye polskie itd.

Z tem ostatniem naiwnem twierdzeniem polemizować nie będziemy, bo los Finlandyi, Gruzyi, prowincyi nadbałtyckich i tylu innych krajów pokazał dobitnie, czem Rosya opłaca za lojalność. Za to rozpatrzymy, co warta jest „historya“ powstania, w opracowaniu ugodowem?

* * *

Zmiana stosunku Napoleona III. do powstania nastąpiła według Koźmiana po zjawieniu się konwencyi prusko-rosyjskiej i z jej powodu. W zdaniu tem jest cząstka prawdy. Rzeczywiście Napoleon użył konwencyi, jako pretekstu, by napaść z początku na Prusy, później na Rosyę, oraz, by starać się o przyjaźń Anglii i Austryi. Ale do tego ogranicza się cała ścisłość historyczna p. Koźmiana. R e s z t a, s ą t o b a j k i, z p a l c a w y s s a n e.

Już samo przypisywanie konwencyi jakiegoś magicznego wpływu na postanowienia Napoleona nie wytrzymuje krytyki. Jakto: Francya stara się o przyjaźń Rosyi; Bismark, chcąc tę przyjaźń uniemożebnić, zawiera konwencyę; i wtedy właśnie Francya miałaby brać stronę Polaków, czyli niszczyć na długie lata wszelkie nadzieje porozumienia się z Rosyą! Polityka taka byłaby absurdem. Przeciwnie, konwencya mogła być wyzyskana tylko przez mocarstwo, które z góry zdecydowane było na szukanie sporu z Rosyą. Stanowiła ona wygodny pretekst i nic więcej. Inaczej, Napoleon mógł i po zawarciu konwencyi starać się o przyjaźń Rosyi, żądając najwyżej niewykonywania konwencyi, na co Rosya zgodziłaby się pewnie. Umowa ta bowiem, jak wiemy z „Korespondencyi“, nigdy wykonaną nie została, narobiła Rosyi i Prusom dużo kłopotu, bynajmniej nie stanowiła konieczności dla Rosyi, wreszcie, już do dnia 11. marca 1863 r. tyle razy i tak uroczyście ogłoszona została za niebyłą, że dnia tego Anglia pole-

[1]) L. c. T. I., str. 231; T. III., str. 129.

ciła swym przedstawicielom zagranicznym zaprzestać żądania jej tekstu, stwierdzając, że ona jest martwą literą — z czem rząd francuski się zgodził.

Dla innych twierdzeń Koźmiana nie znajdujemy żadnego poparcia. Więc nie wiadomo, na czem on opiera swą teoryę, jakoby reformy w Królestwie wywołane były naciskiem ze strony Francyi? Tak samo nie znajdujemy w „Tajnej Korespondencyi“ żadnych śladów wciągnięcia Francyi do antagonizmu z Rosyą przez intrygę angielską. Niema też śladów owego listu Napoleona do cara, chociaż nie ulega wątpliwości, że ambasador angielski, posiadający świetne źródła informacyjne, nie omieszkałby o tem wspomnieć.

Cała rzecz zaczyna więc nabierać innego charakteru. Napoleon przekonał się, że powstanie polskie stanowi dla niego pożądaną gratkę, dając możność szukania przyczepki do Prus, zawarcia na tem tle sojuszu z tym czy innym antagonistą Prus i Rosyi, wreszcie — w o j n y.

Z początku wojna grozi Prusom. Dnia 25. lutego 1863 r. p. D r o u i n d e L h u y s, francuski minister spraw zagranicznych, w rozmowie z ambasadorem austryackim mówi o ewentualności wojny z Prusami (N 82 „Korespondencyi“). Dnia 27. lutego tenże ambasador zwierza się, że Napoleon chce koniecznie sojuszu z Austryą, ale że poza tem kryją się myśli o jakichś korzyściach terytoryalnych — może o lewym brzegu Renu (N 98). Pod naciskiem francuskim Prusy wyrzekają się konwencyi z Rosyą i odtąd przedmiotem ataków francuskich staje się państwo carów.

Jeszcze dnia 3. marca (N 128) lord C o w l e y (ambasador w Paryżu) pisze do lorda Russella o „sztucznym ruchu“ z powodu Polski, wywołanym przez rząd, ale mogącym się rozwinąć. Polacy, zdaniem lorda C., „utracili prawa do sympatyi francuskiej przez swą bezczynność podczas wojny Krymskiej“, w grę wchodzą tylko „egoistyczne żądania partyi polskiej w Paryżu“ — bogatych emigrantów, którzy podniecają kraj, nie płacąc swoją osobą.

Ale odtąd obraz się zmienia. Już dnia 4. marca rząd francuski odmawia usunięcia z depeszy zdania obraźliwego dla Rosyi, — czego żądał ambasador francuski w Petersburgu. A potem sytuacya zaostrza się z każdym dniem. Francya pcha do sojuszu z Austryą przeciw Rosyi. Austrya opiera się, ale jest tym naciskiem przerażona, czuje, że Francya, nie zaprzyjaźniona z nią, może być dla niej znowu groźnym antagonistą, więc ustępuje powoli. Dnia 11. marca wielki alarm w Wiedniu, ambasador austryacki zostaje z Paryża odwołany dla udzielenia wyjaśnień (N 163). Następnego dnia alarm się wyjaśnia (N 166). Tegoż dnia, w rozmowie z ambasadorem angielskim, Dr. d e L h u y s mówi o potrzebie niepodległości Polski (N 171). Zaś 17. marca Cowley pisze, że z zupełnie pewnego źródła dowiedział się o następującym planie Napoleona (N 222): Austrya zawiera z Francyą ścisły sojusz, oddaje Polsce Galicyę i Kraków i dostaje

w zamian Ślązk pruski oraz, co zechce jeszcze; Francya dostaje prowincye nadreńskie, Belgia zostaje neutralną. Dnia 19. marca cesarz wygłasza do Cowley'a znamienne słowa: „wojna jest wykluczona, o ile nie przedsięweźmie jej Austrya" (N 240). W tym samym liście C. pisze, że Napoleon jest zdaniem jego „osobiście zaangażowany" w sprawie polskiej i musi swego dopiąć. Z N 241 i 260 dowiadujemy się o instrukcyach, danych przez Napoleona Metternichowi, jadącemu do Wiednia, oraz wysłańcowi francuskiemu specyalnemu, Ks. de Grammont. Są one podobne do tego, co wyżej powiedziano. Napoleon proponuje Austryi traktat zaczepno-odporny przeciw Rosyi i Prusom. Charakterystyczne przytem, że misya ta powierzona zostaje przez Napoleona w tajemnicy przed francuskim ministrem spraw zagranicznych. Tylko sprytny Anglik wiedział o tem, dzięki swej niezwykłej „ajenturze", ba, nawet wiedział, że cesarz osobną depeszą cofnął postawioną pierwiastkowo propozycyę odstąpienia Wenecyi Włochom przez Austryę (N 260 z 24 marca)! A naiwny Koźmianek dziwił się, że jeszcze o takich rzeczach Francuzi nie mówią!

Idźmy dalej! Pod N 206 z 17 marca znajdujemy rozmowę ministra Russella z hr. Apponyim, ambasadorem ausutryackim, w której R. mówi, że są 2 metody rządów rosyjskich w Polsce: metoda Mikołaja lub Aleksandra I. Pierwsza prowadzi do ciągłych buntów; druga, po 15—20 latach, prawdopodobnie pociągnie za sobą niezależność, ale jest jedyną, zapewniającą państwu spokój i szczęście. Ta rozmowa zadaje kłam twierdzeniu, jakoby Anglia przeszkadzała porozumieniu Austryi z Francyą, dla spraw polskich. To samo (potrzeba kooperacyi Austryi z Francyą i Anglią) mówi ambasador angielski do ambasadora austryackiego w Paryżu (N 269) i to dnia 25. marca, czyli po dowiedzeniu się o ambitnych i daleko sięgających planach Napoleona!

Co się zaś tyczy misyi Metternicha, to znamy o niej relacyę Cowleya (N 269): Austrya nie chce naciskać na Rosyę, ale waha się; on (lord C.) ma wrażenie, że Austrya nie powiedziała jeszcze swego ostatniego słowa; cesarz miał oświadczyć, że nie opuści kwestyi polskiej!

Jeżeli zważymy, że są to sprawozdania poufne, któreby pozostały dotąd nieznanemi szerszej puliczności, gdyby nie wydobycie ich na światło dzienne przez p. Filipowicza, że są to zatem relacye bardzo szczere, to ocenimy znaczenie tych zdarzeń; a pamiętajmy, że działy się one wtedy, kiedy nasz wielki dyplomata krakowski wpadał w rozczarowanie i rozgoryczenie!

Wtedy też (dnia 26 marca, N 270 i list tegoż dnia, N 355) Cowley posyła Russellowi piorunującą wiadomość, otrzymaną *„on good authority"* (z dobrego źródła), że król Szwecyi zaproponował Napoleonowi sojusz i zaatakowanie Rosyi ze 100.000 żołnierzy, dla odbudowania Polski, przyczem dodał, że Szwecya i Francya wystarczą; czy Austrya

i Anglia przyłączą się, — to obojętne, choć ich neutralność jest pożądana. Niech Francya śle wojska do Szwecyi, a za 2 miesiące będzie w Petersburgu — tak kończył swe wezwanie potomek Bernadotte'a!

A p. Koźmian, i za nim całe czeredy dudków, oburzają się na „naiwność" Francuzów, którzy liczyli na 40.000 żołnierzy szwedzkich! Dodajmy, że gdy Konstanty Czartoryski przyjechał do Sztokholmu, jako emisaryusz, mający wywołać sympatyę dla Polski, to oświadczył, że nie żąda interwencyi Szwecyi, chociaż spotkał się z entuzyastyczną sympatyą, a prezes ministrów, p. Manderström, na zarzut, że Rosya może się obrazić, odpowiedział, że przyjmie to „*with the resignation of indifference*" (z rezygnacyą obojętności), N 318 z 30 marca.

Nie jesteśmy w stanie streszczać niezliczonych depesz i listów, stwierdzających, jaki alarm panował w kancelaryach dyplomatycznych na wiosnę r. 1863 i jak wojna zdawała się być blizką. Co zaś do zachowania się trzech państw najbardziej zainteresowanych, to można je streścić w sposób następujący: Austrya wojny nie pragnęła, gdyż bała się utracić Galicyę, a nie wierzyła w kompensaty, ale ustępowała przed naciskiem i coraz bardziej godziła się z myślą zaatakowania Rosyi; Anglia sama wojny prowadzić nie chciała, ale ucieszyłaby się, gdyby Rosya została ponownie napadnięta i osłabiona i gdyby pod jej bokiem powstało państewko, które byłoby jej śmiertelnym wrogiem; Francya była w wojnie najbardziej zainteresowana, raz ze względu na tradycyjną politykę narodowościową Napoleona, powtóre, aby uzyskać nad Wisłą niezależnego a wiernego sojusznika, pożądanego w razie starcia z Prusami, Rosyą, Austryą. Jednak Francya prowadzić mogła wojnę tylko w takim razie, gdyby w sojuszu z nią znajdował się jakiś sąsiad Rosyi. Tym sąsiadem mogła stać się Austrya, a może wystarczyłaby nawet Szwecya, przy sprzyjającej neutralności Anglii i Austryi, co, jak widzimy, było zapewnione.

Dlaczego więc wojna nie wybuchła? Kogo brakowało w tej szykującej się przeciwko Moskwie koalicyi?

Brakowało... Polski.

Polska nie stawiła się do apelu pod dwoma względami: wojskowym i dyplomatycznym.

Zacznijmy od pierwszego. Zasadą wojenną jest uczynienie pierwszego ciosu jak najdotkliwszym dla przeciwnika. Powstania nie usuwają się od tej zasady. Tymczasem cóż widzimy w tym właśnie miesiącu marcu, kiedy w gabinetach ważyły się losy Polski? Niedołężną dyktaturę Langiewicza, jej upadek, abstynencyę od ruchu większości szlachty i intrygi mniejszości, by pozbawić powstanie wszelkich cech wojny ludowej. A trzeba tu zauważyć, że powstanie, aby znaleść sojuszników, powinno było wystąpić bardzo imponująco. Nie jest to sytuacya dzisiejsza, kiedy Polska ma walczyć jako czyjś pomocnik, który może udzielić sukursu, a może też go

odmówić, jeżeli jego interesy tego wymagać będą. Wtedy nie potrzebowano Polski; ona szukała aliantów i mogła ich znaleść tylko wśród państw, które były w stanie żyć i rozwijać się bez wojny zwycięskiej z Rosyą. Nie był to ten życiowy, niepokonalny interes, który pchał n. p. państwa bałkańskie do wojny z Turcyą w r. 1912, który każe dzisiaj Austryi stoczyć wojnę z Rosyą. I ten brak dostatecznie silnego zainteresowania trzeba było kompensować. Czem? Oczywiście siłą własną, dającą ewentualnemu sojusznikowi Polski widoki zwycięstwa nad państwem carów bez zbyt wielkich trudności.

Historya nie jest algebrą i robienie przypuszczeń w tej dziedzinie jest zawsze ryzykownem. Jeżeli zatem nie możemy z pewnością twierdzić, że rozszerzenie się powstania w miesiącu marcu choćby do tych rozmiarów, jakich ono dosięgło w czerwcu, po przystąpieniu „Białych", dałoby interwencyę francuską, to nie ulega wątpliwości, że szanse interwencyi byłyby wtedy większe. Z Francyą i ta sama Austrya i Szwecya daleko więcej widziałyby korzyści dla siebie w akcyi wojennej, popartej przez kilkadziesiąt tysięcy zbrojnych Polaków, niż wobec kilku tysięcy źle uzbrojonej ruchawki.

Takie powstanie, jakiego widownią była Polska w lutym i marcu 1863 r., dla państwa obcego, nawet przychylnie usposobionego, jak Francya, mogło stanowić materyał do intrygi politycznej, ale nie do akcyi na większą skalę. Ludzie tego rodzaju, jak Koźmian, wyobrażają sobie, że możliwem było wywalczenie niepodległości Polski bez Polaków, z powstaniem „markowanem", z tem słynnem „trwaniem", które było hasłem Białych przez cały r. 1863. Zapominają oni, że Francya tylko w tym wypadku by tak postąpić mogła, gdyby chciała i mogła zrobić z Polski swoją prowincyę!

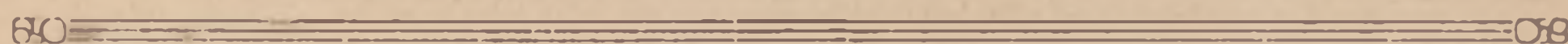
Nie mniejszą winę przypisać należy dyplomacyi polskiej. Gdyby prawdą było, co pisze Koźmian o wrogim stosunku Napoleona do powstania przez pierwszych 18 dni, to wprost zbrodniczem było milczenie w tej sprawie Hotelu Lambert, tem bardziej, że dyplomaci nasi oddawna powinni byli powstanie przewidzieć i w odpowiedni sposób opinię polską co do spraw zagranicznych powiadomić. Ale, co należy uważać za jeszcze gorsze, to brak zrozumienia, że ze zwrotem w poglądach Napoleona następuje chwila historyczna, która z całem wytężeniem energii narodowej powinna być wyzyskaną. Niczego podobnego nie znajdujemy w instrukcyach, przysyłanych przez Czartoryskiego. „Starać się trwać, unikać rozbicia", czyli chyba usuwać się od walki — oto są wskazówki dla Langiewicza*). Za to nie brakowało tam żądania „stanowczego zachowania się wobec Mierosław-

*) Koźmian, T. I., str. 62.

skiego", co też nasz „dyktator" w ten sposób zrozumiał, że obiecał, w razie pochwycenia Mierosławskiego, rozstrzelać go (ib.)

Dyplomacya polska z 1863 r. ani przez chwilę nie poczuła się do tego, że jest przedstawicielstwem narodu; w chwili, kiedy sprawy zagraniczne żywemi nićmi zrosły się z kwestyą istnienia narodu, ci, którzy od pół wieku pracowali na tem polu, okazali się karłami, niezdolnymi do wielkich przedsięwzięć. Ani w danej chwili nie potrafili skoncentrować energii narodu na zadanie, które stawało się możliwem do wypełnienia, ani później nie zrozumieli, że minęła chwila stanowcza i nie zdołali tego narodowi powiedzieć.

Ale nie o krytykę powstania nam idzie. Chcieliśmy wykazać, że w świetle prawdy historycznej rok 1863 inaczej zupełnie wygląda, niż go nam przedstawili historycy ugodowi. Zaznaczamy też, że wymieniliśmy tylko drobną cząstkę sprostowań, których na podstawie „tajnej korespondencyi" można dokonać. Ale i to wystarcza, żeby stwierdzić, że mieliśmy przed półwiekiem szanse odzyskania niepodległości. *Polonus Viator.*



U ŹRÓDEŁ KATASTROFY DZIEJOWEJ.

I.

Historya naszego narodu zawiera mnóstwo legend, podobnie zresztą, jak historye innych narodów. Legendy takie mogą mieć i miewają wielką wartość, jeżeli podnoszą poczucie godności narodowej i nastrajają zbiorową psychikę narodu na ton bohaterski. W tem rozumieniu legenda o Herkulesie zaprawiała młodzież grecką do czynów heroicznych, jak znowu nasza n. p. legenda o królowej Wandzie uczy gotowości poświęcenia życia dla dobra ojczyzny.

Ale obok legend pożytecznych istnieją legendy szkodliwe, utrwalające gorsze skłonności charakteru narodowego. Na nieszczęście niemało takich legend dałoby się odnaleść w historyi politycznej i kulturalnej narodu polskiego. Co więcej! zabarwiły one tak jaskrawo poglądy nasze na przeszłość i teraźniejszość narodową, że coraz silniej występuje potrzeba rewizyi wielkiej części syntezy dziejowej, jaka została nam przekazaną przez tradycyę.

Za jedną z najszkodliwszych legend należy uważać przekazanie, jakoby katastrofa dziejowa, która pozbawiła nas wolności, spadła z zewnątrz, bez naszej winy, owszem — mimo naszej cnoty i patryotyzmu, któremi jakoby górowaliśmy nad innymi narodami Europy. Nie chcę przez to powiedzieć, jakobyśmy byli specyalnie gorszymi od innych narodów, lub jakoby przemoc zewnętrzna była bezwinną w sprowadzeniu na Polskę katastrofy dziejowej. Idzie tylko o wskazanie w tym wypadku szkodliwości legendy, która w konsekwencyach utrudnia poznanie prawdy, ocenę rzeczywistości, skuteczność rady i samopomocy na przyszłość.

W niniejszym szkicu postaramy się przedstawić pierwsze półwiecze wieku XVIII-go, ażeby unaocznić, jak ciężkiej chorobie podlegała ówczesna Rzeczpospolita, ażeby po jej rozpatrzeniu zrozumialszem stało się wszystko, co potem nastąpiło.

* * *

Wiek XVIII. zostawił po sobie szereg pamiętników. Wszystkie one zawierają obok treści historycznej wiele materyału obyczajowego. Niektóre są wprost skarbnicą do poznania obyczajów staropolskich, zwłaszcza te, które opisują epokę saską. Za Stanisława Augusta znikał już bowiem coraz bardziej staroświecki sarmatyzm, kultura narodu doznała widocznego wzrostu. Dawny obyczaj ukrywał się w dworkach drobnoszlacheckich i tkwił jakby zmumifikowany spory jeszcze kawał czasu, skoro nieśmiertelny twórca „Pana Tadeusza“ po latach wielu tyle umiał stąd wydobyć najosobliwszych ciekawości.

Epoka saska przedstawia dla potomności interes wyjątkowy. W tym bowiem czasie właściwości narodowe objawiły się w sposób skrajnie jaskrawy. Toteż, chociaż od tej epoki dzieli teraźniejszość cała przepaść wyobrażeń i poglądów, chociaż są to czasy zdumiewającego upadku we wszystkich dziedzinach zbiorowego życia narodu, oglądamy ją przecież z najwyższą ciekawością. Trzeba nawet powiedzieć, że bez znajomości czasów saskich nie moglibyśmy zrozumieć istotnych powodów dzisiejszej niewoli narodu. Jeżeli chodziłoby o uzasadnienie słuszności starej sentencyi, że historya jest nauczycielką życia, czasy saskie nasuwają w tej sprawie całe mnóstwo argumentów.

Napisał niegdyś ks. Adam Naruszewicz:

„... Czegóż się błędny uskarżasz narodzie,
Zwalając los twój na obce uciski?
Szukaj nieszczęścia w twej własnej swobodzie
I bolej na jej opłakane zyski!
Żaden kraj cudzej potęgi nie zwabił,
Który sam siebie pierwej nie osłabił!“...

Boleśnie skarżył się współczesny Naruszewiczowi, przezacny Franciszek Dyonizy Kniaźnin:

„Kędyż te słupy, te granice twarde,
Które nasz Chrobry oznaczał żelazem?
Tenże to naród cary wiązał harde,
Gromiąc i orły i księżyce razem?
Myż to, Polacy, owych mężów plemię,
Co nam krwią swoją kupili tę ziemię?
O wielkie dusze, których tu nie zliczę!
Jeśli z swej na nas poglądacie chwały,
Zacni Tarnowscy, mężni Chodkiewicze!
Nacóż przykłady nam wasze zostały!
Takeśmy podli, że was bierze trwoga
Błagać za nami zwróconego Boga!“...

Jeżeli było tak źle w czasach, na które żalili się obaj gorliwi patryoci, była to spuścizna czasów saskich, tego przerostu zwyrodnienia narodowego, którego usiłowania najszlachetniejszych w drugiej połowie wieku XVIII-go uleczyć nie zdołały. Co zaś najosobliwsze! Ludzie czasów

saskich popadli w taki nałóg złego, iż nie zdawali sobie z niego sprawy, zło nawet za dobro uważali. I gdy dzisiaj w przekazanych pamiętnikach chwytamy ich niejako na gorącym uczynku i włosy stają nam na głowie na widok tego, co się wówczas działo, nie możemy wyjść równocześnie ze zdziwienia, że pokolenie tamtoczesne tak bardzo miało zamknięte oczy, tak dalece w zakorzenionych błędach było zaślepione.

Duch obywatelski wygasł był zupełnie. Myśl państwowości polskiej stała się czemś niepojmowalnem dla ludzi tamtoczesnych. Wyjątki, jakie były, potwierdzają regułę. Prywata rozpanoszyła się zaraźliwie. Dla dokładniejszej charakterystyki niechaj posłużą niektóre cytaty z różnych pamiętnikarzy i statystów. „*U nas nieporządek, jakiego nigdzie pod słońcem niemasz i zbytki tego przyczyną*" — zapisuje mądry Stefan Garczyński. „Partyi opozycyjnej, jaka jest w Anglii, nie było w Polsce, *bo nikt z magnatów patryotyzmu nie miał;* wszyscy się starali mieć dla siebie przychylnego króla przez ministrów... dla odbierania łask królewskich w starostwach, ministeryach i urzędach... Co tylko który z jaśnie oświeconych albo wielmożnych ichmościów jeszcze nie oschły przywilej od najjaśniejszego pana weźmie, tak zaraz jurysdykcyą swoją rozpościera przez wymyślne komisarzów swych osoby, że czasem, *gdy urząd miejski, wójtowie lub sołtysi oponują się przy prawach i przywilejach* (od kilkuset lat przez najjaśniejszych królów nadanych a przez sukcesorów ich aż do teraz panującego aprobowanych) *ichmościom starostom, to kijmi bywają zbici z tą alegacyą: ja pan, ja prawo*"...

Rękodzieła były w zupełnym upadku. „Wszystko kupujemy za granicą od stóp do głowy; nawet służba, żołnierze. Świątynie i pałace budują u nas cudzoziemcy i dobrze każą sobie płacić, a swoim katolikom poddanym do pomocy i do wożenia materyi darmo po zaciągu chodzić każemy"...

Siły wojskowe były bez wartości. Co gorzej — „lepiej dufano obecności wrogów niż własnym żołdakom"... Jak oceniano pierwsze, nieco późniejsze, nierządne zresztą odruchy przeciw przemocy, dowodzi sąd kanonika Pstrokońskiego o konfederacyi barskiej: „...*Lada gałgan, lada rzeźnik, szwiec, rzemieślnik, lokaj, chłystek — zrobiony towarzyszem, oficerem, rotmistrzem, pułkownikiem konfederackim,* najgodniejszych ludzi chciał mieć pod nogami swojemi i zdzierał, rabował, nakłady na wsie walił, nie tak, jak absolutny monarcha, ale jak despota, jak tyran"... Takie same narzekania ludzi o wyobrażeniach saskich posłyszymy wszakże znacznie także później, za insurekcyi Kościuszkowskiej i w obu powstaniach...

Zdolność i charakter były rzeczą podrzędną. Zważano tylko na urodzenie i puste frazesy „... *Ad statum* pójdźmy; byle umiał schlachcic oracyą dobrze powiedzieć, był ludzki, parentelat, co wszystko *naturae non artis opus*, to on i posłem będzie i komisarzem i deputatem i czem będzie chciał; ani się spytają, czy młody? czy bywał na funkcyi? czy zna *statum?* i nie roztrząsają, co mówi, tylko, że *cum emphasi!*"... Czynności sejmu niedorzecznościami wstrzymywano, jak to uczynił niejaki Dylewski, który „wniósł w izbie poselskiej skargę na drukarnię pijarską, że, choć był pierwszym posłem z województwa swego, jednak go *secundo loco* wydrukowano, a zatem zatamował *activitatem* izby poselskiej"...

W sądach nie było sprawiedliwości. Skarg na to bez liku u różnych pisarzy. „...Sędziowie sądzą nie, żeby sprawiedliwość utrzymywali i *litigia* kończyli, ale żeby zawsze mieli co do sądzenia, dawając protekcyą tym,

co krzywdę czynią; i przeto publiczne przysłowie urosło: to sprawa prawna, ale niesprawiedliwa, tamta sprawiedliwa, ale nie prawna"... Przekupstwo sędziów było pospolite. Nawet taki dygnitarz, jak arcybiskup lwowski Sierakowski, który prezydentem sesyi był z senatu naznaczony, — „choć od wielu za pobożnego miany, ale na tych sesyach niewielkim pokazał się skrupulatem"... Toteż ks. kanclerz przymawiał mu o chciwości, zwłaszcza, gdy arcybiskup żalił się na szczupłe dochody arcybiskupstwa i prosił w dodatku o intratne opactwo...

Pochlebstwo względem możnych i trzymanie się klamki pańskiej weszły w nałóg najkarygodniejszy. Wada ta doszła do potworności i skaziła najokropniej charakter narodu. „...Przyjechaliśmy do Fleminga, — zapisuje Matuszewicz, — zastaliśmy go w dobrym humorze; kazał wina dawać, tem więcej się napiłem. Zacząłem tedy do Fleminga komplementa, oświadczam się z moją dla niego addykcyą czynić, chwalić go i w *brzuch go często całowałem*"... „Często tak byłem spracowany, osobliwie długiem u panów i na asamblach staniem, że cale z sił spadłem i gorączka się zaczynała"... „Skoro zaś z sądów tak rannych, jak i poobiednich zjeżdżali deputaci, zaraz na konia usiadłszy objeżdżałem ich, *do nóg krzyżem padałem*, płakałem i tak nauczyłem się płakać, że skoro do którego deputata przyjechawszy mówić zacząłem, zaraz mi się łzy z oczu lunęły"...

Pijaństwo stało się sromotną wadą powszechną. „Za panowania Augusta III-go kraj cały nie wytrzeźwiał jeszcze, rozpojony przez Augusta II-go. Pijaństwo zrodziło axiomata: *in vino veritas*, drugie: *qui fallit in vino, fallit in omni*... Nie było tedy balu, uczty tak magnatów i obywateli świeckiego stanu, jako i duchownych, aby nie wyprowadzano pijanych, nie mogących się utrzymać na nogach, wyzutych zupełnie z przytomności... *Kto umiał dobrze pić, pewny był fortuny, przyjaciół i honoru*"... „Podczas mojej bytności pięcioniedzielnej książę wojewoda wileński tylko kilka razy mocno się upił i to upiwszy się nie biegał na koniu, z którego, będąc bardzo pijany, że tak wiele razy szyi nie złamał, cud to był osobliwy Opatrzności Boskiej, — ale upiwszy się szedł do kaplicy, tam tedy godzin ze dwie lub więcej śpiewał godzinki, różaniec i inne pieśni nabożne, że aż się zawrzeszczał i wytrzeźwił"... „*Przeciwników na złość upijano, aby chorowali*"...

Ducha religijnego nie było. Natomiast rozkrzewiła się ciemnota z dewocyą i powierzchownemi praktykami. W całej Wielkopolsce, na Mazurach i w Krakowskiem lud obojej płci miał głowy okryte kołtunami. Lekarze przypisywali to nieochędostwu, a jeden z lekarzy poznańskich jedzeniu oleju lnianego w czasie postów. Biskup poznański Czartoryski napisał o tem do Rzymu, skąd przyszła bulla, by posty nie na oleju, ale na nabiale obserwowane były. Ta bulla nie była przyjętą po większej części przez klasztory i fanatyków, koniecznie utrzymujących, że choroba kołtunów pochodzi z czarów, bo, gdyby tych zabrakło, nie byliby potrzebni egzorcyści, zdejmujący kołtuny, ustałyby przyczyny ofiarowania się na miejsca cudowne. „Sędziowie, nie umiejący ani czytać ani pisać, sądzili sprawy o czarodziejstwa, brali na tortury oskarżonych.... *palono czarownice i czarowników, ludzi razem z bydlętami*, ćwiczono publicznie pod pręgierzem matki bezżenne, stąd poszło, że wiele dzieci tracono, a wszystko to zrządzał duch fanatyzmu, wpajany przez zakonników

i księży...“ „...Nie było domu magnatów lub majętnego obywatela, żeby po śmierci pana lub pani dusza nie pokazywała się to księżom, to sługom obojga płci, to zakonnikom, bawiącym w tym domu, i nie żądała, by sukcesorowie czynili fundusze i hojne ekspensa na nabożeństwa ku poratowaniu ich zbawienia...“ „...*Na każdym odpuście w kościele widzieć można było opętanych*, krzyczących głosem przeraźliwym po kilka słów, mówiących różnymi językami, napastujących kobiety, które przestraszone mdlały lub dostawały słabości, to znowu księży egzorcystów, zaklinających czartów opętanych do milczenia, a kiedy na nich kładli relikwie lub wodą święconą kropili, niesłychany krzyk i jęk i ryk wydawali i w ciele kontorsye i łamaniny robili...“ Za urzędowania w trybunale koronnym wspomnianego ks. Pstrokońskiego pewnego pijanego żołnierza dyssydenta, który przypadkiem zawadził o sznurek, na którym wisiała lampa, gorejąca przed obrazem Maryi Panny, i zerwał go, chciano zabić „przez żarliwość ku wierze świętej“ i ledwie go ułaskawiono. W r. 1728 wytoczono na seryo proces przeciw szlachcicowi Kazimierzowi Kamińskiemu, który jakoby zapisał duszę dyabłu. Na szczęście uniknął miecza katowskiego. Skończyło się na długich nabożeństwach; ażeby zaś i „ciało nie było bez jakowej mortyfikacyi, na wstępie tego aktu oczyszczenia dano mu niemiłosiernych plag pięćdziesiąt...“

Z pogardą dla stanów pracujących, mieszczaństwa i ludu wiejskiego, łączyło się wygórowane przywidzenie co do zacności urodzenia szlacheckiego. „Magnaci, obywale i szlachta, równie jak ich żony, wiedzieli na pamięć genealogię od prapradziadów i praprababek, bo rodzice dzieci uczyli równo z katechizmem wszystkich stopni pokrewieństwa i powinowactwa...“ Na pogardę, z jaką się odnoszono do ludu pracującego, skarżył się boleśnie mądry Stanisław Leszczyński: „...I lubo w takiej są u nas wzgardzie to *opprobrium hominum et abjectio plebis*, że i wspomnienia niegodni, ja ich bynajmniej nie mogę lekceważyć... Oni ciężar podatków znoszą, oni wojska rekrutują, oni nas naostatek we wszystkich pracach zastępują, tak dalece, że, gdyby chłopstwa nie było, musielibyśmy się stać rolnikami; i jeżeli kogo wynosząc mówimy: pan z panów, słuszniejby mówić: pan z chłopów. Na to wszystko żadnej niemasz konsyderacyi; *mało na tem, że chłopem jak bydlęciem pracujemy, ale co większa i niechrześcijańska, że często za psa albo szkapę chłopa poddanego przedajemy...*“ O miastach zasię pisze: „Kto największe przygody i opresye ponosi, to miasto, żadnej nie mając protekcyi ani sprawiedliwości. Co tego za racya? Nie insza, tylko to omamienie, że szlachcic nie miałby się szlachcica, gdyby plebejum nie miał za niewolnika...“ I dodaje ze smutkiem: „Lud pospolity *in statu* co jest inszego, tylko nogi albo raczej piedestał, na którym stoi i buduje się Rzeczpospolita i który jej onera dźwiga? Jeżeli ten piedestał będzie gliniany, cała moles na mim się wspierająca upadnie...“

Słowem — czasy saskie to epoka zdziczenia i zwyrodnienia, które doszło tak daleko, że jeden z pamiętnikarzy opowiada ze zdziwieniem, że mieszka w Polsce jeden szczególniejszy magnat, Jan Klemens Branicki, chyba „niespełna rozumu“, skoro... nie chce tykać pieniędzy zagranicznych, czyli nie chce się sprzedawać wrogim sąsiadom. Niektórzy zaś z najulubieńszych pisarzy ówczesnych winę złego, jakie jest w Polsce, składają na... żydów!

Wymieniamy tutaj najznamienniejsze pamiętniki owej epoki, drukiem już ogłoszone, które podają przedewszystkiem materyał obyczajowy.

1. Życie dworskie Polaków i Polek na dworze królów domu saskiego w Saksonii i Polsce (wydanie E. Raczyńskiego, Wrocław 1843) podaje w skróconym przekładzie z niemieckiego, w jaki sposób król August II. szerzył rozpustę w narodach, nad którymi panował.

2. Pamiętniki ks. Pstrokońskiego, kanonika katedralnego gnieźnieńskiego (z rękopisu wydane przez E. Raczyńskiego, Wrocław 1844) dają wyobrażenie, jaki był przeciętny światopogląd uczciwego, a jednak ciemnego członka wyższej hierarchii kościelnej.

3. Pamiętniki Krzysztofa Zawiszy, wojewody mińskiego (1666—1721), wydane przez J. Bartoszewicza (Warszawa 1862) malują głośnego w swoim czasie oratora panegirycznego i uwydatniają podwójne oblicza ludzi tamtoczesnych: skłonność do nabożeństwa i do hulatyki, miłość ojczyzny na gębę i miłość prywaty z przekonania. Oto, czem się chwali między innemi: „Z królem (Augustem II) na pokoju upiłem się *ad satietatem*, wino wprzódy, potem gorzałkę pijąc alias dublanyż, któregośmy się z królem pięć razy napili...“ Zawisza oglądał daleki świat i zapamiętał nielada rzeczy, najbardziej go interesujące. W Wenecyi w kościele św. Marka widział „skały szmat, gładkiej jak kamień wygładzony, tej skały, która z siebie wodę dała na uderzenie laski Mojżeszowej“, w Padwie „język calusieńki i rumiany“ św. Antoniego, w Bononii, jak pisze: „św. Katarzyna bonońska siedzi ubrana w krześle jak żywa i tylko trochę poczerniała, którą co rok w nowy habit ubierają“. W Loreto widział „komin święty Najśw. Panny, miseczkę, z której jadała, pieluszki P. Jezusa;... *curiosum* wiedzieć, że przez morze i teraz znaczna droga bieleje się, którędy aniołowie nieśli domek N. Panny do Loreta, również okno, którędy archanioł Gabryel wszedł zwiastując...“ W Rzymie podobały mu się najbardziej trzy obrazy „haniebnie piękne“: wieku trojakiego ludzkiego, Jowisza na Danaę złotą niepogodę rzucającego i trzeci... z obłąkiem łączącej się i już w ostatnim uścisku będącej... W domu lubił zabawę. W Baksztach „muzykę łebską miałem mińską z cymbałem; zacinali dobrze staroświeckie taneczki: Albo mene barszczu dajte, także: Czerniec czernicu zawiow w pywnicu, także: Anusiu serdeńko palisz moju duszu...“

4. Pamiętniki Marcina Matuszewicza kasztelana brzeskiego litewskiego 1714—1765 (wydał Adolf Pawiński, Warszawa 1876, 4 tomy) należą do najosobliwszych, gdyż zawierają wspomnienia człowieka niemałej wziętości, wielkiego dewota, który równocześnie był pozbawiony najelementarniejszego poczucia moralności. Chytry, jakby był przodkiem Soplicy Rzewuskiego, lub Rejenta Fredry, ma jednak więcej od nich pijackiego animuszu. Przytaczamy jedno z wielu podobnych miejsc, na których spowiada się ze swoich zasad życiowych: „...Wszystkim ochotnie służyć, krzywd nie pamiętać i nieprzyjaciołom, gdy się okazya zdarzyła, usłużyć nawet i udarować, za moje urzędowe *actus* mało albo nic nie brać a potrzebnym dać, lekko przyjechać i prędko ekspedyować, aby stronom ekspensu nie czynić, kombinować, a przy kombinacyach swego dołożyć. Na sądach i innych zjazdach stół mieć otwarty, winem dobrem nie tylko częstować, ale też i mocno pić, w czem i swego nie ochraniałem zdrowia; na sejmikach zaś nigdy *ad extremitates* nie przychodzić, głos każdy obser-

wować, prosić kontradycentów, pretensye ich do starających się o funkcye swymi często pieniądzmi godzić, słowa punktualnie dotrzymać; jeżeli sejmik doszedł, wspólnie się cieszyć, jeżeli nie doszedł, tedy i z tymi, co sejmik zepsowali, jako to bywało z przyjaciołami Radziwiłłowskimi, w zupełnej rozjeżdżać się konfidencyi, którzy bywało do mnie przychodzili, piłem z nimi, weseliłem się w prawdziwej szczerości, ekskuzując ich potrzeby, że to musieli dla swoich przyczyn uczynić, co wszystko prawdziwą mi miłość w województwie jednało..." Ten to sam Matuszewicz uważał Branickiego za waryata, jak już wspomniano, za to, że nie brał pieniędzy od mocarstw zagranicznych! Jaki był sam, takiego też miał braciszka: „...Interesa gdy mi się dało usłyszeć, że w chorągwi porucznikowstwa brata mego Żardecki, namiestnik tejże chorągwi, niedobrze się rządzi i żadnego porządku niemasz i że hetman W. L. sarka i ma sądzić brata mego pułkownika, aby jechał sam do chorągwi, wejrzał w ten nieporządek i unikając rygoru hetmańskiego uregulował lepszy porządek, ile, że przez dwanaście lat nie był u chorągwi. Obraził ten list brata mego i odpisał mi z nieukontentowaniem, abym się o to nie frasował i że, gdyby jeździł do chorągwi, tedyby dzieci jego z torbą poszły..."

Do ciekawszych pamiętników, które pochodzą z lat cokolwiek późniejszych, podają jednak wiele materyału obyczajowego z czasów saskich, należą między innymi:

5. Moszczeńskiego Adama: Pamiętnik do historyi polskiej w ostatnich latach panowania Augusta III. i pierwszych Stanisława Poniatowskiego (I. wyd. w całości hr. Wł. Broel Platera 1858, II. wyd. H. Mościckiego, Warszawa 1905);

6. Pamiętniki Józefa Wybickiego senatora wojewody Królestwa Polskiego (wyd. z rękop. przez E. Raczyńskiego, Poznań 1840). Wybicki uczył się jeszcze za Sasów i tak opisał w szczególności wychowanie jezuickie: Jezuici, w innych krajach oświeceni, u nas w grubej niewiadomości bałwochwalcami tylko dzikiego Alwara zostali, obciążając nasze głowy tą niezrozumiałą tajemnicą łaciny; *myśleć nie uczono, nawet zakazywano.* Ale jakżeż mogło być inaczej, kiedy opieka rządu nie rozciągała się bynajmniej do edukacyi publicznej... *Trzeba było być aż do podłości pokornym...* Chwalono bojaźliwość, podłość, zdrętwiałość, gdy przeciwnie wrodzonej otwartości, szlachetnej śmiałości, żywości dowcipu zasłonić często nie mogły najlepsze w naukach postępy od chłosty i poniżenia..."

7. Pamiętniki Jana Duklana Ochockiego (z pozostałych po nim rękopismów przepisane i wydane przez J. I. Kraszewskiego, Wilno 1857, 4 tomy). Ochocki chwalił sobie wychowanie za Sasów: „...*Plagi były jednym z najdzielniejszych środków wychowania* i uśmierzenia krwi, nadto zrazu żywo płynącej... W domu (też) braliśmy częste i liczne chłosty, w szkołach też na nich nie zbywało... Zdarzyło się szczęśliwiej ukwalifikowanym po dwa i trzy razy na dzień leżeć na stołku... Nahaj niesiono za idącym do szkoły księdzem patronem, jako widomą oznakę siły, i wraz z teką rozkładano go na katedrze, abyśmy zbawiennego monitora z oczu nie tracili..." W połowie XVIII. w. wychowanie w Polsce było jeszcze na bardzo niskim stopniu, jednakże odpowiadało ono potrzebom czasu i kraju(?). Uczeń, wyszedłszy ze szkół, znał łacinę lepiej i mocniej niż język rodo-

wity, umiał się gracko bić w palcaty, a nawet w pałasze; zresztą *przywykły był do ślepego posłuszeństwa* i to stanowiło niejaką poradę przyszłego rozwinienia człowieka(!)...“ Ksiądz Ochocki cenił sobie nawet saskie kalendarze Dunczewskiego: „...Bywały one bardzo obszerne, zawierały prognostyki na każdy dzień roku, kiedy krew puszczać, kiedy bańki stawić, pigułki zażywać, miksturę brać lub proszki, kiedy siać, drób sadzić, konie stanowić, wieprze na karm zasadzać, wreszcie ważną (?) wskazówkę dni feralnych i szczęśliwych...“

8. Hugona Kołłątaja Stan oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III. (wyd. E. Raczyński, Poznań 1841). Nie są to pamiętniki w ścisłem tego słowa rozumieniu, ale mają wartość najcenniejszego pamiętnika i są w swoim rodzaju arcydziełem.

Są ponadto niektóre książki z epoki saskiej, których zawartość, lubo nie pamiętnikarska, podaje jednak wiele tamtoczesnego materyału obyczajowego. Tutaj wymienić należy:

9. Stefana Garczyńskiego: Anatomia Rzeczypospolitej Polskiej (Warszawa 1753).

10. Ks. Benedykta Chmielowskiego: Nowe Ateny (itd. — tytuł ogromnie długi, z r. 1755, dwa wydania).

11. Ks. Floryana Jaroszewicza wielkie dzieło p. n.: Matka świętych Polska albo Żywoty świętych i t. d. z r. 1767 (przedruk w Niemieckich Piekarach 1850). Książka Jaroszewicza daje dobry obraz dewocyi czasów saskich. Opowiada n. p. na pewnem miejscu o Magdalenie Mortęskiej: „Ta w ubóstwie zakonnem tak się kochała i ćwiczyła, że, gdy jej raz książka zginęła, a potem się znalazła, z prędkości wymówiła: to moja książka; wtem się spostrzegłszy, zaraz sobie ciężki policzek zadała, mając sobie za występek to słowo u zakonnicy: moja“... Inny świątobliwy Marcin jezuita „szczurów wielkie trzody z różnych domów egzorcyzmami kościelnymi do tego przymusił, że się kupami, na co wielu patrzało, gdzieindziej powynosiły...“ Ks. Jaroszewicz wierzy oczywiście w czarownice i w ten sposób pisze o ich mocy: „Zacięty (pewien) człowiek, gdy mu subtelne ludzkie sztuki nie udały się, szukał szatańskich i znalazłszy jedną czarownicę przez nią dokazał, że niewinna i czysta panna zdała się ciężarną...“ Obok dzieła Chmielowskiego Benedykta Żywoty świętych Jaroszewicza są największem cudactwem, jakie kiedykolwiek napisano po polsku. Oba te dzieła są zarazem znamienitym wyrazem bezgranicznej ciemnoty czasów saskich.

Prawdziwą nareszcie skarbnicą do poznania sarmatyzmu saskiego jest czasopismo p. n. *Monitor*, wydawane przez szereg lat przez *ks. Franciszka Bohomolca*. Miało ono na celu walkę z przesądami i właśnie dlatego podaje najciekawszy materyał obyczajowy. Przypominamy z tego pisma satyrę z r. 1770 na pewnego Sarmatę, który chwali dawne, gani nowe nauki, a sam tak jest uczony, że miesza Heroda z Herodotem i zachodzi do biblioteki Załuskich po herbarze i kalendarze...

„Oj, szkoły teraźniejsze na sądzie oddadzą
Rachunek, że odjęły właśnie szlachcie władzą!
Przedtemeśmy de verbum videor kilka dni
Kłócili się, było to przystojniej i ładniej,
Niźli, co teraz żółtę i czerwone karty
Rozkładają o świecie, kaduka co warty!

Już są w Moskwie, już w Węgrzech, jeżdżą po papierze,
Prawią trzypotrzy czasem, aż złość człeka bierze.
Od potopu wywodzą, od stworzenia świata
Historye: niejeden po powietrzu lata,
A nie wie, jak się żyto, owies rodzi w ziemi.
Bodajeście przepadli z naukami swemi!
To to przedtem dowcipnie, żywo, przyzwoicie,
Szły szkoły, pewnie nie tak, jak teraz widzicie.
Gdy verbum cum nomine cały zapust wojnę
Toczyło, były czwartki postne niespokojne,
Per tempora, per casus praliśmy się w pyski,
Kto nie mógł na łacińskie zdobyć się przegryzki.
Lokucyje w szaleństwo przyprawiały partem,
Teraz rozdziałów kilka z książek właśnie żartem
Przetłumaczy i zbędzie pracę całą w szkole...
Oj! nie w takim człek bywał przed laty rosole.
Za jedną lokucyję od kołka do kołka
Kolej wszystkich obeszła. — Nie brano już stołka
Ex medio, stał rumak do ultymy hory...
Szalały nieboraki same dyrektory...
Bo to nie z książek były koncepta, lecz potem
Krwawym z głów się rodziły, z pracą i kłopotem..."

Oprócz polskich są także różne dzieła cudzoziemskie, które niemało opowiadają o wszechstronnym nierządzie za czasów saskich. Do najlepszych między niemi, choć miejscami niedokładna, należy księga francuska *Cl. Rulhiére'a: Histoire de l' anarchie de Pologne et du démembrement de cette république* (Paryż 1807, 4 tomy). Wypowiada ona takie n. p. ciekawe zdania: „Polacy nie tylko nie przyjęli maksymy, że wojna domowa jest największem nieszczęściem, ale owszem ulegalizowali tego rodzaju rokosze... Sami tylko Polacy zachowali dawne obyczaje, a z wielu zmian, jakie zaszły w Europie, wprowadzili do siebie jedynie układność i zbytek... Lud wiejski albo raczej niewolnicy stają się z każdym dniem nieszczęśliwsi, gdyż właściciele ziemscy starają się wydobyć jak największe dochody, przez nakładanie coraz nowszych ciężarów na tych nieszczęśliwych..."

Wszystkie jednak te dzieła dałyby obraz niezupełny, gdyby zabrakło ks. Jędrzeja Kitowicza: Opisu obyczajów i zwyczajów za panowania Augusta III (kilka wydań: pierwsze poznańskie, ostatnie lwowskie).

Kitowicz wchodzi w sam środek społeczeństwa, towarzyszy młodemu Polakowi na każdym kroku, żeni młodzieńca, biesiaduje z dorosłym, zrywa z nim sejmy i sejmiki, sądzi i politykuje, zagląda do garnków i do sypialni, interesuje się służbą, zachodzi do wojskowych, oprowadza po kościołach i klasztorach, jeździ po odpustach, ubiera i stroi, zdradza zabawy i zachcianki, gra w karty, zna dygnitarzy, przypatruje się chłopu — słowem nic nie uchodzi bystremu oku, wszystko zaś odtwarza z taką prostotą i jasnością, że nie możemy się powstrzymać od najwyższego zdziwienia. Styl pisarza niewytworny, ale jasny, bogaty i stosowny do przedmiotu. Żadna inna epoka w życiu obyczajowem narodu polskiego nie ma tak doskonałego malarza. Kitowiczowi powiodło się utrwalić jakby na płycie fotograficznej czasy, w których żył, a uczynił to lepiej, niż nawet nieporównany Mikołaj Rej dla w. XVI, niż wyborny Wacław Potocki albo Jan Chryzostom Pasek dla w. XVII. Zaletą zaś największą jego książki zdumiewająca przedmiotowość i bystrość obserwacyi. Kto chce poznać

czasy saskie, ten wiele się nauczy ze Stanu oświecenia Kołłątaja, tego olśnią na swój sposób Pamiętniki Matuszewicza i Żywoty świętych Jaroszewicza, ten pękać będzie ze śmiechu nad Nowemi Atenami Chmielowskiego, ale dopiero Jędrzej Kitowicz odsłoni mu całkowicie samą istotę epoki.

* * *

Co dla historyka obyczajów jest materyałem najciekawszym, to dla historyka polityki polskiej i publicysty jest w pierwszym rzędzie smutnym obrazem upadku narodowego. Dlatego podałem materyał źródłowo i bez dłuższych komentarzy. Niech mówi sam za siebie, niech wytłumaczy niejedno źródło katastrofy dziejowej.

Mam wrażenie, że niejeden czytelnik niejedno wyjaśnienie dzisiejszej „oryentacyi wschodniej" znajdzie właśnie w owej odległej epoce saskiej. Jeżeliby tak było, cel niniejszego szkicu będzie w całości osiągnięty.

(C. d. n.) *Dr. Michał Janik.*

POLSKA IRREDENTA I AUSTRYA.

Osobliwym dziwolągiem naszego życia obecnego jest walka ugody przeciw konfederacyi niepodległościowej, prowadzona pod hasłem zwalczania austrofilstwa.

Maskując istotny stosunek dwóch obozów: patryotycznej irredenty do serwilistycznego oportunizmu, — rzeczy tak wyglądają, jakoby ścierały się ze sobą tylko stronnictwa ugodowe dwóch barw, — austrofilskie z rusofilskiem, przyczem obóz rusofilski ma jeszcze tę bezczelność, że powołuje się na interes narodowy i mieni się jego obrońcą przed prusko-austryacko-żydowsko-rusińsko-masońskiemi intrygami.

Absolutna niemożność rozwinięcia dyskusyi jawnej, otwartej i wyczerpującej na terenie Królestwa Polskiego, to jest w tej części kraju i wśród tego odłamu narodu polskiego, które w tym wypadku są specyalnie zainteresowane, oddziaływa w pewnym stopniu i na inne zabory, gdyż fałszuje ich pogląd na położenie Polaków pod rządem rosyjskim, im samym zaś nie pozwala dojść do jasnego uświadomienia sytuacyi.

„Ugoda austryacka" to przecież brzmi zupełnie niesmacznie i zupełnie inaczej niż dążenia niepodległościowe i polityka powstańcza. — Korzystając z głęboko zakorzenionego, w zaborze rosyjskim, wstrętu do wszystkiego, co rząd i policya osłaniają swą opieką, rzuca się plamę na całą działalność konfederacyi niepodległościowej, akcentując, że zbroi ona „wojsko polskie" pod okiem policyi, przy poparciu władzy, co już samo przez się ma dowodzić, że jest to po prostu prowokacya

austryacka, a co gorsza pruska, powiedzmy odrazu hakatystyczna, — boć przecie Austrya wysługuje się Niemcom i nie czyni nic takiego, coby im szkodzić lub ich drażnić mogło.

Mówiąc nawiasem, przeciw temu twierdzeniu mówią niektóre fakty. Buta hakatystyczna nie pozwala wątpić, że polski militaryzm jest jej solą w oku, a jednak Austrya tem się nie powoduje; dowód to, że jej mniemany serwilizm względem Prus ma swoje granice i że są one przeprowadzone na naszą korzyść.

Te napaści wytwarzają dla obozu niepodległościowego wielce niewygodną, a nawet niebezpieczną, pozycyę między młotem i kowadłem. Jeżeli rząd austryacki przybierze względem niego postawę wrogą, zahamuje jego akcyę, jeżeli przychylną, zdyskredytuje ją. Na to obliczone są wszystkie zarzuty rusofilskiej kliki.

Należy tę chytrą i nieuczciwą grę zdemaskować i obalić.

Ugoda w zaborze pruskim, a tembardziej w rosyjskim, jest zaprzańistwem i niczem więcej. Polacy pod obu temi rządami ani dotąd żadnego poparcia i żadnych korzyści nie osiągnęli, ani ich się spodziewać nie mogą. Nawet najlojalniejsi są przedmiotem politycznego prześladowania, gdyż nie ich separatystyczne dążenia, lecz samo ich istnienie jako narodowości odrębnej, jest nienawistne i niebezpieczne dla systemu państwowego. Tylko za cenę zaprzaństwa narodowego i tylko prywatne zyski mogą oni osiągnąć. Nawet „unarodowienie handlu i przemysłu", w którem warszawscy rusofile chcą widzieć alfę i omegę patryotyzmu polskiego, o tyle tylko bywa tolerowanem, o ile się zwraca przeciw żydom. Już bojkot Niemców jest źle widziany, a nawet zakazywany, a chrześcijanie prawosławni muszą po prostu doznawać poparcia prasy, która chce bez przeszkody bojkot żydów propagować.

Niema tedy i nie może być żadnej wspólności interesów między nami i Rosyą nawet w sprawach ekonomicznych. Oparty o potęgę państwową, przemysł rosyjski bez oporu i bez przeszkody zajmuje nasze rynki wewnętrzne, proletaryat rosyjski naszym pracownikom ostatni kawałek chleba z ust wydziera, chłop prawosławny odbiera polskiemu ziemię na Chełmszczyźnie, a cała ta akcya antypolska jednoczy rząd z licznemi grupami i warstwami rosyjskiego narodu.

Im Rosya będzie potężniejszą na zewnątrz, a na wewnątrz bardziej skonsolidowaną, tem los nasz będzie gorszym, to też jedyną dla nas otuchą może być jej klęska, pogrom w wojnie zagranicznej, anarchia, bankructwo, każda rzecz, która ją do upadku zbliżyć może. Niema tu więc miejsca dla uczciwej ugody i nawet najzakamienialszych realistów zaczyna ta świadomość przenikać. Nawet ślepi to dostrzegają; nie widzą tylko ci, którzy oczy zamykają rozmyślnie, chcąc prywatny interes płaszczykiem dobra publicznego zakrywać, a są i tacy, co sami

widzą, jak rzeczy stoją, lecz z całym cynizmem przeinaczają prawdę, by drugim oczy mydlić.

Świadomym fałszem jest również wygrywanie antypruskiego patryotyzmu przeciw antyrosyjskiemu. Faktami i cyframi udowodnić można, że Rosya bez porównania bardziej serwilistyczną jest względem Niemiec, niż Austrya. Nie mówiąc już o tem, że biurokracya rosyjska jest w połowie niemiecką, że w Królestwie Polskiem żywioł niemiecki jest liczniejszy i znacznie większych doznaje przywilejów niż w Galicyi, nawet te fakty, które sami rusofile cytują na dowód niemieckiej zawziętości, świadczą na niekorzyść Rosyi w porównaniu z Austryą.

Królestwo Polskie nie otrzymało autonomii, bo Niemcy nie pozwoliły. Rada państwa odrzuciła projekt samorządu — była to intryga hakatystyczna.

Jak to? więc Austrya od lat 40-stu przyznała Polakom autonomię, polskie sadownictwo, polskie szkolnictwo, polski język w urzędach, polskie rady miejskie, Austrya służka Niemiec, Austrya centralne ogniwo trójprzymierza, a Rosya, oparta o silne mocarstwa trójporozumienia, domagające się od niej zmiany kursu polityki polskiej choćby ze względów na szanse zbrojnego konfliktu, robi dla mniemanego przeciwnika ustępstwa, których sprzymierzeniec odmawia? I po tem wszystkiem można jeszcze głosić bajeczki na temat jakoby jednolitego zachodniego frontu i cały animusz polski, wezbrany w walce z hakatyzmem, wygrywać — przeciw Austryi!

Austrya jest państwem zaborczem, to prawda, i ona jak inne spowodowała upadek Polski, a potem Polaków uciskała. Nasi ugodowcy niby zdziecinniali starcy, co to pamiętają tylko młode lata, a wczorajszy dzień tracą z pamięci, nie mogą darować Austryi ani Metternicha, ani rzezi galicyjskiej, ale Rosyi zapomnieli już Skałłona i Kaznakowa, nawet Skałłonowi wybaczyli i zapomnieli krwawą łaźnię na Teatralnym Placu i salwy uliczne, i pocieszają się, że w Królestwie Polskiem tak źle nie jest. I to prawda: już teraz wieszanie wyszło z użycia, a i w swoim czasie wieszano nie każdego.

Poza tem jednak przyznać trzeba, że między austryackim a rosyjskim systemem są niemałe różnice.

Bynajmniej o to nie chodzi, by wzbudzać wdzięczność dla Austryi za to, że nas nie gnębi, — że nam swobodnie oddychać pozwala. Sentyment w polityce ma niewiele zastosowania, a tu może nie byłby na miejscu, naprzód, że nie możemy przyznawać żadnemu narodowi prawa uciskania drugich, ani poczytywać mu za zasługę, że ich nie krzywdzi, powtóre, że gdyby ten objaw był jedynie wynikiem dobrego serca lub poczucia sprawiedliwości, dawałby bardzo małe gwarancye trwania, gdyż ludzie się zmieniają, po dobrych mogą nastąpić źli, a położenie,

w którem losy jednostki lub narodu są zawisłe od cnót i zalet cudzych — jest zawsze stanem niewolnictwa.

Austrya przedstawia dla nas wartość nie przez to, że nam szkodzić nie chce, lecz że nie może, że w jej własnym interesie leży ten kierunek polityki, z którego my ciągniemy korzyść i byłoby z naszej strony zbrodnią nie do darowania, gdybyśmy jej dowiedli, że więcej na nim traci niż zyskuje.

Na tę wprost zbrodniczą drogę popycha Polaków obóz rusofilski.

Zatarg rosyjsko-austryacki przechodził fazy ostrego napięcia, a obecnie w stanie mniej jaskrawym, ale nie mniej groźnym, trwa.

Postawa, jaką przybiorą w danym momencie Polacy, może mieć dla jego wyniku pierwszorzędne znaczenie, i oto, co widzimy:

W zaborze pruskim kwitnie ugoda; polska arystokracya spieszy składać Wilhelmowi II. hołdy na zamku poznańskim, Rada Narodowa pokrywa ten fakt milczeniem, by nie jątrzyć i nie rozdwajać narodu, a pan dr. Jackowski, świeżo wspominając ten występ panów polskich, oświadczył: „Kto tam poszedł, szedł do s w o j e g o k r ó l a“.

Jakąż drogą osiągnęły Niemcy ten wspaniały rezultat, to zjednanie podbitej ludności? Przez wydalanie Polaków, kolonizacyę niemiecką, wywłaszczanie, bicie dzieci szkolnych, przez intensywną politykę ucisku i wynarodowienia.

W zaborze rosyjskim ugoda niemniejsze święci tryumfy. Na trumnę krwawego Skałłona, który dziesięciokrotnie przewyższył Murawiewa wieszatela, leją się łzy żalu i wieńce pochwał pośmiertnych; Koło Polskie staje sztorcem przeciw opozycyi rosyjskiej i modli się o zastosowanie paragrafu 87-go dla wprowadzenia samorządu wedle pomysłu posła rosyjskiej mniejszości, Aleksiejewa, a prasa legalna w ciągu całego okresu napięcia wojennego ciska gromy — przeciw Austryi.

Jakąż więc drogą można pozyskać poparcie Polaków, ich wierność, ich ofiary z krwi i mienia na wypadek wojny?

Knutem, szubienicą, bezprawiem i grozą.

Czyż to nie jest wprost niebezpieczne memento dla Austryi?

Czyż to nie ostrzega Prus i Rosyi, że systemu swej polityki względem Polaków ani na jotę zmieniać nie powinny, gdyż to im grozi wcale niewesołemi następstwami?

Jakim sposobem tak niedorzeczną i zbrodniczą nawet oryentacyę można się ośmielić nazywać oryentacyą polską? Chyba obłęd zbiorowy lub cynizm ostatecznego upodlenia tłumaczyć to mogą?

Wśród tego jeszcze słyszeliśmy ostrzeżenia, że wszystkie objawy życzliwości Austryi dla polskiego ruchu niepodległościowego, wynikają tylko z jej własnego interesu.

Obyż tak było! Obyż ona mogła widzieć w ten interes, by nasze dążenia niepodległościowe, nasze organizacye wojskowe popierać!

Nie miałaby najmniejszego powodu kryć się z tem przed nami, czy przed Europą. Przeciwnie, rola jej wobec nas byłaby równie mądrą jak chlubną.

Słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą, ażeby rozumna i sprawiedliwa polityka przynosiła większe korzyści, niż głupia i łajdacka, choć — niestety — nie zawsze się tak dzieje.

Słuszną i mądrą byłoby rzeczą, gdyby Polacy w grze, która rozstrzyga ich losy, stanęli po stronie tego z zapaśników, który im szkodzić nie może, którego zwycięstwo poprawiłoby ich położenie, a upadek grozi zagładą resztek jawnego i wolnego życia polskiego.

I tu się zjawia obłudne i kłamliwe ubolewanie, że krew polska poleje się znowu za cudzą sprawę.

Toż nikt nie wątpi, że tak będzie nieuchronnie w każdym razie, z wyjątkiem tego, jeśli Polacy sami stworzą własną siłę zbrojną i samodzielnie rzucą ją na szalę wypadków.

Za cudzą sprawę przelewali krew w Alzacyi i w Mandżuryi, za cudzą sprawę walczyli w Szlezwigu i w Czechach, w Turcyi. Walczyliby również w Serbii, lub we Włoszech, gdyby na tamtej granicy wojna wybuchła, a nasi rusofile w takim razie nie podnieśliby protestu, nie żądaliby oporu przeciw wysługiwaniu się interesom austryackim.

Dziwny zaiste objaw! W języku naszej ugody służba w armii zaborczego rządu nie nazywa się nigdy wysługiwaniem się obcym interesom. Skrupuły budzą się dopiero wtedy, gdy polskie ramię walczy dobrowolnie pod obranym ze względów ideowych sztandarem. W walkach rewolucyjnych Europy, w Węgrzech, we Włoszech, we Francyi, w armii napoleońskiej, szafowano lekkomyślnie krwią polską, jak głosi ugodowa historyozofia; i ten błąd już się powtarzać nie powinien. Nigdy jednak taż sama historyozofia nie raczyła obliczyć, ile krwi polskiej płynęło w obronie tych potęg, które nas gnębią i to przeciw tym, którzy do wolności drogę torowali.

Oryentacya rusofilska, zalecająca nam na wypadek wojny t. zwaną neutralność, gdyż byłoby już zbyt gorszącem zalecanie współdziałania z Rosyą, ani słówkiem nie wspomina o tem, w jaki sposób ten nakaz neutralności rozumieć mają polscy rekruci i rezerwiści? Czy n e u t r a l n i e rzucić broń i uciec? n e u t r a l n i e siedzieć w domu? czy też n e u t r a l n i e iść zabijać swoich braci, wkraczających do Królestwa Polskiego? Gdyby rezultatem zwycięstwa Austryi nie miało być nic innego, niż uwolnienie Galicyi od rosyjskiego najazdu, to i tak nasz własny interes musiałby nam nakazywać natężenie wszystkich sił, by tej klęski uniknąć. W tym wypadku więc Austrya, polegając tylko na

zdrowym rozsądku i prostem wyrachowaniu Polaków, miałaby prawo na ich wierność liczyć.

Nietylko Niemcy i Rosya, lecz i ona także rozporządza dostateczną liczbą polskich rekrutów, których może pod chorągwie zaciągnąć, nie pytając, jaką jest ich oryentacya i gdzie ich sentyment popycha. To przymusowe poparcie ma jednak w walce bardzo drugorzędne znaczenie, jest tylko cyfrą dodaną do cyfry, nie jest nową przyciągającą siłą, w grę wprowadzoną. Ono stawiałoby Austryę zaledwie na równi z innemi potęgami zaborczemi z jedną tylko różnicą na jej korzyść pod względem ducha i nastroju żołnierzy.

Bez porównania potężniejszym atutem w jej ręku byłoby pojawienie się na terenie wojny polskiej siły zbrojnej samodzielnej i rzucenie kwestyi polskiej na szalę europejskiego konfliktu. Wiele korzystniejszym z punktu widzenia jej interesu byłoby wyzwolenie zaboru rosyjskiego, niż jego aneksya. Ta ostatnia bowiem wywołałaby od razu bardzo drażliwą sprawę kompensat dla innych mocarstw, przyczem nie mogłoby się obejść bez ofiar na rzecz równowagi europejskiej. Stawiałoby Rosyę w korzystnej postawie strony poszkodowanej, skłaniając trybunał europejski do podjęcia nad nią opieki i chronienia jej od zguby, gdy przeciwnie, kampania podjęta celem wyzwolenia uciśnionych Polaków, rolę górującą i popularną rezerwowałaby właśnie dla Austryi, zacierając jej charakter państwa zaborczego, a przyoblekając godnością państwa opiekuńczego. Jeden więcej sprzymierzeniec znaczy wiele więcej, niż zwiększenie armii o kilkadziesiąt tysięcy ludzi, zwłaszcza, jeśli ten sprzymierzeniec walczy i zbroi się własnym kosztem, jeśli zamieszkuje terytoryum wojną objęte, jeśli klęska grozi mu zagładą i wytępieniem, a zwycięstwo otwiera drogę do wytęsknionej, upragnionej od stu lat wolności.

Położenie Austryi byłoby zresztą o tyle do położenia Polski zbliżone, że mogłyby w tym wypadku stanąć obok siebie i zawrzeć przymierze na stopie równości. Austrya jest wprawdzie dziś mocarstwem, Polska już od stu lat niem nie jest; ale w razie klęski pierwsza napewno niem być przestanie, w razie zwycięstwa Polska niem się stać może. I jednej i drugiej zatem losy rozstrzygnie najbliższa wojna, obie są od siebie wzajemnie zależne i na razie na dobrą i złą dolę — nierozerwanie związane. Im dokładniej to zrozumieją i ściślej do tej perspektywy zastosują swe postępowanie, tem lepiej dla jednej i drugiej.

Zyndram.

O WYCHOWANIU MILITARNEM.

Dzieje zobowiązują dziś do h e r o i z m u i walki w sposób szczególnie silny. Pod grozą współczesnych wypadków, żołnierzem i bojownikiem staje się każdy, kto ma jeszcze coś do stracenia lub do zyskania, by bronić i zdobywać. Na tle tych faktów boleśnie czarnym konturem rysuje się polska prawda, że największą krzywdą, jaką nam wyrządziła niewola, było właśnie podcięcie korzeni polskiemu h e r o i z m o w i.

Miejmy odwagę to powiedzieć, że wojna jest szkołą bohaterstwa. Czy potrzebna jest ta szkoła? Tak, gdyż budowanie całej współczesnej kultury oparte jest na bohaterstwie, na ryzyku, na wysiłku i walce. Wszystko, co ludzkość do życia powołuje, przeniknięte jest nie tylko zwykłymi orężnymi bojami o tworzenie rzeczy nowych i zachowanie stworzonych, ale heroizmem i walką w najrozliczniejszym kształcie, aż do bojów ducha włącznie.

I gdy stwierdzić musimy, że bohaterstwo i żołnierska prawdziwie odwaga kierować musi tymi, co zdobywają dla ludzkości i nauki lądy arktyczne, tymi, co budują aeroplany, lub w pracowniach chemicznych z narażeniem życia dokonywają przewrotu w przemyśle i lecznictwie — tem bardziej nieodzownym jest heroizm dla wykonywania, obrony i zdobycia najskuteczniejszego prawa człowieka, prawa, które jest osnową całej kulturalnej budowy.

Jest to prawo własnego życia i własnej ojczyzny — i prawo obrony tych dwóch koniecznych do tworzenia kultury warunków, choćby kosztem własnego i cudzego życia.

Póki są jeszcze na świecie społeczeństwa, które to święte prawo gwałcą, póty nie traci ono na swej niezaprzeczonej prawdzie. Póty istnieje wojna — a obywatele narodów są żołnierzami. Póty „n a j w y ż s z e m p r a w e m j e s t z b u n t o w a ć s i ę p r z e c i w t a k i m p r a w o m“, które zagrażają wolności ojczyzny, tej elementarnej zasadzie życia narodu i budowania jego kultury. Tem przykazaniem z Deklaracyi Praw Człowieka winnibyśmy nasze życie w niewoli szacować.

Jest faktem straszliwie smutnym, że korzenie naszej narodowej nieugiętej waleczności podcięto nam przez odebranie zewnętrznego, oficyalnego jej kształtu — a r m i i. Odkąd przestaliśmy walczyć, że tak powiem w „mundurze“, jęliśmy się też powoli opuszczać w przekazanych nam przez zabitą armię polską obowiązkach krzewienia i podtrzymywania bohaterstwa i waleczności we wzrastających pokoleniach.

Dusze nasze powoli składały broń, i to było największem zwycięstwem wroga.

Podczas gdy każdy naród wolny żyje w ciągłej gotowości obrony swych granic i wolności przed ewentualną napaścią; gdy w potężnej Anglii hasłem małych Skautów jest wojenne: „Bądź gotów!“ gdy dzieci neutralnej Szwajcaryi od maleńkości na wojaków się wychowują — my — właśnie my, Polacy, żyjemy tak, jak gdyby sprawa wojny o Polskę Niepodległą przestała istnieć.

Obcięto korzenie naszemu bohaterstwu. Zostały mu przecudne chimeryczne skrzydła. Rwały one do boju, dając oderwane chwile uniesień: 1863 rok — bojowe usiłowania P. P. S. Lecz te wysiłki ginęły tragicznie we własnem nieuctwie bojowem, rozbijały się o stężałą masę społeczeństwa, które przestało codziennym trudem przez długie noce niewoli kształcić się

w rzemiośle walki niewolnika z zaborcą, hodować w sobie cnoty żołnierskiej karności, budować z cicha swoją tajemną siłę.

Jednodniowe wysiłki nie mogły wybudować tego, czego zaniedbywano latami codzienności.

Z niewolniczego snu budzi się wśród nas czasem garść bohaterów-straceńców, lecz zastępów zwykłych żołnierzy nie mamy. Bo te trzeba kształcić i całego społeczeństwa siłami je tworzyć. Wszak my powinniśmy każdym dniem i każdym czynem życia gotować się do niechybnej walki, a tak z pokolenia w pokolenie przekazywać coraz to zwartszą tęgość charakteru, karność, sprężystość i wyćwiczenie mięśni, hart fizyczny, zaprawiony do ćwiczeń, jakie żołnierzowi przystoją, sprawność, przenikliwość, pomysłowość i świetne znawstwo rodzinnego terenu, oraz praktyk najezdniczej armii.

Kto u nas choć trochę zna się na naukach wojskowych? Jakże spokojnie spać może wróg w kraju, w którym, o ile mu się nie łaszą, to go łaskawie ignorują. Interesują nas ogromnie rozmaite prawno-administracyjno-sądowe strony stosunku rządów zaborczych do nas; jakże mało interesuje nas ta właśnie strona, na której cała nasza niewola się opiera i która jedyną jest niewoli sankcyą — mianowicie s t r o n a w o j s k o w a?

Nas już to nic nie obchodzi. Jeśli istnieje jeszcze w duszy naszej buntująca się na drobiazgi nikła, drobna psychologia żołnierza-rewolucyonisty, to co najprędzej nakrywamy się płaszczykiem nowoczesnych idei braterskiej miłości, wszechludzkich ideałów, gotowiśmy nawet uznać międzynarodowość albo panslawizm, byle zakryć co prędzej wszelki ślad irredenty, by chodzić w stroju, który podoba się panu, a który właśnie „przystoi“ niewolnikowi i twarz jego do błazeńskiej czyni podobną. Zaś pomaga nam w tem nasz l o j a l i z m, ta jedyna cecha żołnierska, która nam pozostała na urągowisko. Ta jedna, która powinna była szczeznąć w nas do cna wraz z h o n o r e m w o j s k o w y m, wtedy, gdy po raz pierwszy wkraczał do Polski najezdnik.

A jednak te dwie cnoty właśnie nie umarły. One to kazały najszlachetniejszym polskim generałom stawać po stronie rządu moskiewskiego przez ślepe żołnierskie posłuszeństwo, one kazały oficerom Konstantego strzelać sobie w łeb, by „wodzowi“ łba nie rozwalić.

One to bruździą aż do dziś, chodząc po manowcach, i każą zapominać, że lojalnym i honorowym — niewolnik może być tylko w stosunku do rewolucyjnych władz własnego narodu.

Lecz, zatraciwszy inne cnoty żołnierza, i dla tych właściwego kierunku znaleźć nie możem.

Tedy wymigujemy się tej sprawie przez — pracę organiczną. Ona zbawi ojczyznę skuteczniej od oręża... Na piaseczku strasznej mielizny, na której osiedliśmy, zaczęliśmy żłobić wykrętem tchórzostwa „zdobyte“ prawdy o „życiu dla ojczyzny“. Ideę umierania za ojczyznę ośmieszyliśmy, nie bacząc lekkomyślnie, czyje to ośmieszamy cienie.

O trzech przepomnieliśmy rzeczach:

1. Wicher dziejów kurzem nas na naszej mieliźnie rozmiecie, bo on od narodów wymaga, by nie umykały się od tworzenia historyi, by na śmierć i życie walczyły o prawo swojego w dziejach uczestnictwa i ostania się.

2. To, co my chcemy budować, wyzbywszy się waleczności i żołnierskiego męstwa, to, czem chcemy się od przyszłej wojny o Polskę wykupić,

ta cała praca organiczna, stoi właśnie, jak to już wyżej zaznaczyliśmy. tylko i tylko heroicznym wysikiem, stoi potęgą i siłą. A na jakiż nas wysiłek, na jaką potęgę stać będzie, gdy zabiliśmy w sobie — nawet w swej ideologii — wojenną naszą siłę, gdy do stworzenia jej nijak i niczem nie dążymy. Gdy ginie heroizm żołnierski jako synów walczącej o wolność Polski, jadem swego rozkładu zaraża on całą duszę. Tchórzostwo, lojalizm, brak przedsiębiorczości, lęk przed jakąkolwiek odpowiedzialnością, czy narażeniem się, plenią się w duszy. Na takiem to zgniłem podłożu wyrasta nasza praca organiczna.

3. Trzeba być zawsze gotowym umrzeć, to jest oddać wszystko w obronie tego, co się stwarza, inaczej rzecz stworzona ma w sobie zarodki skarlenia i upadku. A my nie jesteśmy już dziś w stanie walczyć i umierać w obronie tego, co tworzymy przez sam fakt istnienia i zamieszkania swego, w obronie naszej Polskiej Ojczyzny. Cóż dopiero mówić o naszych zdobyczach kulturalnych? o naszem całem życiu społecznem? Ależ oddamy je wrogowi tak, jak oddaliśmy mu w duszach naszych ojczyznę, wytracając w sobie żołnierskie ideały, jedyne, które można żołnierskiemu najazdowi przeciwstawić. Już dziś doszliśmy do tego, że nie protestujemy nawet, gdy nam wróg zabiera i zamyka powolutku nasze kulturalne zdobycze tak, jak się dziecku zabiera zbudowany mozolnie domek z kart; do wielkiej gry dorosłych ludzi łaskawie mu pozwalają budować coraz nowe zabawki. Ale nie tylko przed wrogiem obcym nie potrafimy już bronić naszych instytucyi, naszej organicznej pracy. Nawet przed bandytami nie umiemy się obronić, nie umiemy zorganizować samoobrony żadnej, bez udawania się do rządów zaborczych. Udajemy się do nich ciągle o wszystko i po wszystko, nie tylko wtedy, kiedy nie można tego uniknąć, ale wtedy, kiedy tego wcale nie zachodzi potrzeba, kiedy siła naszego społeczeństwa mogłaby sobie pomoc i obronę stworzyć. Bo jesteśmy już społeczeństwem kalek i chorych. Doszliśmy do tego, że nie z konieczności znosimy do czasu jarzmo — ale że go potrzebujemy. Możemy sobie budować rozmaite instytucye i „zdobywać“ kulturę, ale do jej obrony i pomocy wzywamy wrogiej siły. Jesteśmy nawet z tego zadowoleni i uważamy to za naszą wyższość etyczną. Jest to taka sama wyższość, jaką ma paralityk, któremu wyciągają z kieszeni pieniądze, nad zdrowym i silnym człowiekiem, który sam się ze złoczyńcą zmierzy. Stanowimy czasem prawa narodowe, jak n. p.: bojkot sprzedawczyków. Lecz praw tych nikt nie wykonywa, ponieważ niema w narodzie siły, któraby je sankcyonowała i któraby mogła odstępców od prawa ukarać.

Ale i to uważamy za naszą wyższość, która się obywa bez siły. Żyjemy tedy rzekomo na „wyższym“ poziomie, niż inne narody europejskie, ponieważ — nie możemy wstąpić nawet na taki, na jakim się znajduje Czarnogóra lub Albania. Do takiego absurdu doprowadza nasza niewolnicza psychika.

* *
*

Zważywszy to wszystko, nie będziemy się dziwić, że wojna bałkańska i widmo wojny austryacko-rosyjskiej poruszyły nasze dziejowe sumienie w sposób, mający postać głupiej dezoryentacyi.

Pojmiemy ten dziwaczny fakt, że w narodzie, który skądinąd żywi rozmaite pretensye, by nie zapominano o nim w historycznie żyją-

cych krajach Zachodniej Europy, pojawił się i głosem „rozumu politycznego“ nazwał się pogląd o konieczności bezdziejowego „neutralnego“ stanowiska Polski wobec napierających na nią wypadków. Jakże naród, który sam sobie bezdziejowość przepisuje, ma prawo żądać, by dzieje jego brano pod uwagę?

Pominąwszy wszystkie polityczne względy, które za dziejowem i odpowiedzialnem stanowiskiem Polski wobec ewentualnej wojny przemawiają, zaznaczymy tylko jedno.

Wszak wojna ta, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, toczyć się będzie na naszej ziemi. Śmiało rzec można tę okrutną prawdę, że niema narodu, któryby w takim wypadku neutralność zachować chciał i mógł. Czy zwolennicy „neutralności“ chcą, aby Polska była białym krukiem w tym względzie?

Pamiętajmy jedno. Klęski wojny poniesiemy bez względu na nasze w tej sprawie zdanie. Korzyść możemy odnieść tylko wtedy, gdy czynny w niej weźmiemy udział. W dziejach nikt o zdanie drugiego nie pyta. Każdy tworzy swoje zdanie wśród szczęku broni i wysiłków duszy. Siła tak stworzonego stanowiska decyduje o tem, czy się inni z niem liczą, lub nie. Ten, kto zdania żadnego nie chce orzec i żadnego stanowiska zająć, będzie bezwzględnie zdeptany jako słaby i niegodny życia, ani wielkich humanitarnych i etycznych jego zdobyczy, o których, jak my, snuje niedołężne bajki.

Poglądy ugodowe, szerzone w społeczeństwie polskiem wobec ostatnich w Europie wypadków, wynikają ze strachu, z tchórzostwa — z poczucia niemożności obrony i walki. Będą się one pojawiały zawsze, ilekroć stanie przed nami ewentualność podjęcia naszej złamanej historyi.

Źródło tego usposobienia duszy narodowej płynie z braku armii, tej szkoły bohaterstwa, która ciągle widomie pamiętać każe narodowi o możności walki, ciągle duszę jego stawia wobec gotowości na śmierć za sprawy narodowe.

Deprawacya narodu i jego unicestwianie się powolne, jego wsiąkanie w drobne codzienne sprawy i ciągła zdrada dziejowej roli narodu — zaczynają się tam, gdzie się skończył polski żołnierz — obrońca wolności.

Trzeba go przywrócić — trzeba stworzyć surogat armii.

Odebrano nam armię, ale nikt nie jest w stanie zabronić nam być żołnierzami z ducha i z osobistych ćwiczeń żołnierskich. Niebezpieczeństwa jest wszędzie dość — tylko my go już nie kochamy i nie lubimy się na nie narażać. Na posterunku można być zawsze. Pokochajmy na nowo niebezpieczeństwa. Oto nasze dzisiaj dziejowe zadanie. Wychować w sobie psychikę żołnierzy i wyćwiczyć aż do najwyższej granicy fizyczną sprawność wojskową. Nie narzekajmy na brak wojskowości. Wglądnijmy w siebie — i obaczmy, jakaby to z nas była armia?

Stwórzmy z siebie kadry do przyszłej armii polskiej. Przyjdzie chwila, kiedy można i trzeba ją będzie zorganizować. Baczmy, byśmy to wówczas potrafili uczynić.

Wychowywać się na żołnierza musi stać się w Polsce rzeczą zwykłą, każdemu familiarną — koniecznem prawem obywatelstwa w Polsce.

Tak, jak normalnym zdrowym obywatelskim objawem jest w Anglii bojowe ćwiczenie małych skautów — jak w Szwajcaryi normalną jest

rzeczą co roku ćwiczyć się w obozowej i wojennej służbie, a od dzieciństwa żyć w tradycyach walk o wolną Rzeczpospolitą — tak, jak normalną jest dziś rzeczą na południowo-wschodnich skrajach Europy milionami za wolność umierać.

Nic tu nie pomoże wylękłe tłumaczenie o specyalnych naszych warunkach, o niemożności tego rodzaju pracy.

Położenie nasze upoważnia nas tylko do wyszukiwania odpowiadającej mu taktyki, do niczego więcej.

Powinienby w tym duchu nastąpić przedewszystkiem zwrot bezwzględny w wychowaniu domowem. Dziecko polskie musi być wychowywane na sposób żołnierski, w zetknięciu się z niebezpieczeństwami. Wstrętny lęk, strach, niepokój o dziecko, pozostawione samemu sobie, powinien nareszcie ustąpić z serc matek polskich. Te uczucia wygnane być winny przez możność obrony, którą mały Polak, czy Polka mieć winni od lat najmłodszych. Możność ta leży w wyćwiczeniu sił i zręczności fizycznej, w harcie i odwadze charakteru, w szybkiej oryentacyi i spostrzegawczości myśli — wreszcie w umiejętności użycia konia, wozu, broni i wszystkich warunków i okoliczności ku swej obronie i walce z niebezpieczeństwem.

W dzisiejszych warunkach i zwłaszcza w Polsce dopiero tak w siebie samego zbrojny człowiek może być w duszy wolnym, czyli pewnym, że ma możność obrony od wszelkiej napaści. Dopiero ta możność czyni go materyałem na żołnierza armii rewolucyjnej, żołnierza zdobywcę niepodległości.

Możność tę winny posiąść na równi z mężczyznami kobiety. Naszym bezwzględnym nakazem dziejowym jest spotężniać siłę naszą do maksimum. Kobiecie nie wolno się od tej służby uchylać, nie wolno jej ewentualnej naszej siły bojowej osłabiać.

Praktyczne a dzielne Francuzki obliczyły, ilu żołnierzy będą mogły oddać ojczyźnie, gdy zajmą ich miejsce w intendenturze, sygnalizacyi, w służbie wywiadowczej, tak jak dzisiaj już zajęły je w ambulansie.

Czas i Polkom oderwać oczy od chwalebnie pielęgnowanych ideałów Siostry Miłosierdzia i na szersze je zwrócić horyzonty, za przykładem Francuzek. Wszak w służbie pomocniczej, w intendenturze rewolucyjnej, kobiety niesłychane oddać mogą usługi.

Trzeba jednak tu w silniejszej jeszcze mierze niż, kiedy idzie o młodzież męską, zwrócić uwagę na reformę w wychowaniu, które dzisiaj kobietę nawet do życia źle przysposabia, cóż mówić o jej żołnierskiej gotowości. Jeśli uprawia ona sport, to jako zabawkę lub sposób kokieteryi. Zapytajcie jednak kobiety, która na damskiem siodle ślicznie dosiada konia, czy potrafi konia w potrzebie osiodłać i rozsiodłać, czy wogóle posiada dość wytrzymałości, zręczności i siły fizycznej, by znieść trudy i niewygody, choćby tylko wzorowane na zachodnio-europejskim skautingu. Czy ma dość hartu, by jakiemukolwiek fizycznemu niebezpieczeństwu stawić czoło? Jeśli się u nas zwraca na co uwagę w wychowaniu, to na znoszenie odważne cierpień moralnych, gdy tymczasem każdego z nas czekać może zetknięcie z niebezpieczeństwem fizycznem, z cierpieniem fizycznem, ze śmiercią.

Na te tory przygotowania się do realnego czyli walczącego o wolność życia polskiego musi wejść wychowanie kobiet i naszej mło-

dzieży. Uwieńczeniem tego wychowania winno być bardziej fachowe wykształcenie i wyćwiczenie wojskowe. Tego należy szukać w armiach rządów zaborczych, w szkołach wojskowych za granicą i w Galicyi, gdzie, ani na chwilę o tem zapominać nam nie wolno, tworzy się zawiązek wojska polskiego.

Od służby w szeregach armii zaborczych nie powinniśmy się uwalniać, gdyż ona jest najpowszechniejszą drogą zdobycia techniki wojennej. Lecz w armii obcej powinniśmy pozostawać zawsze tajemnymi żołnierzami polskiej sprawy. W tym kierunku powinna być przeprowadzoną akcya uświadamiająca między naszą młodzieżą ludową.

Umiejętność rysowania planów i map — dokładna, drobiazgowa znajomość swojej okolicy, umiejętność śledzenia zupełnie przez nas niedostrzeganych działań wojskowych państwa zaborczego — oto są rzeczy, przez które można znakomite usługi oddawać przyszłej armii polskiej — oto są umiejętności, które każdy z nas obok ćwiczeń czysto żołnierskich posiąść powinien.

Sprawa uzbrojenia narodu jest już podjęta przez Galicyę i, — jak się rzekło, jawnie przez nią zorganizowana w postaci Związków i Drużyn Strzeleckich.

Akcya ta winna stać się wyrazem woli całego narodu i jego szkołą. To jej da to oparcie, które uczyni ją siłą zwyciężającą bezwzględnie.

* *
*

Na społeczeństwie polskiem leży również obowiązek podtrzymania, utrzymania i rozwinięcia akcyi wojskowej materyalnie.

Akcya wojskowa nie może się rozbić o brak środków materyalnych, wydając nam raz jeszcze świadectwo hańbiącego niedołęstwa w sprawach pierwszorzędnej wagi narodowej.

Gdyby w innym kraju powstała instytucya taka, jak Skarb Wojskowy, w ciągu paru dni usypanoby na cel, któremu służy, górę złota. U nas podatek na Skarb Wojskowy płynie w postaci „groszowych ofiar“, podczas, gdy bylibyśmy w stanie, nawet bez wyrzeczeń, złożyć na to miliony; nie mówię już o tem, że moglibyśmy wyrzec się dla tej sprawy wódki i tytoniu, a paru bogaczy jednego do Monte Carlo lub Biarritz wyjazdu.

Gdybyśmy się byli przynajmniej w okresie naszej „pracy organicznej“ tego nauczyli, że we współczesnem życiu materyalna podstawa nieodzowną jest dla jakichkolwiek działań przeciw tym, którzy wszystkie materyalne potęgi mają na swe usługi.!

W tym tedy duchu winniśmy rozpocząć codzienną i nieugiętą pracę z gotowością wejścia każdej chwili w szeregi walczące — i zawsze pamiętni, że mimo wszystko — tylko z bronią w ręku można zdobyć wolność, którą nam z bronią w ręku odebrano. *Łuk.*

Warszawa.

ZWIĄZEK PATRYOTÓW.

W maju bieżącego roku utworzył się w Warszawie Związek Patryotów i postanowił zgłosić swój akces do Konfederacyi stronnictw niepodległościowych.

Powstanie tej nowej formacyi politycznej wymaga obszerniejszego wyjaśnienia.

W 1912 roku, w czasie największego napięcia wojennego, grożącego wybuchem wojny między Austryą a Rosyą, postawa społeczeństwa polskiego w Królestwie Polskiem była wprost haniebna. Całkowita wina za taki stan rzeczy spada na prasę ugodową i oportunistyczną, która, korzystając z zakneblowania ust przeciwników przez cenzurę, z całym cynizmem rozsiewała najbezczelniejsze kłamstwa i potwarze o ruchu niepodległościowym i militarnym, wszczętym w Galicyi. Fałsze, rozpowszechniane drukiem w dziesiątkach tysięcy egzemplarzy, mogły co najwyżej być prostowane w konspiracyjnych pismach i odezwach, krążących w najlepszym razie w setkach odbitek. I tych było mało, nie zjawiały się w porę, kolportowane wśród niesłychanych niebezpieczeństw i przeszkód, zaledwie drobną garstkę czytelników uzbrajały niewystarczającymi argumentami. A zanim jedno kłamstwo obalono, wnet importowano drugie i trzecie, zaśmiecając opinię publiczną plotkami i potęgując otumanienie umysłów do rozmiarów zbiorowego obłędu.

Ten nastrój ogółu sztucznie, lecz wytrwale podtrzymywany, doprowadzał do rozpaczy światlejsze umysły i gorętsze serca, świadome tego, że chwila historyczna się zbliża i może zamiast godziny wyzwolenia wydzwonić dla narodu godzinę hańby i zagłady.

Mimo tysięcznych objawów powszechnego przytępienia lub znikczemnienia, z wiarą czy bez wiary w tryumf prawdy, z poczucia obowiązku, by nie opuszczać rąk przed wyczerpaniem wszelkich środków, postanowiono ostatnim wysiłkiem energii budzić śpiących, otwierać oczy ślepym i uszy głuchym, tworzyć choćby drobne ośrodki niepodległościowego ruchu, aby chwila decydująca nie wszystkich zaskoczyła we śnie, lecz zastała czujne straże, które w potrzebie uderzą na alarm.

Zaczęła się podziemna agitacya w warunkach, o których tylko blade pojęcie mieć mogą ci, co znali Warszawę nielegalną w czasach przedrewolucyjnych.

Nie tylko z czujnością ochrany i policyi liczyć się należało, lecz z zawziętością nieprzejednaną i pozbawioną wszelkich skrupułów ze strony ideowych przeciwników, powiedzmy po prostu: polskiej rusofilskiej kliki.

Jak dalece to niebezpieczeństwo było realne i dotykalne, świadczyć

mogą wszystkie próby polemiki dziennikarskiej, podejmowane w prasie przeciw rusofilskiej ugodzie.

Każdy protest przeciw przecenianiu wielkości i dobrodziejstw Rosyi, przeciw insynuacyom intrygi hakatystycznej, ukrytej w antyrosyjskich wystąpieniach, nieuchronnie wywoływał denuncyatorskie pokazywanie palcem niepodległościowców i irredentystów, propagujących hasła powstańcze. Nie należy się też dziwić, że agitacya patryotów w prasie legalnej niemal zupełnie nie znajdowała wyrazu, a bardzo słabo i powoli zmieniała nastrój ogółu ludności Królestwa Polskiego.

Niemniej nie pozostawała bez wpływu. Galicya ze zdziwieniem konstatowała, że dopiero wtedy, gdy Europa zaczęła choć pozornie powracać do pokojowego status quo, w Królestwie Polskiem dążenia powstańcze wzmagać się zdawały.

Agitacya patryotów dokonała jednej, drobnej na pozór, lecz w skutkach doniosłej rzeczy: wytworzyła połączenie między odosobnionemi grupami nieprzejednańców i przez to uświadomiła im, że nie są tak bezsilne i izolowane, jak im się zdawało. Działy się bowiem przedtem rzeczy zdumiewające. Ludzie, całą duszą oddani sprawie narodowej, rozgoryczeni objawami powszechnego znikczemnienia i upadku, a doskonale poinformowani o tem, czego dokonano w Galicyi, jeszcze w końcu zeszłego roku nie wiedzieli o istnieniu ruchu wojskowo-niepodległościowego wśród młodzieży warszawskiej. Świadczy to o doskonałem utrzymaniu tajemnicy konspiracyjnej, ale zarazem o ogromnych trudnościach agitacyi. Jeżeli bowiem ludzie jednomyślnych dążeń wzajemnie przed sobą swoje działanie taili, cóż dziwnego, że każdy z nich czuł się bezsilnym, pozbawionym poparcia, współdziałania, a nawet sympatycznego rezonansu w otoczeniu?

Toż samo zdarzało się i inteligentom, rzuconym na prowincyę i pozostającym w stosunkach z ludnością włościańską. Czując, że wśród niej nurtują jakieś prądy patryotyczne, nie mogli wybadać, czy są one owocem agitacyi, czy odruchem instynktu, domagającym się uświadomienia, czy mają do czynienia ze zorganizowaną nielegalną grupą, czy z żywiołem, wśród którego organizacya znalazłaby grunt przyjazny. Wzajemna nieufność, ostrożność, zresztą konieczna, stawiała i stawia między ludźmi ściany lodowe, których przełamanie wymaga tyleż odwagi — co i rozwagi.

Ta ostatnia jest tem bardziej wskazaną, że w samym obozie niepodległościowym kręcą się jednostki bardzo niepewne, dwulicowe, tem głośniej proklamujące hasła irredenty, im zjadliwiej zwalczają i podkopują całą dotychczasową akcyę niepodległościową. Konieczność stawania w jednym szeregu z tymi podejrzanymi adherentami konfederacyi zrażała niejednego od otwartego z nią współdziałania.

Mowa tu o głównych przedstawicielach trójramiennej Frondy, która od samego początku kolportowała gorliwie wszelkie endeckie plotki i oszczerstwa o Komisyi Tymczasowej, jej składzie osobistym i popełnianych przez nią błędach, a równocześnie uzurpowała dla siebie monopol reprezentowania jej na gruncie Królestwa Polskiego.

Hasło solidarności obozu niepodległościowego, w zasadzie zupełnie słuszne, logiczne i zbawienne, w praktyce ogromnie utrudniało odpowiednie urabianie opinii. Jakże tu prostować uwłaszczające Komisyi Tymczasowej wieści, jeśli wygłasza je autentyczny członek tejże Komisyi?!

Nie chcąc wywoływać ani zwiększać rozłamów w łonie obozu niepodległościowego, grupy, tworzące dziś Związek Patryotów, nie myślały tworzyć organizacyi, w którejby Fronda dostrzegła nienawistną dla siebie konkurencyę, lecz ograniczyły się na faktycznem współdziałaniu z konfederacyą niepodległościową, popieraniem jej naczelnych zadań i wytwarzaniu dla niej jak najszerszej wśród ogółu polskiego popularności. Wysiłki te spotykały się z równem przeciwdziałaniem ze strony jawnych adherentów ugody i pozornych jej przeciwników. Pisma frondziarskie, ściśle zważywszy, zawierały zawsze liczniejsze i ostrzejsze napaści przeciw partyom skonfederowanym i ich wodzom, niż przeciw rządowi rosyjskiemu i polskim ugodowcom.

Rozłam, jaki nastąpił w Konfederacyi i wystąpienie z niej Frondy, czyli trzech firm politycznych jednego stronnictwa, stawiły patryotów wobec konieczności połączenia się w organizacyę odrębną.

Do licznych fikcyi, któremi endecya wogóle, a w szczególności Fronda, operować przywykła, przybywała teraz jedna, wielce niebezpieczna, suggestyonowanie opinii polskiej, że Komisya S. S. N. całkowicie utraciła grunt w Królestwie Polskiem, gdyż wszystkie tamtejsze żywioły niepodległościowe przeciw niej się zwróciły. Istnieje wprawdzie wśród robotniczego świata P. P. S., mająca głęboko zakonspirowaną, lecz silniejszą, niż powszechnie sądzą, organizacyę, istnieje Związek Chłopski, rozrastający się żywiołowo i wiele popularniejszy niż Narodowy Związek chłopski, fabrykowany z ramienia Frondy; istnieją także związki młodzieży postępowo-niepodległościowej, trzymające się odpornie wobec sieci, zarzucanych przez Frondę na młode pokolenia, ale liczne i to coraz liczniejsze koła szczerze niepodległościowej inteligencyi dorosłej byłyby całkowicie pozbawione bezpośredniego związku z centralnymi organami Konfederacyi Niep., gdyby nie utworzyły własnej organizacyi oficyalnie reprezentowanej w Komisyi S. S. N.

Z drugiej strony dla samejże Komisyi S. S. N. niezbędną jest łączność z temi grupami, gdyż za ich pośrednictwem jedynie może ona być informowaną o prądach, nastroju, o całości gry politycznej, prowadzo-

nej przez ugodę, i osiąganych przez nią rezultatach, a przez to uchronić się od popełniania błędów, które nieraz już osłabiały jej popularność i utrudniały agitacyę na jej korzyść.

Pod wpływem takich okoliczności i z powyższych pobudek postanowiono powołać do życia Związek Patryotów.

Nie będąc w zależności od żadnego ze stronnictw, dotąd w Konfederacyi reprezentowanych, nie stanowiąc filii ani odpowiednika żadnej z partyi galicyjskich, stawia sobie on za zadanie gorliwe współdziałanie z ogólnymi celami Konfederacyi, a zatem gromadzenie sił i środków zarówno moralnych jak materyalnych dla przyszłej walki z Rosyą o niepodległość Polski.

Związek Patryotów nie jest partyą klasową; nie godzi się na utożsamianie interesów narodu z interesami jednej jego klasy, tem więcej na przeciwstawianie dobra narodu potrzebom i dążeniom klas do ekonomicznego i społecznego wyzwolenia dążących. Rozumiejąc, że wszelkim przeobrażeniom niewola stawia nieprzebyte zapory, że konserwowanie naszego obecnego, rozpaczliwego status quo, jest dla narodu wyrokiem powolnej zagłady, a próby reform w obrębie więzienia, bez naruszenia jego krat i rygli — złudą niebezpieczną i karkołomnem szaleństwem, w walce o wolność widzi jedyną drogę do pełnego odrodzenia narodu, do jego dalszego postępu i rozwoju.

Do walki tej zmobilizować trzeba wszystkie siły; nie może jej jedna grupa stoczyć w zastępstwie innych i na ich korzyść, a najmniej bojowej sprawności oczekiwać można po tych, które, korzystając z przywilejów więziennych na mocy ekonomicznego i społecznego przywileju, najlepiej się do niewoli przystosowały i najmniej ją odczuwają. Budzenie się do życia samodzielnego nowych warstw w narodzie witają patryoci z radością i otuchą, widząc w nich świeże zastępy obywateli „mających interes o konstytucyą krajową“; gdyż tylko ten, kto sam dla siebie wolności i niepodległości potrzebuje, kto czuje się silnym sam o sobie radzić i stanowić, poczuwając się do praw obywatelskich i do łączności z gromadą, której cząstkę stanowi, rozumie, na co wolność jest potrzebna krajowi i co stanowi główną przeszkodę do wprowadzenia jego gospodarki na tory pomyślniejszego rozwoju.

W stosunku do tych żywiołów robotniczych i chłopskich patryoci nie stawają w roli opiekunów i nauczycieli, lecz towarzyszy i braci. Ani im schlebiać, ani się nimi posługiwać dla swych celów nie pragną, lecz stają z nimi w jednym szeregu walczących o dobro wspólne, z którem każdy na równi identyfikuje swoje własne. To też zgromadzenie pod sztandarem niepodległościowym stronnictw ludowych poczytuje Związek Patryotów za najbardziej pocieszającą zapowiedź zwycięstwa.

W przeciwieństwie do wszystkich odłamów endecyi, począwszy

od Dmowszczyzny do Frondy, Związek Patryotów nigdy nie godzi się utożsamiać patryotyzmu z obskurantyzmem, ani czynić z niego pokrywki dla reakcyjnych i kastowych narowów. Cześć dla tradycyi polskiej nie jest u niego bezkrytyczną, lecz wyłącznie zarezerwowaną dla tych wspomnień dziejowych, którym Polska swój cywilizacyjny rozkwit, swoją wielkość i chwałę zawdzięczała. Dlatego też przybrał on nazwę Związku Patryotów, gdyż wyraz „patryota“, przez czas długi wycofany z użycia i zastąpiony zdyskredytowanym „narodowiec“, oznaczał niegdyś najdzielniejszych synów ojczyzny, tych, którzy nie szczędzili ofiar i trudów, by ją i cywilizacyjnie podnieść i państwowo zorganizować i od hańby niewoli uchronić.

Jak nam dziś, tak i im wówczas przeciwstawiał się rzekomy patryotyzm obskurantów, obrońców najzgubniejszych tradycyi, przywileju kastowego, bigoteryi, obyczajowych przeżytków — i dziś, jak wtedy, szukający oparcia w miłościwej aliantce Rosyi, przeciw przewrotowym prądom Zachodu. I wówczas, jak obecnie, na stronnictwo patryotyczne ciskano insynuacye, że jest ono stronnictwem pruskiem, i wtedy zarzucano na nie sieci politycznych intryg, by się niem istotnie stało.

I wtedy również pod pozorem łączności nierozerwalnej między polskością i katolicyzmem mobilizowano przeciw patryotom dygnitarzy Kościoła, by zwalczali i ich kulturalne zabiegi (Komisya edukacyjna) i ich polityczne wysiłki wyzwolenia się od moskiewskiej przemocy.

Związek Patryotów nie przybrał epitetu „niepodległościowy“, chcąc stwierdzić tą elementarną a nazbyt zapomnianą prawdę, że obrona niepodległości ojczyzny i walka z najazdem nie jest — jak się u nas mniema — szczytem poświęcenia, wyrazem idealizmu politycznego, lecz pierwszą powinnością każdego patryoty, obowiązkiem, od którego po prostu pod zarzutem zdrady uchylać się nie wolno.

Kto nie pragnie wolności dla kraju swego, kto jego wolności własną piersią bronić, własną krwią nie jest gotów okupić, ten nie ma prawa mówić o dobru narodu, nie może się ośmielać pouczać kogokolwiek o obowiązkach obywatela. Niepodległość nie jest tedy maksymalnym — lecz minimalnym programem politycznym — w Polsce, jak w każdym innym kraju. Zanim godzina wyzwolenia wybije, obowiązkiem każdego Polaka jest troszczyć się w pierwszym rzędzie o dwie kardynalne potrzeby narodu: s k a r b i w o j s k o.

„Skarb i wojsko!“ było to hasło patryotów na Sejmie czteroletnim, a dziś hasło to podejmuje Z w i ą z e k p a t r y o t ó w.

Pod tem hasłem jednoczyć wszystkich, — temu celowi oddać się niepodzielnie w służbę i bezwzględnie podoprządkować mu wszystkie inne dążenia — oto krótki i jasny program naszej organizacyi.

Anonim.

LIST Z WARSZAWY.

Jak można się było spodziewać, wystąpienie Frondy stało się dla prasy endeckiej doskonałą okazyą do dyskredytowania całej akcyi niepodległościowej. Skwapliwie i krzykliwie obwieściły jej organy, że Komisya Skonfederowanych Stronnictw istnieć przestała, Skarb Wojskowy stał się kasą partyjną, cała robota uległa rozbiciu.

Przyznać trzeba, że w tym wypadku nie wtórowały jej — jak dawniej — organy austro-fobskie innych obozów. „Kuryer Poranny" podał wprawdzie lakoniczną wzmiankę o „rozbiciu Komisyi Tymczasowej", lecz nie zaopatrzył jej ze swej strony żadnymi komentarzami. Natomiast wystąpiło w całej pełni istotne pokrewieństwo duchowe wszystkich odłamów starej endecyi. (Nie należy do nich mieszać redakcyi „Gońca Wieczornego", stojącego na zupełnie odrębnem stanowisku i bezprawnie cytowanego przez Frondę i secesyę jako ich organ).

Mimo kilkoletniej i pozornie bardzo zaognionej walki między Dmowszczyzną a Frondą, „Gazeta Warszawska" gorąco przyklasnęła wystąpieniu tej ostatniej; wezwała ją tylko, by uczyniła krok dalej na drodze rozsądku i zlikwidowała swój ruch wojskowy. Była to kropla jadu, dosączona do upajającego puharu komplimentów, bardzo gorzka kropla, gdyż „trójjedyna Fronda" liczyła na pewno, że dziś uda się jej grać rolę wyłącznej przedstawicielki ruchu niepodległościowego na Warszawę i Królestwo i z tej racyi eskamotować na rzecz swej kasy i armii całą sympatyę, jaką ten ruch budzi. „Gazeta Warszawska" od razu poderwała jej kredyt i utrudniła jej odegranie tej ślizkiej roli wroga K. S. S. N. a zarazem wodza ruchu przez nią wywołanego „całej polskiej irredenty" — w przeciwstawieniu do „partyjnej organizacyi" galicyjskiej itp. Jej wystąpienie ocenione zostało w tym wypadku słusznie, jako próba rozbicia i zniweczenia ruchu powstańczego.

Od tego zarzutu trójimienna Fronda nie będzie mogła się oczyścić wobec lewicy; tej pochwały ze strony prawicy nic z niej nie zmyje.

Faktem jest, że w gruncie rzeczy motywy wystąpienia — a nie mówię o tych, na które się powoływano, lecz o rzeczywistych ukrytych pobudkach, — były w związku z ciążeniem na prawo, z rodzinną tęsknotą wszystkich odłamów endecyi do ponownego zjednoczenia. Nie ulega wątpliwości, że mima wszelkich kolejnych „frond" i „secesyi", cały ten obóz stanowi nadal organiczną jedność, że spory i rozłamy wybuchały tylko na tle poszczególnych spraw, lecz nigdy nie doprowadzały do zupełnego rozerwania nitek, łączących wszystkie te grupy. Łączność ta zresztą utrzymywała się przez poszczególne osoby i grupy osób, przez głównych macherów, którzy wedle endeckiej metody politycznej, stale ukrywają sprężyny swej akcyi przed ogółem członków stronnictwa, tworząc konspiracyę

w konspiracyi i gotując szereg niespodzianek i mistyfikacyi nawet dla rzekomo wtajemniczonych.

Stąd to ci mniemani niepodległościowcy stawali się echem ugodowców, ile razy chodziło o zwalczanie Komisyi S. S. N., jej działalności lub poszczególnych osób i stronnictw, w jej skład wchodzących. Nie przeciw rządowi, nie przeciw ugodzie, lecz przeciw „nieprawowiernym“ lub „niepowołanym“ niepodległościowcom, wytężali cały swój bojowy animusz. Łudzili siebie albo raczej swych adeptów, że dosyć będzie oczyścić obóz niepodległościowy z „żydów, socyalistów, stapińszczyków“ itd., by do niego przywarła cała prawica z secesyą, klerykałami i endekami włącznie, by znowu można pod jednym endeckim sztandarem zgrupować „cały naród“ i pod popularnemi patryotycznemi hasłami poprowadzić go, gdzie się zechce, choćby przeciw Rusinom, żydom, masonom, socyalistom, a gdy będzie koniecznie potrzeba, to i przeciw Moskalom. Pogodzenie się z endecyą było w pierwszym rzędzie potrzebne secesyi z racyi sprawy samorządu. Jakkolwiek w pewnych punktach zwalczała ona politykę Dmowskiego, nigdy jednak nie stawiała kwestyi na ostrzu noża, gdy chodziło o postępowanie Koła Polskiego w Dumie lub o projekt samorządowy w szczególności. Najhaniebniejsza nawet kapitulacya, zupełne ośmieszenie sprawy polskiej, przez zidentyfikowanie postulatów Koła z poprawką posła warszawskiej mniejszości Aleksiejewa, nie wywołało z jej strony potępienia. Zdawało się bowiem, że prędzej czy później samorząd ten stanie się prawem, a wtedy znajdzie się przy nim miejsce nie tylko już dla endeków, lecz i dla secesyonistów. Agitacya wyborcza, usuwanie ludzi sobie niemiłych, a protegowanie „dobrze myślących“ — są to rzeczy za nadto ponętne, by się ich na rzecz zasadniczych różnic politycznego *credo* można było wyrzec. Z drugiej strony po cichutku, bez przyjmowania za to odpowiedzialności, kolportowano w obozie endeckim pogłoski, że Dmowski i jego sztab pokryjomu sprzyjają dążeniom niepodległościowym i popierają ruch wojskowy, dyskredytują go tylko ze względów dyplomacyi wyższej, a może przechyliliby się zupełnie na jego stronę, gdyby ich to nie narażało na znalezienie się w zbyt mieszanem towarzystwie „socyalistów, stapińszczyków i masonów“. Niektórzy secesyoniści szczerze w to wierzyli.

Z drugiej strony między Frondą i secesyą była tylko ta różnica, że ostatnia pozornie łączyła się z Komisyą Tymczasową, co nie przeszkadzało jej kopać pod nią dołki, secesya zaś zupełnie jawnie negowała autorytet Komisyi, a marzyła i marzy o wskrzeszeniu Rady Narodowej lub utworzeniu jej sobowtóru, ogarniającego nie tylko Galicyę i Królestwo, lecz wszystkie dzielnice z Ameryką włącznie.

Te marzenia znakomicie się schodzą z programem politycznym, rozwijanym w „Zagadnieniach Niepodległości“ J. Brzozy. O książce tej powiedziano zupełnie słusznie, że jest to program gospoda-

rowania w kraju. Podziemne państwo polskie, któreby się nie przeciwstawiało istniejącym w niej rządom obcym, lecz raczej żywiołom „anarchii z dołu“, które byłoby niby to dolnem piętrem władzy i nie zrzucając jarzma pogłębiało niewolę na wewnątrz — jest to koncepcya polityczna na wskróś endecka i świadcząca, że jej autor prędzej czy później w objęcia panów Dmowskich i Balickich wpaść musi. Istniały więc dla wszystkich odłamów endecyi wspólne punkty zjednoczenia: jeden na prawo: samorząd i patryotyzm antyżydowski, drugi cokolwiek na lewo: sztandar pseudoniepodległościowy, jako środek koncentracyi dla podziemnego państwa, rządzonego przez Radę Narodową.

Owa Rada, wzorując się na wszystkich swych poprzedniczkach i na obecnej Radzie Narodowej poznańskiej, odrzuciłaby na bok wszystkie kwestye niebezpieczne, bojowe, w zakres wielkiej polityki wchodzące, a zajęłaby się sprawami tajnego nauczania, szyldami polskimi na Chełmszczyźnie i tym podobnemi drobnostkami obok okazyjnego tropienia żywiołów „niepolskich“ na lewicy. Militaryzacyę rozumiałaby jako tworzenie milicyi do wykonywania jej poleceń przy wyborach lub przy karaniu opornych, do obrony dworów „przed anarchią“, wreszcie do parad patryotycznych, o ile się sposobność zdarzy. W tym sensie militaryzm znalazłby mógł istotnie poparcie wśród najbardziej reakcyjnych żywiołów.

Projekt samorządu upadł w Radzie Państwa; głośno obwieściły to organy ugody i neougody jako narodową klęskę. Była to istotnie klęska tylko dla endecyi, która liczyła, że przy wyborach do samorządu odegra się za wszystkie dotychczasowe porażki. Było ich niemało, bo prócz głośnych i znanych ponosiła mnóstwo innych kompromitacyi. Jakoś się tak zdarzyło, że co raz to któryś z matadorów stronnictwa został przyłapany na maczaniu ręki w kasach instytucyi publicznych i sromotnie wylany z danego komitetu, zarządu czy rady nadzorczej.

Była to istna epidemia raperswylska, a deficyty, poczynione przez endeków, kilkakrotnie przewyższyły sumę bezprawnie podniesioną ongi ze Skarbu Narodowego. Gdyby prasa nie tuszowała tych spraw ze względu na byt samych instytucyi, wytworzyłaby się ogólna odraza do powierzania endekom jakichkolwiek publicznych funduszów, co oczywiście mocno podrwałoby potęgę stronnictwa, stale grawitującego do pełnych kas.

Gdziekolwiek zbierze się grono ideowców, rozwinie owocną działalność, zorganizuje ją, zapewni jej jakie takie materyalne oparcie i zgromadzi pewne zasoby, natychmiast następuje najazd endecki i przedsiębierze reformę, polegającą na tem, by inicyatorów i pracowników usunąć, owoce ich pracy opanować, całą robotę zagarnąć w swoje ręce i eksploatować dla osobistych lub partyjnych celów. Takich placówek cudzych, opanowanych przez różne odłamy endecyi, można naliczyć dziesiątki co najmniej, a zawsze za pozór służy chęć ich uzdrowotnienia i odebrania

z rąk „niepowołanych". Organizacye konspiracyjne lub nawpół konspiracyjne są na to nie mniej narażone niż legalne i jawne, gdyż nie będąc nawet równie bogate przedstawiają ten awantaż, iż są z góry zabezpieczone przed kontrolą. Tajemniczość, osłaniająca rachunki, pozwala na posługiwanie się funduszami powstańczymi na ugodowe cele, czerpanie ze skarbu, gromadzonego w celach rewolucyjnych, na kontrewolucyjną akcyę.

Wyłamanie się Frondy z Konfederacyi niepodległościowej, dążność do tworzenia odrębnej organizacyi wojskowo-skarbowej prowadzi niechybnie do dosłownego powtórzenia się historyi raperswylskiego skarbu narodowego i świadczy o nieodrodnie endeckiej naturze jej kierowników i dyplomatów. Stąd to taki gorący poklask „Gazety warszawskiej" i „Dwugroszówki".

Nigdy nie było chyba tak niezmierzonej przepaści między podziemnymi prądami, nurtującymi głębsze pokłady społeczne, a zewnętrzną reprezentacyą żywiołów, mieniących się wybitnymi, poważnymi, dojrzałymi i uzurpującymi monopol reprezentowania narodu.

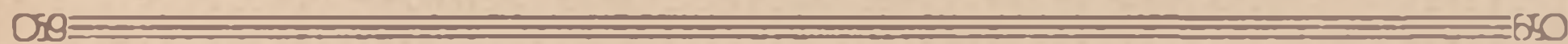
Podczas gdy cała niemal młodzież przejęta jest hasłami niepodległościowemi, gdy one coraz silniejszy oddźwięk znajdują wśród ludu wiejskiego, w warstwach t. zw. wyższych szerzy się ugoda, dochodząca do wprost potwornych objawów znikczemnienia.

Panegiryki dla zmarłego jen. gub. Skałłona były tylko jednym z najgłośniejszych, lecz najbardziej rażących symptomatów tej zarazy. Wystąpiła ona jeszcze w ostrzejszej formie w Kielcach, gdzie obywatelstwo gubernii i notable miejscy owacyjnie żegnali gnębiciela swego, gubernatora Ozierowa, uczcili go bankietem, obdarzyli jego żonę brylantami i doprowadzili ją do takiego rozczulenia, że w chwili wyjazdu rzuciła się na szyję jednego z wybitnych działaczy ze sfery ziemiaństwa. Tow. Centralne rolnicze rozdawało chłopom nagrody Romanowskie. W Lublinie na loteryę fantową na rosyjskie „pryjaty" obywatele składali hojne ofiary w narzędziach rolniczych, sztukach bydła itp., które później rozlosowano między włościan, z czego wynika, że koszt imprezy ponoszą Polacy, wdzięczność ludu zaskarbia biurokracya rosyjska, a ziemiaństwo pocichu zapewnia sobie tylko pożyteczne stosunki w sferach urzędniczych, by przez ich poparcie załatwiać swoje prywatne interesy przy regulacyi służebności i innych okazyach. Agitacya rusofilska wśród ludu posługuje się tedy polskimi pieniądzmi, i to z łaski tych sfer, które najgłośniej krzyczą przeciw rozbijaniu jedności narodowej przez ludowców.

Oczywiście choroba serwilizmu kwitnie w Warszawie niemniej niż na prowincyi. Polacy profesorowie uniwersytetu warszawskiego uświetniają rosyjskie naukowe „krużki" swoimi referatami, podnosząc markę oficyalnej nauki, wielce zdyskredytowanej u nas nawet w opinii Rosyan. Są to ci sami panowie, których mimo zerwania bojkotu polskie prywatne uczelnie jak kursy naukowe, rolnicze i t. p. zapraszają na katedry, tworząc

z najwyższym wysiłkiem ofiarności placówki dla nauki polskiej. Młodzież, lękając się o stłumienie tych uczelni, reaguje zbyt słabo lub nie reaguje wcale, a bezkarność rozzuchwala zaprzańców, których tylko brutalna siła mogłaby utrzymać w karbach.

Można boleć nad nadmiarem tolerancyi i brakiem temperamentu u młodzieży, nie można im się dziwić. Prócz innych, stałych niebezpieczeństw, grożących polskim prywatnym zakładom naukowym, corocznie w epoce egzaminów, promocyi i matur, ochrana odbywa masowe obławy na uczniów i słuchaczy. Rewizye i aresztowania stanowią zwykłe zakończenie roku szkolnego. I obecny rok nie różni się od poprzednich. Przetrząśnięto szereg mieszkań, zamknięto kilkunastu młodszych i starszych młodzieńców. Rzucono popłoch na dyrektorów i wszczęto „sprawy“, do których niezawodnie zbraknie materyału, ale cel osiągnięty. *Gazda.*



STAN OBECNY RUCHU UKRAIŃSKIEGO W ROSYI.

I.

Dwadzieścia lat temu przeciętny inteligent rosyjski roześmiałby się w oczy każdemu, ktoby twierdził, że przyjdzie czas, kiedy narodowy ruch ukraiński będzie traktowany jako poważne niebezpieczeństwo dla narodu i państwa rosyjskiego. Koła konserwatywne uważały, że wszystkie objawy jakiejś odrębności ukraińskiej są poprostu wynikiem wszechobecnej „intrygi polskiej“ i powinny być tępione z całą stanowczością. Sfery, usposobione bardziej liberalnie, traktowały nieliczne jednostki i kółka o sympatyach ukrainofilskich jako dziwaków, niepotrzebnie marnujących siły na pielęgnowanie skazanych na zagładę odrębności prowincyonalnych — siły, które należy zwrócić w jednym kierunku, na wzmocnienie „ogólno-rosyjskiej“ walki wolnościowej. Żywioły liberalne i radykalne zżymały się na barbarzyńskie zakazy, uciskające literaturę ukraińską, ale w gruncie rzeczy były przekonane, że właśnie usunięcie tych zakazów spowoduje przyśpieszenie rozpłynięcia się odrębności Ukrainy w morzu wszechrosyjskiem.

Nikt nie traktował „ruchu ukraińskiego“, a raczej „ukrainofilskiego“, jaki podówczas istniał, na seryo. Ci, co o nim słyszeli, uważali go za zabawkę kilku ludzi o przeczulonych sympatyach lokalnych, ale olbrzymia większość inteligencyi rosyjskiej nawet nie domyślała się jego istnienia. Wiadomości o tem, że w Gąlicyi istnieje prasa ukraińska, że wykładą się tam po ukraińsku w gimnazyach i nawet na uniwersytecie, słuchano jak fantastycznych wieści z Marsa, nie bardzo im wierząc.

Jakież odmienne jest stanowisko społeczeństwa rosyjskiego do ruchu ukraińskiego dzisiaj. O ruchu tym drukuje się setki artykułów, broszur, ba, nawet wychodzą olbrzymie dzieła (Szczogolewa), dowodzące na pod-

stawie bardzo obfitego materyału niesłychanej szkodliwości ruchu „mazepińskiego“. I co najciekawsze, przeciwko ruchowi ukraińskiemu występują już nietylko czarnosecińcy i nacyonaliści rosyjscy, ale i przedstawiciele obozu liberalnego. Były redaktor sztutgarckiego „Oswobożdienja“, wybitny członek stronnictwa kadetów i wydawca jednego z najbardziej rozpowszechnionych miesięczników rosyjskich — „Russkaja Mysl“, p. Piotr Struwe, wydrukował w swem piśmie głośny artykuł, wypowiadający bezwzględną walkę ukrainizmowi. Za jego przykładem poszedł inny liberał rosyjski, znany sympatyk naszych ugodowców, prof. Pogodin.

Kwestya ukraińska w Rosyi stała się obecnie zagadnieniem tak aktualnem, że mówi się o niej niemal codziennie. W Dumie toczą się nad nią żywe dyskusye, na zjeździe wszechrosyjskim nauczycielstwa ludowego sprawa ukraińska wysunęła się na czoło rozpatrywanych tam kwestyi, zjazd kooperatystów rozbrzmiewał echami ostrych starć na tle sprawy ukraińskiej. Już to samo wskazuje, że między „ukrainofistwem“ z przed lat dziesięciu a dzisiejszym ruchem ukraińskim musi być głęboka różnica. I tak jest istotnie.

Dwadzieścia lat temu rozpoczynała się agonia „ukrainofilstwa“ i rodził się z niesłychanemi trudnościami współczesny ruch ukraiński. Dość powiedzieć, że pod koniec dziewiątego dziesięciolecia ubiegłego wieku, na całym obszarze Ukrainy od Zbrucza poza Kubań nie znalazło się dwudziestu inteligentów, którzyby potrafili mówić po ukraińsku o sprawach, nie dotyczących życia codziennego, o kwestyach społeczno-politycznych, o przedmiotach nauki lub sztuki. Rodziny, w których stale mówionoby po ukraińsku, można było na palcach porachować. Wprawdzie język ukraiński był w użyciu tradycyjnem w poszczególnych miejscowościach i w pewnych sferach, jak u średniozamożnych obywateli ziemskich w Połtawszczyźnie, wśród oficerów kozactwa kubańskiego, między duchowieństwem wiejskiem na Podolu i t. d. Ale pożal się, Boże, co to był za żargon! Była to mowa chłopska, której się uczono od nianiek, służących i włościan, mowa, pozbawiona wyrazów „inteligenckich“, które musiano brać z języka rosyjskiego. Toteż z chwilą, kiedy trzeba było opuścić teren stosunków powszedniości życiowej, natychmiast sięgano do skarbnicy języka rosyjskiego. Charakterystyczne, że najwybitniejsi „ukrainofile“ korespondowali między sobą po rosyjsku, przemawiając po ukraińsku (zwykle nie tęgo) jedynie w chwilach uroczystych. Aktorowie teatrów ukraińskich, schodząc ze sceny, powracali do języka rosyjskiego. Rozmowę ukraińską inteligentów uważano powszechnie za coś nienaturalnego, za objaw niedorzecznego szowinizmu.

Dziś wszystko to należy do historyi. Ostatni, coraz mniej liczni „ukrainofile“ wymierają, czując się bliższymi Rosyanom, niż dzisiejszemu pokoleniu inteligencyi ukraińskiej. „Ukrainofilstwo“ obecnie stało się czemś pogardzanem, czemś niemal hańbiącem, etapem w rozwoju ukrainizmu, o którem nowe pokolenia chciałyby jak najprędzej zapomnieć. „Ukrainofilów“ zastąpili „świadomi Ukraińcy“, po których przyszli — *tout court* — „Ukraińcy“. I liczba tych ostatnich rośnie szybko, coraz szybciej.

Proces ten rozpoczął się jeszcze w końcu XIX-go stulecia i w pierwszych latach bieżącego, ale wybujał w całej pełni dopiero po r. 1904-ym.

II.

Przed r. 1905-ym warunki polityczno-policyjne, w jakie wtłoczony był ruch ukraiński, wprost uniemożliwiały mu — z jednej strony uzewnętrznianie się, z drugiej zaś wpływ na szersze masy, zwłaszcza ludowe. Ukaz 1876-go roku zwęził produkcyę literacką w języku ukraińskim do oryginalnej (broń Boże, nie tłumaczonej) beletrystyki. Nie wolno było wydawać Ukraińcom ani pism, ani rzeczy naukowych, ani nawet popularnonaukowych w zakresie elementarnym. Cenzura wydawnictw ukraińskich zakazywała ich nie tylko za tendencyę, ale nawet za mowę, o ile się ta danemu cenzorowi wydawała zbyt „przesiąkniętą polonizmami“. Dochodziło do takich dziwacznych faktów, jak stworzenie dość zasobnej literatury popularno-naukowej w formie beletrystycznej, gdyż ani elementarnych wiadomości z fizyki, ani przepisów hygienicznych, ani tembardziej rzeczy historycznych, podanych w formie normalnej, cenzura by nie puściła.

Tymczasem jednak potrzeby kulturalne rosnącego zastępu inteligencyi ukraińskiej nie dawały się wtłoczyć w istniejące ramki cenzuralne. Od czasu do czasu te ostatnie dawało się przełamać dzięki jakimś nadzwyczajnym wysiłkom. W jakiemś jednem mieście uzyskiwano możność puszczenia szeregu wydawnictw popularno-naukowych, w innem wydano coś w rodzaju pism w postaci prac zbiorowych kilkunastu pisarzy; czasem udało się przekształcić obchód jakiejś rocznicy na manifestacyę narodową. Ale wszystko to było dorywcze, niesystematyczne, pozbawione trwałych podstaw. Te ostatnie Ukraina rosyjska zdobyła w Galicyi, która powoli staje się piewszorzędnym warsztatem pracy odrodzeńczej Ukraińców z za kordonu rosyjskiego.

Już po pierwszych próbach ze strony rządu rosyjskiego położenia kresu rozwojowi odradzającej się literatury ukraińskiej, „ukrainofile“ poczynają przenosić część swej działalności na grunt wschodnio-galicyjski. Tu po r. 1863 pracuje jeden z najwybitniejszych pisarzy ukraińskich, P. Kulisz. Tu, we Lwowie, Ukraińcy zakładają poważny miesięcznik „Prawdę“, organ całego ruchu „ukrainofilskiego“ w Rosyi przez czas dłuższy. We Lwowie zakłada się za pieniądze Ukraińców drukarnię i Towarzystwo im. Szewczenki, które z czasem, z inicyatywy zakordonowca prof. Hruszewskiego, przekształca się na prawdziwą Akademię Umiejętności. Na grunt galicyjski przenosi swą propagandę radykalizmu Dragomanow, przekształcając najwybitniejsze jednostki z pośród młodzieży moskalofilskiej na działaczy społeczno-politycznych i literackich w kierunku narodowo-ukraińskim. We Lwowie z biegiem czasu tworzy się największy ośrodek pracy, ogniskujący działalność literacką, naukową i polityczną Ukraińców zakordonowych. Tu się drukuje wszystko, czego nie dopuszcza cenzura rosyjska, tu wytwarza się wspólny, ogólno-ukraiński język naukowy i publicystyczny, tu wreszcie powstają ogólno-ukraińskie dążności narodowe, rozsadzające powoli zaściankowe, zaśniedziałe „ruteństwo“ starszego pokolenia narodowców ruskich.

Wpływ Ukraińców z za kordonu odbijał się nader dobroczynnie na Rusinach galicyjskich i pod względem ideowym i pod względem materyalnym. Ukraińcy przynosili do Galicyi szersze poglądy społeczne i narodowe, szerzyli tu prądy bardziej wolnomyślne i radykalne, bardziej de-

mokratyczne od tych, z jakimi płynęła sklerykalizowana inteligencya ruska. Jednocześnie popierali oni instytucye kulturalne i prasę nie tylko współpracą, ale i zasobami pieniężnymi. Niejedno wydawnictwo nigdyby nie ujrzało światła dziennego, gdyby nie pomoc Ukraińców z za kordonu. I to, co Rusini galicyjscy posiadają dziś w zakresie kultury narodowej, zawdzięczają oni w znacznej mierze pomocy zakordonowców.

Gdy wojna japońska i wrzenie rewolucyjne na obszarze całego państwa carów zmusiły rząd rosyjski do częściowych ustępstw, Ukraińcy skorzystali z nich o tyle, że mogli przenieść na grunt rosyjski to, co w ciągu poprzednich kilku dziesięcioleci wypracowali i przygotowali sobie w Galicyi. I tu odrazu się pokazało, że ruch ukraiński przedstawia już pewną siłę. Zjawia się prasa ukraińska w rozmaitych miastach nie tylko ukraińskiego obszaru etnograficznego, ale i w Petersburgu, w Moskwie, a nawet na Syberyi. Tworzą się ośrodki ruchu kulturalnego w postaci szeregu nowych firm wydawniczych ukraińskich, stowarzyszeń oświatowych („Proświt“), klubów inteligencyi ukraińskiej i t. d. Młodzież ukraińska wyższych zakładów naukowych żąda katedr „ukrainoznawstwa“ (język, literatura, historya, prawo Ukrainy); w Charkowie i w Odessie faktycznie kilku profesorów zaczyna wykładać po ukraińsku; wykład języka i literatury ukraińskiej wprowadza się w kilku gimnazyach i w jednem z seminaryów duchownych; powstają prywatne szkoły ludowe z ukraińskim wykładem i t. d. Organizują się ukraińskie partye polityczne — wszystkie demokratyczne, w mniejszym lub większym stopniu zabarwione socyalizmem. W pierwszej i drugiej Dumie posłowie ukraińscy skupiają się w odrębne kluby.

Wystarczyło jakiego takiego osłabnięcia ucisku, aby się ujawniło, że ruch ukraiński, ukrywający się w podziemiach i występujący otwarcie tylko na gruncie galicyjskim, przedstawia pewną siłę i nie jest już *quantité négligeable*, jaką był w ostatnich latach XIX stulecia i na początku bieżącego.

Reakcya kontrrewolucyjna lat 1906—1914-go zniszczyła mnóstwo objawów, które się wydawały trwałymi w chwilach t. zw. „dni wolnościowych“. Język ukraiński, który się wdarł był czasowo do szkół, został z nich bardzo szybko usunięty. Najczynniejsze z „Proświt“ pozamykano, z Dumy znikły „hromady“ ukraińskie, partye polityczne ukraińskie rozsypały się w gruzy, a wzrastające represye coraz bardziej utrudniały inteligencyi ukraińskiej działalność narodową. Ta jednak, opierając się na ocalałem minimum szczątków zdobyczy r. 1905-go, nie przestała się rozwijać.

III.

Bilans 8-letniego rozwoju ruchu ukraińskiego w Rosyi przedstawia się w sposób następujący:

Przedewszystkiem uderza liczebny wzrost inteligencyi, już nie tylko objawiającej pewne sympatye prowincyonalne, nie tylko „ukrainofilskiej“, ale ukraińskiej w ścisłem znaczeniu słowa. We wszystkich wyższych zakładach naukowych Rosyi istnieją ukraińskie „hromady“, skupiające świadomą pod względem narodowym młodzież ukraińską, która przygotowuje się do przyszłej działalności na gruncie życia społecznego Ukrainy. Wśród młodzieży tej język ukraiński nie jest już językiem przemówień uroczy-

stych, lecz mową codziennego użytku, czego dawniej nie bywało. Coraz liczniejszy zastęp rodzin inteligenckich posługuje się tym językiem stale. Inteligencya ukraińska wyodrębnia się z rosyjskiej we własne organizacye, bądź towarzyskie („Kluby“), bądź zawodowe, jak stowarzyszenia ukraińskich techników, agronomów i t. d. Interesy umysłowe tej inteligencyi obsługuje coraz różniczkująca się prasa, przyczem typ dawnego literata i publicysty ukraińskiego, pisującego głównie po rosyjsku, zaś od czasu do czasu po ukraińsku, znajduje się w zaniku. Natomiast istnieją już pisarze, przemawiający wyłącznie z łamów pism ukraińskich.

Oczywiście, z codzienną prasą rosyjską prasa ukraińska jeszcze nie może konkurować. Na kilkanaście dzienników rosyjskich, rozchodzących się po Ukrainie, ukraińcy rozporządzają zaledwie jednym dziennikiem w Kijowie „Rada“, który jest przeznaczony i dla inteligencyi i dla inteligentniejszych kół ludowych. Ale już w zakresie miesięczników zasoby Ukraińców są poważniejsze Mają oni przeniesiony do Kijowa ze Lwowa — „Literaturno-naukowyj Wistnyk“, organ, skupiający większość literatów ukraińskich; „Ukraińską Chatę“, reprezentującą nowsze prądy literackie; wreszcie „Dzwin“, organ marksistów. Specyalnie sztuce poświęcone jest „Siajwo“, pedagogice i nauczaniu „Switło“, dla dzieci wychodzi „Mołoda Ukraina“. Poważnem pismem naukowem jest kwartalnik „Ukraina“, organ kijowskiego „Ukraińskiego Towarzystwa narodowego“, które ogłosiło od r. 1907 kilkanaście tomów prac naukowych z rozmaitych dziedzin wiedzy. Słuchacze wyższych zakładów naukowych posiadają własny organ („Ukraińskyj Student“), kooperatyści dwa („Nasza kooperacya“ i „Komasznia“).

Te ostatnie są już wydawnictwami popularnemi, przeznaczonemi i dla ludu. Takiż charakter mają „Rilla“ (pismo rolnicze), „Zyttia i znannia“ (medyczno-hygieniczne), „Majak“ (dla chłopów i robotników).

Cechą charakterystyczną współczesnego ruchu ukraińskiego jest to, że nie ogranicza się on do sfery zawodowej inteligencyi, jak to było jeszcze niezbyt dawno, ale coraz bardziej zakorzenia się w sferach ludowych. Przytem proces unaradawiania się rozwija się w kierunku od wschodu i północy ku zachodowi. Lewobrzeżna Ukraina o lat kilkanaście conajmniej wyprzedziła prawobrzeżną. Najwybitniejsi przedstawiciele ruchu ukraińskiego (z wyjątkiem chłopa — Szewczenki) pochodzą z za Dniepru, z gub. Połtawskiej, Charkowskiej, Woroneskiej i t. d. Wołyń i Podole w ogólnym dorobku ukraińskim nie grają poważniejszej roli, a, o ile chodzi o warstwy ludowe, to właśnie na Wołyniu i na Podolu stoją one bodaj najniżej pod względem świadomości narodowej. Natomiast w gub. Jekaterynosławskiej, Połtawskiej, Chersońskiej, Charkowskiej, Czernichowskiej, lud ukraiński budzi się dość szybko do życia narodowego. Wogóle dzięki wyższemu poziomowi oświaty, szerzonej przez szkoły ziemskie, których dotąd nie było na Podolu i Wołyniu, lud ukraiński wyżej wzmiankowanych gubernii łatwiej przyswaja sobie poglądy narodowe ukrańskie, gdy Wołyń i Podole są terenem zaciekłej agitacyi czarnosecińców, swoją drogą też często uciekających się do wydawnictw w języku ukraińskim.

O rosnącej świadomości narodowej ukraińskich chłopów i robotników świadczą fakty domagania się wydawnictw, wykładów (np. agronomicznych) i szkół z językiem rodowitym, amatorskie przedstawienia teatralne przez nich urządzane, popularność „Proświt“, petycye, wysyłane w sprawie języka ukraińskiego w szkołach do Dumy i t. d. Kiedy niedawno

przyjechał do Lwowa chłop-poseł dumski, nacyonalista Makohon, „wybrany z gub. Jekaterynosławskiej i wyraził swe sympatye dla podsądnych w procesie Bendasiuka, w ciągu kilkunastu dni zebrano pod protestem przeciwko temu, wysłanym do „Rady“, 1727 podpisów chłopskich i robotniczych z 12-tu wsi rodzinnych miejsc Makohona.

Współczesna inteligencya ukraińska znalazła drogę do ludu i pomimo niesłychanych trudności i przeszkód, stawianych przez władze, pracuje nad jego uświadomieniem narodowem. Jednocześnie rozwija się praca nad odzyskiwaniem tych kół inteligencyi ukraińskiej, która się w większym czy mniejszym stopniu zrusyfikowała, ale nie zatraciła pewnych sympatyi ukraińskich. W tej pracy wielkie usługi oddaje wychodzący w Moskwie miesięcznik „Ukrainskaja Żizń, drukowany po rosyjsku, a zaznamiający ze wszystkimi objawami życia ukraińskiego i broniący ruchu ukraińskiego wobec napaści przeciwników.

Stopniowo ludzie pochodzenia ukraińskiego, którzy wczoraj jeszcze byli zupełnie obojętni dla narodowego ruchu ukraińskiego i uważali się za Rosyan, poczynają skłaniać się ku ukrainizmowi i uznawać konieczność zaspokojenia dążeń kulturalnych Ukrainy na gruncie narodowym. Prąd ten ogarnia żywioły najróżnorodniejsze i inteligencyę zawodową, właścicieli ziemskich, duchowieństwo. Sfery, stykające się bezpośrednio z ludem — nauczyciele ludowi, pracownicy w ziemstwach, na stanowiskach lekarzy, agronomów, kler wiejski, wprost żywiołowo odnajdują w sobie pierwiastki ukraińskie i w mniejszym lub większym stopniu lgną do ruchu ukraińskiego. Skutkiem tego rozszerza się teren jego oddziaływania i rośnie jego znaczenie.

IV.

Ażeby ocenić znaczenie współczesnego ruchu ukraińskiego, należy zrozumieć jego stosunek do Rosyi jako państwa i do żywiołu rosyjskiego, jako panującego w tem państwie.

Ruch ukraiński jest ruchem kulturalnym o niesłychanie słabym charakterze politycznym. Maksymalne postulaty polityczne tego ruchu streszczają się w autonomii ziem, zamieszkanych przez ludność ukraińską; żądaniami na dziś są: wprowadzenie języka ukraińskiego jako wykładowego do szkolnictwa ludowego, do praktyki sądownictwa i administracyi; jako przedmiotu wykładu do szkół średnich, wreszcie ustanowienia katedr ukrainoznawstwa na uniwersytetach w Kijowie, Charkowie, Odessie, nadto zniesienia wszelkich ograniczeń i zakazów, specyalnie przeciwko Ukraińcom skierowanych.

Zdawałoby się, że żądania te są bardzo skromne, i że zaspokojenie ich mogłoby chyba tylko wzmocnić siłę państwową Rosyi. Ale rząd rosyjski i część społeczeństwa rosyjskiego, zwalczająca ruch ukraiński, doskonale rozumieją, że po tych pierwszych ustępstwach musiałyby pójść dalsze, co w konsekwencyi doprowadziłoby do wyparcia języka rosyjskiego z zajętego przezeń stanowiska i do bankructwa fikcyi o „jedynym stumilionowym narodzie rosyjskim, obejmującym Wielkorusów, Małorusów i Białorusów“. Przykład Galicyi, gdzie w ciągu pięćdziesięciu lat Rusini przekształcili się z etnograficznej masy chłopskiej na naród w całem znaczeniu słowa, jest dla Rosyi zbyt odstraszający, aby zechciała pójść w ślady czynników, które umożliwiły na Rusi Czerwonej rozwój tego procesu. Niebez-

pieczeństwo skrystalizowania się 30-kilkumilionowej masy etnograficznej ukraińskiej od Zbrucza po Kaukaz w zupełnie odrębną narodowość o normalnych funkcyach kulturalnych jest dla Rosyi i dla społeczeństwa rosyjskiego zbyt groźnem, aby mu nie stawiano energicznego oporu. Przecież, gdyby Ukraińców przestano uznawać urzędowo za „Rosyan", państwo rosyjskie przekształciłoby się na zbiorowisko narodów, wśród których Rosyanie stanowiliby mniejszość, a więc na państwo nie-rosyjskie, za jakie chce uchodzić.

I, jeśli sfery rządowe i czarnosecinne występują przeciwko Ukraińcom z oskarżeniami o „mazepiństwo", „knowania separatystyczne", „austrofilstwo" i t. p. rzeczy, to liberalni przeciwnicy ruchu ukraińskiego w rodzaju Struwego lub Pogodina zwalczają go jako straszny cios dla jedności narodu rosyjskiego i kultury rosyjskiej. Rozumieją oni doskonale, że ten ruch nie da się w żaden sposób utrzymać w skromnych ramach prowincyonalizmu, sentymentalnego „ukrainofilstwa", współżyjącego harmonijnie z potężną „ogólnorosyjską" kulturą bez żadnej ujmy dla tej ostatniej, jak to było lat temu 30 lub 40. Widzą oni bodaj czy nie lepiej od samych kierowników kulturalnego ruchu ukraińskiego, że ten ostatni wprost żywiołowo rozszczepia siły „ogólnorosyjskie" i odciąga od ogniska „ogólnorosyjskiego" pracowników Ukraińców.

Charakterystyczne, że wśród młodszego pokolenia pisarzy rosyjskich jest bardzo mało Ukraińców. Tradycye Gogola, Korolenki, Potapenki, Maczteta i tylu innych, którzy pisywali tylko po rosyjsku, będąc z pochodzenia Ukraińcami, urywają się. Z chwilą, kiedy stało się możliwem publikowanie prac naukowych po ukraińsku, wydawcy miesięcznika „Kijewskaja Starina" zwijają go po kilkudziesięciu latach istnienia i zastępują pismem w języku ukraińskim. Pod parciem z dołu cały szereg pism rosyjskich, wychodzących na Ukrainie, wprowadza dział drukowany w języku ukraińskim. Liczba tych pism rosyjsko-ukraińskich zwiększa się, ale dziś już to nie może zadowolnić publiczności, która domaga się całkowitego ukraińszczenia prowincyonalnej prasy rosyjskiej na Ukrainie. Nawet robotnicy-Ukraińcy, żywioł do niedawna bodaj, że najbardziej zrusyfikowany, obecnie systematycznie domagają się dla siebie wydawnictw ukraińskich.

Wszystkie te i temu podobne objawy gruntownie zmieniły stosunek społeczeństwa rosyjskiego do ruchu ukraińskiego. Niema już obecnie owego humorystyczno-pobłażliwego traktowania „dziwactw chachłackich", jakie istniało dawniej. Jest albo stosunek bezwzględnie wrogi, albo tendencya do pozyskania ruchu ukraińskiego dla celów partyjnych, jak to widać z wystąpień Milukowa w Dumie. „Kadeci" zrozumieli dobrze potencyalną siłę żywiołowo krzewiącego się ruchu ukraińskiego i pragną iść na rękę najbardziej umiarkowanym elementom ukraińskim. Oczywiście, praktycznego znaczenia ich „sympatye" mieć nie mogą, ale tamują nieco proces rosnącego rozbratu między liberalizmem rosyjskim a ruchem ukraińskim.

Proces ten bądź co bądź wzmaga się. Jeszcze 5—6 lat temu było zupełną niemożliwością zjawienie się takich prac publicystycznych, jak D. Doncowa („Współczesne moskalofilstwo", „Hermafrodytyzm ukraiński" itd."), propagujących separatyzm polityczny Ukrainy i piętnujący kulturalną rusyfikacyę jej inteligencyi. Rosnące represye ze strony rządu, podju-

dzanego przeciwko Ukraińcom przez nacyonalistów rosyjskich, nie mogą nie budzić niezadowolenia w sferach najbardziej umiarkowanych, czujących jednak narodowo. Przecież nawet z kół czarnosecińców - chłopów, posłów do IV-tej Dumy, wybranych na Ukrainie przy poparciu rządu, rozległy się protesty przeciwko prześladowaniom żywiołu ukraińskiego z powodu 100-lecia urodzin Szewczenki. Rząd stłumił w zarodku wszystkie obchody uroczyste tego jubileuszu, a w odpowiedzi na to odbyły się pierwsze jak dotąd demonstracye uliczne młodzieży i robotników ukraińskich w Kijowie. Wprawdzie nie zostało ustalone, jakoby demonstranci wznosili okrzyk: „Niech żyje Austrya!“, „Niech żyje niepodległa Ukraina!“, ale bądź co bądź fakt masowych demonstracyi, połączonych ze strejkiem manifestacyjnym w szeregu fabryk, jest oznaką pogłębienia się ruchu ukraińskiego.

Dalsze pogłębianie się tego ruchu musi postępować żywiołowo, ponieważ rząd rosyjski nie może pójść w kierunku ustępstw wobec elementarnych żądań kulturalnych Ukraińców, bo to by prowadziło, jak już to wyżej starałem się wykazać, do rozszczepienia „narodu rosyjskiego“ na dwa odrębne odłamy. Znowuż powrót do stanu z przed r. 1905-go nie na wiele by się przydał, wobec istnienia w Galicyi niezależnego od Rosyi warsztatu pracy dla całej Ukrainy. Dlatego też obecnie rząd, wraz z nacyonalistami rosyjskimi, nie zaniedbując nagonki na Ukraińców w Rosyi, skierował uwagę przedewszystkiem na wzmacnianie moskalofilstwa w Galicyi, starając się tą drogą przygotować sobie grunt dla aneksyi tego kraju, w celu zgaszenia w nim ognisk wolnego narodowego życia ukraińskiego i rozprawienia się gruntownego z ruchem ukraińskim.

Leon Wasilewski.



AMERYKA A RUCH NIEPODLEGŁOŚCIOWY.

Los naszego narodu podlega nie tylko w kraju, lecz i na emigracyi, nastrojom, przypływom i odpływom. Łatwa polska natura unosi się wrażeniem, fala wzbija się nagle wysoko w górę, poczem równie nagle opada i na dnie pozostają tylko męty.

Lud polski w kolonii amerykańskiej na pierwszą wieść o prawdopodobnej wojnie pomiędzy zaborcami skupił się i zjednoczył pod sztandarem niepodległości ojczyzny. Jako wyraz współdziałania wszystkich stronnictw i ugrupowań powstał Komitet Obrony Narodowej na zjeździe pittsburskim, 16. grudnia 1912. Ale już na wiosnę 1913, w czasie przesilenia w położeniu politycznem, Zjednoczenie rzymsko-katolickie wraz z paru organizacyami o charakterze zachowawczym opuściło wspólne szeregi. Uchwały Sejmu Polskiego Związku Narodowego wzmocniły jednak obóz niepodległości i przeciwstawiły zakusom ugodowców skuteczną inicyatywę organizacyjną. Odtąd aż do wiosny r. b. Ameryka stale i czynnie pomagała robotom organizacyjno-wojskowym, prowadzonym przez obóz niepodległości w kraju. Od listopada 1912 r. do

lutego 1914 włącznie, wpłaciła Ameryka Północna do kasy Skarbu Wojskowego 142 tysięcy koron; wprawdzie w tym samym czasie na organizacyjno-wojskowe prace, w samej Ameryce prowadzone, wydano conajmniej sumę 750 tysięcy, a więc przeszło pięciokrotnie większą; jednakże, wobec wdowich groszy, jakie społeczeństwo krajowe łoży dotychczas na wojskowość polską, pomoc amerykańska była poważnym spółczynnikiem odbudowania ojczyzny. Stanowiła ona wyżej dwu trzecich ogółu wpływów Skarbu Wojskowego, a około jednej czwartej ogólnego budżetu polskich organizacyi wojskowych. Nasze organizacye wojskowe żyją przedewszystkiem ze składek i wkładów własnych członków: jest to jedyne wojsko w Europie, w którem nie żołnierzom armia, ale żołnierze armii płacą. Fundusze skarbowe, w ich liczbie i amerykańskie, dotychczas wystarczają tylko na prowadzenie organizacyi i administracyi wojskowej; nawet naiwny chyba pojmie, iż zakupienie przez Skarb tylko 2000 karabinów z amunicyą wyczerpałyby cały półtoraroczny fundusz skarbowy. Wobec tego nasze organizacye wojskowe muszą iść za zdrową zasadą wedle stawu grobla, potrzeby lokalne uzbrojenia, ekwipowania etc. pozostawić lokalnym środkom, okręgowe — okręgom, a fundusze skarbowe przeznaczać na główne działy sztabu, administracyi oraz wydawnictw. Dziesięć tysięcy ludzi zorganizowanych i ćwiczących, ogromna praca wychowawcza i organizacyjna, w szczególności pośród włościan przeprowadzona, wreszcie, fachowe pismo wojskowe, regulaminy i instrukcye, szereg wydanych podręczników, — oto już dziś nazewnątrz, w samym tylko zaborze austryackim, głośno mówiący rezultat pracy polskiej wojskowej, w której Ameryka dużą część zasługi sobie przypisać może.

Nie dziwota, iż fakt ten, który coraz jaśniejszym i coraz bardziej przekonywującym dla opinii polskiej się stawał, fakt stwierdzający wybitne znaczenie i doskonałą pracę Komisyi Tymczasowej, musiał się stać solą w oku zorganizowanej ugody moskalofilskiej. Wysłańcy do Ameryki, listy i denuncyacye, wszystkie sposoby intryg, użyte przeciw pracy niepodległościowej. W końcu przyplątało się kilka zatargów osobistych i wewnętrzno-organizacyjnych amerykańskich, które sprawę jeszcze bardziej zwikłały; ale na rzeczach tych najzupełniej się nie rozumiemy i pozostawiamy je na boku. Jak dla K. S. S. N. rzeczą bez znaczenia jest taki lub inny konflikt, czy rozłam, w łonie którejś z partyi skonfederowanych, byle tylko wszyscy kłócący się czy rozłamujący, robotę wojskową i skarbową prowadzili dalej, tak samo obojętnem jest, czy z Ameryką stosunki pójść miały po jednej, czy po dwoch drogach, małoważnem, jak się będzie podobało Pol. Zw. Narodowemu ustalić swoje stosunki do Komitetu Obrony Narodowej i odwrotnie, byle nie zaniedbano i tu i tam myśli i pracy dla niepodległości.

W takiem położeniu spraw zdecydowała większość Zarządu Głównego Polskiego Zw. Narodowego wysłać do Europy dwóch delegatów, aby sprawdzili, kim jest i co czyni Komisya Skonf. Stronnictw. Wysłano niejakich panów Karabasza i Rakoczego, cenzora i wice-cenzora Pol. Zw. Nar., asygnując im 25 tys. koron na koszty ich podróży i upełnomocniając do wszelkich dochodzeń na miejscu. Tu, wyznajemy, dziwnem było nasze uczucie w chwili, gdyśmy do tych konferencyi wspólnych informowań przystąpić mieli. Cóż zobaczą w Polsce pp.

Na zakończenie konferencji stwierdzono, że jakkolwiek Delegaci Związku Narodowego Polskiego przyjechali do kraju uprzedzeni do Komisji S.S.N. [illegible] jednak wszechstronne i szczegółowe przedstawienie sprawy ze strony przedstawicieli Komisji S.S.N., Polskiego Skarbu Wojskowego i Wydziału Wojskowego rozproszyło uprzedzenia i nieporozumienia, wyjaśniło wątpliwości i pozwoliło ocenić należycie całokształt pracy, dokonanej przez powyższe organizacje. To przesądza, że stosunki wzajemne między Związkiem Narodowym Polskim a Komisją Skonfederowanych Str. Niep. będą na przyszłość normalne, harmonijne, jako oparte na wzajemnym zaufaniu.

Kraków, dnia 26 kwietnia 1914.

W imieniu Związku Narodowego Polskiego:

Adolf B. Rakoczy

PODOBIZNA KOŃCOWEGO USTĘPU PROTOKOŁU PODPISANEGO PRZEZ DELEGATÓW AMERYKAŃSKICH.

Karabasz i Rakoczy? co jest do zobaczenia na pozór w Polsce legalnej? Wszystkie wydęte pęcherze samolubstwa jednostek, wszystką paradującą zdradę płatną i niepłatną, wszystek śmieć gadzinowego dziennikarstwa, codzień wyborem pomyjów oblewający nasz biedny, niewolniczy kraj i lud; całą nikczemność współczesnego życia, współczesnego stanu naszego społeczeństwa widzi się naokoło; to tryumfuje, to znajduje poklask, to nazywa się „opinią publiczną narodu", to rozpycha się po krzesłach kurulnych, zajmuje poselskie synekury trzech państw zaborczych. Jakże jeszcze mało dotychczas znać i czuć nazewnątrz ten świat nowy, którzy chcą tworzyć, który tworzą budowniczowie Polski Niepodległej! W dwu zaborach przecież niepodobna jest nawet do nich dotrzeć bez specyalnych poleceń konspiracyjnych. W trzecim trzeba iść w pole ze strzelcami, odbyć daleki nasz marsz z miast na miejsca, gdzie dopiero ćwiczyć nam wolno, iść do wiosek polskich, gdzie, jak Galicya długa i szeroka, organizują się, ćwiczą, kształcą niebieskie szeregi; trzeba poznać pracę organizacyjną, wychowawczą, uczącą centrów roboty, wejść w charakter, wpływ i życie nielicznych ludzi, oddanych całkowicie pracy odrodzeńczej: żmudną jest, długą, wnikliwą praca poznawania polskiego ruchu niepodległościowego, nie dokona jej byle kto, potrzeba na to mieć umysł otwarty, charakter czysty i nieskalaną żadnym brudem politycznym miłość ojczyzny. Połączenie tych przymiotów jest bardzo rzadkie.

Przykro, że przymuszeni jesteśmy zająć się osobami pp. Karabasza i Rakoczego. Objęli wysokie funkcye publiczne, wzięli na siebie odpowiedzialność za ważne stosunki Ameryki z krajem; odpowiedzialność tę pojęli i wypełnili w sposób, wymagający sądu; niepodobna więc pominąć ich przymiotów osobistych.

Ludzie ci pozbawieni są prymitywnych pojęć w dziedzinie spraw politycznych w ogólności, spraw polskich w szczególe. Nie oryentowali się w niczem, tak, iż po pierwszej próbie przedstawiciele robót niepodległościowych musieli przyjąć protokołowanie wszystkich konferencyi, aby nie nastąpiły jakieś potworne przekręcenia. Protokół ten, stwierdzający zgodność zapatrywań K. S. S. N. i Pol. Zw. Narodowego, podpisali z największą gotowością, poczem uznali, że on ich w niczem nie obowiązuje: więc ludzie igrający swem słowem i podpisem, swoim honorem i uczciwością, jak innym towarem w handlu. Skromność urządzenia lokalu Komisyi wytknęli teraz w swem „sprawozdaniu" politycznem; „wytarte mundury strzelców" wydały im się grzechem przeciw militaryzmowi niewybaczalnym; opinie Sieroszewskiego, Daszyńskiego, Tetmajera, Feldmana sfałszowali; bezstronny głos czcigodnego księdza Bandurskiego starali się ukryć i przemycić potajemnie; potwierdzenie przez członka Wydziału Wojskowego rzekomego ich własnego przekonania, że Amerykanie będą w razie wojny stanowili zaledwie może trzecie powołanie, wyzyskali teraz, odwracając kota ogonem, głosząc, że Komisya lekceważy Amerykę, wychodźtwo i jego pomoc. Na wołowej skórze wszystkiego nie spisać. Komedye możnaby tworzyć na [illegible] bez końca temat. Po najautentyczniejsze wiadomości o ruchu nie[illegible] głościowym poszli do pp. Dmowskiego w Warszawie, Korytow[illegible] we Lwowie, którzy, kompetentni w tym przedmiocie, określi[illegible] do niepodległości jako... służenie rządom zaborczym! M[illegible]

spytać, dlaczego wogóle rozmawiano z tymi ludźmi? — Sądziliśmy, że zapisane i podpisane fakty jednak prawdę ponad wszystko wyświetlą, łudziliśmy się, że bussinessman-y jedno przynajmniej potrafią: — rachować; że zrobią szkontrum kasowe Komisyi, Skarbu, Wojska, — a kontrola każdemu uczciwemu człowiekowi, każdej instytucyi, jest potrzebną, i jedna tylko jest zasada tutaj dobra: im więcej, tem lepiej; że tem położą wreszcie koniec nadmiarowi potwarzy i podłości kłamliwej, chcącej za wszelką cenę wgryść się w obóz polityki niepodległości, zarazić go cuchnącem od legalnej polskiej polityki świństwem. Napróżno! niepodobna było przymusić te osobistości do żadnej realnej pracy, szkontrum nie dokonano, rachunków nie sprawdzono, majątku organizacyi wojskowych, ani ich pracy, nie widziano: poczem teraz, poprzez prasę amerykańską płyną potoki takiego już kłamstwa, że aż mdło się robi.

Smutnym faktem naszego życia narodowego, smutnem świadectwem wpływów ciemnoty i szalbierstwa pozostanie owa relacya amerykańska o polskiem dążeniu do niepodległości. Najsmutniejsze jednakże dano tutaj świadectwo o samej kolonii polskiej w Ameryce: czyż podobna, aby organizacya, licząca sto tysięcy członków, zdobyła się na taką delegacyę? czy możliwe, aby panowie w rodzaju Karabaszów byli czemś w zbiorowisku tak wielkiem Polaków? Czy takie są warunki, w jakich żyje polska Ameryka, że tego gatunku politycznych działaczy w sobie chowa? przecież to chyba gorzej jest jeszcze, niżli się dzieje w Polsce samej!

Kolonia amerykańska z mocy przysyłanych do kraju na robotę wojskową pieniędzy, postawiła szereg swoich warunków i żądań; sądzimy, że zdrowem jest, aby odbierający te fundusze kraj postawił również swoje żądania w stosunku do Ameryki, które poniżej formułujemy:

1. W Ameryce powinna nareszcie nastać świadomość, że stan Polski obecny jest niewolniczy, i że budująca się wolność narodowa jest objawem ludowym i podziemnym. Ameryka powinna nakoniec odróżnić polską irredentę od polskiej ugody, t. zn. wiedzieć, co jest białem, a co czarnem.

2. Ameryka winna wyznaczyć mężów zaufania swego w kraju, czy to kogo ze starych i poważnych emigrantów i byłych powstańców, czy też kogo z ludzi nieposzlakowanie prawego charakteru i niezaprzeczalnej miłości ojczyzny, którzyby przeprowadzali szkontrum kas, sprawdzanie dowodów kasowych, majątku i t. p., polskich organizacyi wojskowych. Przysyłanie delegatów do kraju, urzędników za wielkie pieniądze, jest niebywałem i niedozwolonem w obozie niepodległościowym u r z ę d n i c t w e m, lekkomyślnem trwonieniem narodowych pieniędzy.

3. Ludzie, którzy nadużyli zaufania i oszukali mandataryuszy, pp. Karabasz i Rakoczy, muszą być postawieni pod sąd obywatelski, a każdy, kto się z takimi ludźmi zsolidaryzuje przed sprawdzeniem ich [illegible]epków, jest dla nas człowiekiem podejrzanym o wspólnictwo [illegible]wdze, uknutej przez agentury rządów zaborczych przeciwko ru[illegible] [illegible]epodległościowemu.

Jasnem jest, iż w zamięszaniu, jakie spowodowali delegaci amerykańscy, coś zginie i coś się popsuje, że sprawa narodowa na tem stracić musi. W żądaniach powyższych chodzi nam więc nietyle o bezpośrednie rezultaty nowe dla naszego ruchu, ile o zasadnicze względy prawości i idei w polityce. Odpowiedzialność zaś za osłabienie tętna dążenia do niepodległości narodu, niechaj spadnie na głowy tych, co nasypali trucizny do puhara wspaniałego amerykańskiego daru.

Dr. Michał Sokolnicki.



PRZEGLĄD POLITYCZNY.

I. Z POLITYKI MIĘDZYNARODOWEJ.

(Zamordowanie Następcy tronu. — Widoki przyjaźni rosyjsko-angielskiej na tle stosunków tureckich i perskich. — Chiny).

Zamordowanie Następcy tronu. Tragedya sarajewska stanowi doskonałą, choć krwawą ilustracyę do stanu Austryi. Państwo to nie posiada ani narodu rządzącego, ani jednolitej klasy panującej, ani jakiejś indywidualnej woli centralnej, któraby wiedziała, do czego dąży w przyszłości, trochę bardziej odległej od najbliższych lat kilku. Ale życie byłoby niemożliwe, gdyby ludzie nie posiadali zdolności wynajdywania sobie pociechy (jeżeli nie w tamtym, to w tym świecie). Dlatego też większość tych obywateli austryackich, którzy szukają czegoś poza zwykłem zjadaniem chleba, wmówiło w siebie, że dzisiejszy rozgardyasz austryacki jest zjawiskiem przejściowem, i że ze wstąpieniem na tron człowieka względnie młodego i znanego ze swej energii stan ten ulegnie radykalnej zmianie. Ale jeżeli rozwój państwa zależy od jednego człowieka, to z góry powiedzieć można, że ten rozwój podcięty jest w korzeniu. I rzeczywiście. Przypadek dopuścił, że kula mordercy serbskiego nie poszła o centymetr w bok, — i giną widoki „odrodzenia" Austryi.

Gdyby prawdziwi niepodległościowcy polscy nie stanowili w Galicyi, jak dotąd, drobnej mniejszości, tonącej w morzu biernoty, gdyby przeciwnie, przeważająca większość polityków polskich była zdecydowana zdobyć ojczyźnie niepodległość i z tego powodu świadomie i energicznie pchała Austryę do wojny z Rosyą, wojny o sprawę polską (i rusińską, jako najlepszy sposób rozbioru Rosyi), gdyby moskalofile zredukowani byli do garstki agentów caryzmu, powszechnie pogardzanych i prześladowanych, — wtedy zamordowanie Następcy tronu zrodziłoby w nas tylko oburzenie przeciwko sprawcom zbrodni, ale nie potrzebowałoby bynajmniej wywoływać depresyi i pesymizmu. Widzielibyśmy, że będziemy robili swoje w takich rozmiarach, iż skutek będzie musiał być dla nas pomyślny. I trzeba mieć nadzieję, iż wkrótce, dzięki naszej wytrwałej pracy, zaczniemy patrzeć w przyszłość z większą niż dotąd pewnością siebie.

Tymczasem jednak nie wszędzie tak jest, a już najmniej w Wiedniu. Tameczne szmoki dziennikarskie, dla których jedyną wykładną polityczną jest kurs papierów na giełdzie, dostały nagle ataku „wspaniałomyślności". Przed rokiem 1908 żadne kpiny, żadne wymyślanie nie wydawało się dziennikarzom wiedeńskim zbyt nieprzyzwoitem i gminnem, gdy szło o Serbów. Dziś Serbia grozi całości monarchii, przyczem jutro może stanie się nawet niebezpieczną dla jej istnienia, i równolegle z tem zmienił się stosunek organów giełdy do tego wroga.

Gdyż jest to wróg. Wystrzały sarajewskie są niedwuznacznem wyzwaniem Austryi do walki. Ich pierwszym wynikiem była co prawda reakcya Kroatów i mahometan, którzy, mówiąc tym samym językiem, nie identyfikują się jednak z Serbami. Wyglądałoby to na cofnięcie się wpływu serbskiego w monarchii austro-węgier-

skiej. Ale iluż to Serbów, tęsknie spoglądających w stronę niezależnego kawałka swej ojczyzny, przywita zamach, jako zapowiedź akcyi, mającej na celu zjednoczenie rozdartych części ongiś potężnej monarchii!

Kto zamach zorganizował, tego zapewne śledztwo nie wykryje. Tak niespodziane złożenie tuż przed zamachem przez króla serbskiego władzy w ręce swego syna, też może stanowić tylko poszlakę (bardzo prawdopodobną ze względu na wprawę, jaką król Piotr ma w organizowaniu morderstw), ale to jest obojętne. Jeżeli nawet zamach nie został zorganizowany przez rząd serbski, to rząd ten zeń skorzysta. Kwestya napaści Serbów na Austryę jest tylko sprawą czasu i okoliczności i żadna „wspaniałomyślność Neue Freie Presse" nie opóźni tego napadu ani o jeden dzień!

„Za lokaja bij pana" — to przysłowie streszcza wnioski, które należałoby wysnuć ze straty, poniesionej przez monarchię habsburską, a dodać by trzeba, że „wtedy koniec wojny tuszę, gdy nieprzyjaciel bez dusze". Jeżeli mogły być jeszcze jakie wątpliwości co do potrzeby dla monarchii w o j n y z R o s y ą, to chyba znikły one obecnie, gdyż rozpoczęła się już walka, a będzie ona i nadal prowadzoną przez Rosyę z całą dzikością, do jakiej to państwo jest zdolne. Ćwiartowanie nożami wysokich dostojników kościelnych w perskiem mieście Tebryz z tą samą zimną krwią było praktykowane przez Rosyan, jako konieczność państwowa, z jaką postarali się oni o obcięcie rąk i pokrajanie twarzy Stambułowa.

Czy „sfery rządzące" to zrozumieją, a raczej czy będą one miały odwagę przygotować do faktów politykę Austryi? — To trudno przewidzieć. Dla nas powinno to być jeszcze jednym bodźcem dla energicznego działania.

Dr. W. J.

Widoki przyjaźni rosyjsko-angielskiej na tle stosunków tureckich i perskich. Wskazywaliśmy już na to, że dojście do skutku ekonomicznego podziału Małej Azyi między mocarstwa europejskie jest objawem chęci tych mocarstw utrzymania przez pewien czas (może kilka lat, może dłużej lub krócej) pokoju. Obecnie mamy nowe i ciekawe stwierdzenie tej naszej tezy. W południowo-wschodniej Persyi, w t. zw. sferze wpływów angielskich i w środkowej, neutralnej, znajdują się wielkie kopalnie nafty. Koncesyę na eksploatowanie tych terenów otrzymało towarzystwo angielskie — „Anglo Persian Oil Company". Otóż teraz rząd angielski, chcąc zapewnić sobie ropę dla opalania swych statków wojennych, zakupił nagle — ze zwykłą sprężystością Anglików — za 50 milionów franków akcyi tego towarzystwa i przeznaczył jeszcze 5 milionów franków na nabycie nowych terenów. Uchwała ta została przez parlament zatwierdzona z jednomyślnością, która charakteryzuje występy na zewnątrz tego narodu (254 głosów z a, 18 p r z e c i w). W ten sposób Anglia uzyskuje w n e u t r a l n e j części Persyi olbrzymie pole działania i wpływu.

Szowinistyczne gazety rosyjskie podniosły już z tego powodu krzyk, nie zważając na sojusz z Anglią, a niektórym naszym politykom, którzy sądzą„ że świat powinien stosować się do ich chęci, — zaraz przywidziało się, że Anglia i Rosya z tego powodu z sobą zerwą, trójporozumienie zniknie i my nareszcie wybrniemy z przykrego położenia, w jakiem się znajdujemy, mając dwa najbardziej postępowe i demokratyczne państwa — Anglię i Francyę — w obozie przeciwnym. Ostrzec musimy przed podobnemi złudzeniami. Sir Grey jest fanatykiem przymierza z Rosyą, poświęcił już dla niego dużo i niczem w ostatnich czasach nie zdradził chęci zmiany swego stanowiska. Jeżeli więc dokonywa on czegoś podobnego, to napewno nie idzie na oślep, ale ma zapewnioną zgodę Rosyi. I właśnie fakt, iż Anglia sadowi się w „neutralnej" części Persyi, jest dowodem, że porozumienie z Rosyą raczej rozszerzone zostało, a przeto wzmocnione, niż, że ono słabnie, lub nawet zanika.

Z tem wiąże się druga sprawa. Przy uregulowaniu granicy persko-tureckiej, które zostało dokonane w grudniu roku 1913, z udziałem Rosyi i Anglii, dostała się Turcyi miejscowość S z i a S u r k, zawierająca część kopalni nafty, które teraz są pod kontrolą rządu angielskiego. Gdy to w Anglii zauważono, posypały się zapytania do rządu (w prasie i w parlamencie), czy koncesye, udzielone przez rząd perski, uznane zostaną przez Turków i czy Anglia może ryzykować uzależnienie od państwa tureckiego dowozu paliwa dla swej floty?

W odpowiedziach na te pytania przed-

stawiciele rządu angielskiego zwracali uwagę, iż tylko część floty angielskiej używa ropy, jako opału, że ropa iść będzie przeważnie z Persyi, nie z Turcyi, i że z tego powodu problemat traci na znaczeniu. Nie zaprzeczyli jednak, że zamierzają używać ropy tureckiej dla opału i wskazywali, że nawet w razie, gdyby morze Śródziemne zostało dla statków angielskich zamknięte, to zawsze jeszcze mieć one będą drogę do Mezopotamii naokoło Afryki, drogę, której nikt nie potrafi Anglii odebrać, chybaby zniszczył zupełnie flotę angielską. Aż wreszcie z przemówienia ministra p. C. Grey'a (w parlamencie dnia 29. czerwca) dowiedzieliśmy się, że z Turcyą i Niemcami nastąpiło ostateczne porozumienie, że kolej Bagdadzka kończyć się będzie w mieście B a s r a, daleko od brzegu zatoki Perskiej i, co najważniejsze, że stosunki nad zatoką Perską nie uległy żadnej zmianie, co znaczy, że Turcya uznała pretensye Anglii do protektoratu nad państwem K o w e i t, co przez pewien czas było zakwestyonowane. P. Grey dodał, że Anglia z tego powodu godzi się na podwyższenie ceł tureckich z 11% na 15% wartości towaru.

Jakie z tego wnioski? Oto, że Turcya dostaje się znów zupełnie pod wpływ Anglii, która w rzeczywistości jest jej najgorszym wrogiem, gdyż boi się jej wpływu na mahometan Turcyi i Egiptu i nie może dlatego dopuścić do jej rozwoju. Wskazuje na to i umowa co do zatoki Perskiej i powierzanie Turcyi przez Anglię dozoru nad szybami nafty, która może być podczas wojny niezmiernie cenną dla floty angielskiej.

Jednem słowem, Turcya, która z natury rzeczy powinna była zbliżyć się do Trójprzymierza, zastąpić mu utratę Rumunii i w ten sposób przygotowywać się nietylko do obrony od Rosyi, ale jeszcze do atakowania Kaukazu i licznych innych mahometańskich posiadłości państwa carów, Turcya jest obecnie wciągnięta do sfery wpływów Trójporozumienia, które, gdy czas nadejdzie, zgotuje jej los Persyi. Jest to nowa porażka dla dyplomacyi austryackiej, która i w tym wypadku okazała zupełny brak oryentacyi i przezorności.

Dr. W. J.

Chiny. Powolne rozszarpywanie bezwładnego kolosu chińskiego odbywa się w dalszym ciągu .Zeszłego roku Rosya narzuciła Chinom umowę, mocą której Mongolia podzielona została na dwie części, z których jedna (t. zw. „Zewnętrzna") poddana jest w zupełności wpływowi rosyjskiemu. Teraz taka sama umowa nastąpiła co do Tybetu — i zachodnia część tego kraju dostała się pod protektorat angielski.

Podobne traktaty, jakkolwiek kurczą ojczyznę chińską, mogłyby jednak mieć pewną dobrą stronę, o ile by zapewniły „państwu środka" choć kilka lat spokoju, możność uporządkowania administracyi i stworzenia armii. Niestety, przeszkodę stanowi pod tym względem rozpaczliwy stan finansów Chin. Wiedząc o tem, mocarstwa Trójporozumienia, które najwięcej mają widoków na rozszarpanie Chin, sprzeciwiają się systematycznie zawarciu przez Chiny większej pożyczki, na korzystnych warunkach. Nie dość tego, domagają się one gwałtownie wypłaty odszkodowania za straty, poniesione przez ich poddanych podczas ostatniej zwycięzkiej rewolucyi. Przytem rząd francuski nie zadowalnia się żądaniem zwykłego odszkodowania za spalone gmachy, fabryki i t. p., ale zebrał dane, jakie mogłyby być e w e n t u a l n e z y s k i Francuzów przez czas rewolucyi, zyski, które oni utracili wskutek zastoju w interesach, upadku handlu i t. p. i żąda odpowiedniego odszkodowania, wynoszącego miliony; Chiny nie mogą ich zapłacić, a Francya domaga ich się i nie pozwala swym kapitalistom udzielić pożyczki Chinom, zanim powyższa pretensya nie zostanie pokryta.

Inne jeszcze środki używane są dla dopięcia tego samego celu. Chcąc pokryć deficyt, który wynosi rocznie około 20 milionów funtów (480 mil. koron), prezydent Juan Szi Kai pragnie podwyższyć cło na towary obce o 11 mil. funtów, licząc, że reszta deficytu pokrytą zostanie przez dochody z podatków wewnętrznych. Na tę rewizyę ceł Francya i Rosya nie chcą się zgodzić, aby nie utracić możności ciągłego mieszania się do spraw wewnętrznych Chin.

Przy tej sposobności warto zwrócić na jedną rzecz uwagę. Prezydent Juan Szi Kai rozpędził parlament chiński, zniósł wybieralne rady prowincyonalne i miejskie i zastąpił je urzędnikami mianowanymi, wreszcie zmienił konstytucyę Chin, nadając sobie władzę, jakiej nie ma wielu panujących europejskich. Jednem słowem,

przywrócił on w znacznym stopniu stan, jaki panował przed rewolucyą.

Za te absolutystyczne postępki prasa europejska chłoszcze Juan Szi Kaja sarkazmem, obsypuje go wyrzutami, nazywa tyranem i t. p. Zarzuty te są, jak widzimy, w znacznym stopniu usprawiedliwione i słuszną jest rzeczą, by czytelnicy pism europejskich (między innemi i polskich), żywili do p. Juan Szi Kaja pogardę i nienawiść. Ale nie należy przytem zapominać, że stan Chin nie jest ostatecznie tak zły, jak mówią. Szkoda wielka, że nie mają one konstytucyi, ale władza nie jest tam już wykonywana przez garść zdeprawowanych, barbarzyńskich Mandżurów, ale przez samych Chińczyków, co w każdym razie nie jest tem samem. Ale, co może ważniejsze, to to, że zarzuty przeciw dzisiejszemu władcy Chin są rozpowszechniane przedewszystkiem przez największych wrogów Chin, kapitalistów i agentów angielskich, francuskich i rosyjskich, którzy mają zupełnie praktyczny cel na oku: podkopanie kredytu Chin i przygotowanie ich przyszłego podboju. I wiele radykalnych pism europejskich, z lubością powtarzających podawane im przez agencye wieści o niesłychanych zbrodniach Juan Szi Kaja, — nie wie, że mimowoli pomagają one imperyalistycznej polityce rządów, które skądinąd zwalczane są przez te same pisma i kierujące niemi partye!

Dr. W. J.

II. Z POLITYKI KRAJOWEJ.

(Rusyfikacya wewnętrzna. — Ciężkie życie w Poznańskiem. — Przed wyborami sejmowymi w Galicyi).

Najważniejsze zdarzenia z życia politycznego Królestwa omawiamy w niniejszym numerze w osobnych artykułach i korespondencyach. W szczególności sprawa samorządu miejskiego jest tam wyczerpująco przedstawiona. Tutaj podajemy dodatkowo świeżo nam nadesłane niektóre uwagi natury ogólnej p. Margiera, który pisze między innemi, co następuje:

„Bacznego obserwatora, który przez czas dłuższy nie oglądał Warszawy, uderzać musi widoczna zmiana w wyrazie zewnętrznym stolicy Polski — w porównaniu do czasów przedrewolucyjnych. Zmiana wyraźnie na gorsze. Przez ostatni lat dziesiątek rusyfikacya poczyniła znaczne postępy, a, co najważniejsze, przybrała charakter o wiele niebezpieczniejszy. Dawniej miała wyłącznie cechy przymusu, gwałtu; znać było powierzchowną jej naleciałość; dziś staje się procesem organicznym, ogarniającym głąb życia.

Przybrawszy łagodniejsze formy, zwolna i niepostrzeżenie przesiąka w społeczeństwo, które wprawdzie na ogół trzyma się jeszcze odpornie, bardziej wszakże instynktami, niż świadomie. Język rosyjski obija się o uszy na każdym kroku: w tramwaju, cukierni, sklepach. Obce dźwięki nie rozlegają się już dyskretnie, jak do niedawna. Przeciwnie — przybysze czują się, jak u siebie w domu, nie krępują się bynajmniej, zachowują się butnie i hałaśliwie, nieraz wprost wyzywająco. Litwactwo trzyma prym pod tym względem, lecz i Rosyanie rodowici, zwłaszcza młodzież studencka, rozpierają się z całą pewnością siebie...

Dawniej n. p. służba w restauracyach, subjekci sklepowi, dorożkarze i t. p. porozumiewali się z klientelą rosyjską w łamanym języku urzędowym, czynili to z wyraźną niechęcią i pod przymusem. Dziś, wobec słabego poczucia konieczności walki z najazdem, mniej uświadomione warstwy przystosowują się do warunków niewoli i poczynają uważać za naturalne zjawisko — współżycie z żywiołem rosyjskim. Nastrój ogółu względem żywiołu moskiewskiego, pod wpływem lektury „Dwugroszówki" i tej podobnych piśmideł, wskutek wzmocnionego kontaktu z rosyjskiem życiem społecznem i państwowem, utracać poczyna swą bezwzględność, jaka go dawniej cechowała. Tony pojednawcze nie budzą już tej odrazy, jak za czasów Hurki i Apuchtina. Do psychiki mas przenika ideologia ugodowa o grubym podkładzie materyalistycznym.

Propaganda endecka szerzy w umysłach półinteligencyi szalone spustoszenie. Większość prasy legalnej popiera czynnie lub biernie oryentacyę rosyjską, mając na swych usługach zdolnych publicystów. Nowaczyński, Niemojewski, Ignacy Grabowski, że wymienię najbardziej głośnych, z niepojętą furyą zwalczają irredentę polską, prześcigając w swym kulcie państwowości rosyjskiej ugodowców starej daty. Przeciwdziałać tej szkodliwej i haniebnej robocie jest niezmiernie trudno. Jawnie, oczywiście, walczyć nie

sposób. Prasa nielegalna zaś szczupła jest i małe ma rozpowszechnienie..."

Z Poznańskiego dochodzą również wieści niewesołe. Ugodowość i tutaj święci tryumfy, liczba sprzedawczyków przerażająca. — Niezależna myśl polska z niemałym trudem toruje sobie drobne zaledwie ścieżyny. Siła ucisku niemieckiego niezmieniona. Niektórzy publicyści niemieccy, jak świeżo Cleinow, zaczynają Niemcom przypominać potrzebę zmiany stosunków, wobec grożących komplikacyi międzynarodowych, ale rząd pruski, jak do tej pory, nie przestaje być organem wykonawczym Ostmarkvereinu. Tak więc trwa zło podwójne: we wnętrzu społeczeństwa polskiego i od zewnątrz ze strony nacyonalizmu niemieckiego.

Galicya wkracza w okres przedwyborczy. Nikt do tej pory nie jest w stanie przedstawić sobie ustosunkowania sił, jakie najbliższe wybory sejmowe przyniosą. Elementy, dotychczas panujące, organizują aparat przedwyborczy z niezmierną zabiegliwością.

Z jednej strony żywioły wsteczno-narodowo-demokratyczne usiłują wskrzesić z popiołów t. zw. Radę Narodową, która — mimo pięknej nazwy — była tylko towarzystwem asekuracyi mandatów poselskich. Usiłowania te spotykają większy lub mniejszy opór ze strony ugrupowań mieszczańskich, ludowych i robotniczych. Rokowania nie przyniosły do tej pory rezultatu. Termin następnej narady wyznaczono na 19-go sierpnia. Jest pewna, że uplanowane przedsiębiorstwo Rady Narodowej nie dojdzie do skutku w swym dotychczasowym projekcie, który wprowadza czynniki pozapolityczne i oddaje pierwsze skrzypce narodowym demokratom. Zachodzi jednak obawa, że może wyłonić się jakiś projekt kompromisowy Nie podlega wszakże wątpliwości, że, gdyby nawet Rada Narodowa jako pozorne zgrupowanie stronnictw nie doszła do skutku, czynniki wsteczno-narodowo-demokratyczne utworzą wtedy kadłubową Radę Narodową i będą demoralizować akcyę wyborczą pod płaszczykiem obrony „interesów narodowych" przeciw „nienarodowym" stronnictwom postępowo - mieszczańskim, ludowym i robotniczym.

Duchowieństwo łacińskie, idące ręka w rękę z żywiołami konserwatywnymi, gotuje się do walki wyborczej z niesłychanym rozmachem. Nici roboty trzymają w dłoni jezuici chyrowscy i dwaj biskupi: przemyski i tarnowski. Z okazyi jubileuszu biskupa przemyskiego odbył się w tem mieście zjazd wszystkich galicyjskich biskupów łacińskich, a byli także obecni: namiestnik i marszałek krajowy. Pod skrzydłami jezuitów w Chyrowie odbywa się synod duchowieństwa łacińskiego. Są to prognostyki bardzo osobliwe.

Z drugiej strony przygotowują się do wyborów stronnictwa szczerze demokratyczne, postępowe, ludowe i robotnicze. Nie doszły one jeszcze do wzajemnego z sobą porozumienia i nie jest rzeczą pewną, czy porozumienie takie nastąpi. Na przeszkodzie bowiem stoją różne tarcia wewnętrzne, a przedewszystkiem rozbicie w stronnictwie ludowem, podtrzymywane z całą siłą przez obozy konserwatywne.

Rozterka na wsi polskiej gotowa się pomścić w sposób najprzykrzejszy. Już dziś przewidzieć można, że walka na wsi będzie bardzo zażartą (oby bez rozlewu krwi!). Rezultat wyborów może być wskutek tego dla wsi polskiej niepożądany, gdyż zachodzi obawa, że stronnictwa, chłopu wrogie, korzystając z zamieszania i posługując się aparatem pieniędzy i demagogii, wyłowią dla siebie mandaty wiejskie, przez co nie tylko Polskie Stronnictwo ludowe, jako takie, doznałoby gwałtownego uszczerbku, ale oraz usiłowanie zdemokratyzowania przyszłego sejmu i jego pracy i inicyatywy byłoby poważnie i stanowczo zagrożonem. Zbyteczna dodawać, że tego rodzaju obrót wypadków byłby niezmiernie szkodliwy dla rozwoju ekonomicznego i kulturalnego dzielnicy galicyjskiej. Wolno wypowiedzieć nadzieję, że wspólne niebezpieczeństwo zdoła bodaj w ostatniej chwili pogodzić zwaśnionych, że w konsekwencyi zdrowy rozum obywatelski i myśl publiczna i demokratyczna odnioąs zwycięstwo. Ale nadzieja bywa zwodniczą, tem więcej, gdy czuwa pilnie przemyślny i wpływowy nieprzyjaciel, a wspólnie atakowani nie umieją zapomnieć uraz osobistych i dają ucho piekielnie nanizanej intrydze.

SILVA RERUM.

Z ŻYCIA MŁODZIEŻY.

Młodzież postępowo-niepodległościowa.*)

Na terenie akademickim, w okresie walki z narodową demokracyą, wszystkie żywioły postępowe łączyły się we wspólne stowarzyszenia ideowe do walki ze wspólnym wrogiem. Po powstaniu t. zw. Frondy N. D., a więc po znacznem osłabieniu wroga, ten typ stowarzyszeń jeszcze kilka lat utrzymał się, kłoniąc się coraz bardziej do upadku. W życiu wewnętrznem stowarzyszeń daje się odczuwać martwota i pustka ideowa, szczególnie w tych środowiskach, gdzie walka była najzaciętszą, jak we Lwowie.

Powstanie Filarecyi i jej zjazdy były próbą tworzenia nowych horyzontów, nowych wytycznych. Na pierwszym zjeździe rzucono ogólne hasło, jako przewodnią myśl w pracy twórczej: „Wolny człowiek w wolnej Polsce". Tak ogólne ujęcie wytycznej w zupełności odpowiadało ideologii tak młodzieży socyalistyczno-, jak i postępowo-niepodległościowej, łącząc oba odłamy do wspólnej pracy. Była to jednak piękna chwila, chwila złudzeń i zapału. Następne zjazdy Filarecyi ujmują program pracy konkretnej, opierając się na socyalistycznej ideologii. Młodzież socyalistyczno-niepodległościowa, zorganizowana w ściślejsze grupy (w łonie stowarzyszeń ideowych), mając bardziej zwartą ideologię, mając za sobą pracę socyalistycznych partyi, miała daleko mniejszą linię oporu w tworzeniu konkretnego programu pracy społecznej,niż młodzież postępowo-niepodległościowa. Oto na zjazdach Filarecyi na całej linii rozbrzmiewa hasło „ideowej krystalizacyi", która ma być jednoznaczną z upartyjnieniem stowarzyszonych.

Młodzież postępowo - niepodległościowa lwowska przez usta jednego ze swych delegatów na III. zjeździe przeciwstawiła się tak pojętej krystalizacyi, nazywając ją zamknięciem się w „ideowe kopyto".

W całej pracy zjazdów Filarecyi młodzież postępowa, nie mając ściślejszych organizacyi oraz jednolitego programu, nie mogła silniej przeciwstawić się tendencyi socyalizacyi i ogranicza się jedynie do podkreślenia ważności pracy samokształceniowej i postawienia wniosków w sprawie kooperacyi i seminaryów ludowych. W następnych zjazdach młodzież postępowa nie bierze udziału, usuwając się stopniowo ze wspólnych stowarzyszeń ideowych. W stowarzyszeniach, należących do Unii Filarecyi, cała działalność przeważnie ogranicza się do reprezentacyi (w większych środowiskach młodzieży polskiej), i tylko w małym stopniu prowadzi się pracę samokształceniową. W życiu codziennem stowarzyszeń niejednolitość ideowa coraz bardziej zaczyna ciążyć, ponieważ młodzież postępowa, stopniowo, coraz krytyczniej zapatruje się na politykę akademicką, widząc jałowość pracy reprezentacyjnej. Są oraz głębsze przyczyny natury ideologicznej, zmuszające młodzież postępowo-niepodległościową do tworzenia własnych placówek. Już w walce o niepodległość młodzież postępowa nie uznaje klasowego stanowiska, a uważa, że trzeba zorganizować do niej wszystkich Polaków, bez względu na klasę, stan lub zawód, wszystkich, którzy miłują Ojczyznę i gotowi są walczyć o Jej wyzwolenie. Młodzież postępowo-niepodległościowa uniezależnia zdobycie niepodległej Polski od formy państwowej i od porachunków społecznych poszczególnych ugrupowań, uważając, że przedtem, nim Polska będzie miała tę lub inną formę rządów, musi być wolną i dlatego wyraźnie rozgranicza walkę z najeźdźcą od walk wewnątrz narodu o hegemonię polityczną i gospodarczą warstw społecznych. Do walki z najeźdźcami należy wszystkie siły w narodzie zmobilizować we wspólnej armii, niezależnej od walk partyjnych, dlatego też najenergiczniej wypowiada się za natychmiastowem połączeniem wszystkich militarnych organizacyi. Potrzebne w walce bezwzględne wzajemne zaufanie zdobywa się najlepiej we wspólnej szkole. Jest to fakt ogromnej doniosłości. Niemniej ważną rzeczą jest stworzenie przy organizacyach militarnych kursu dla emisaryuszy wojennych, którzy w okresie przygotowawczym potrafiliby tworzyć psychiczno-materyalne podłoże dla powstania. Dobrzeby było, gdyby każdy podoficer przeszedł taki kurs. Akt walki zbrojnej jest bilansem sił mili-

*) Dajemy głos młodzieży postępowo-niepodległościowej. W przyszłości będziemy dawali głosy innych także odłamów młodzieży niepodległościowej. *P. R.*

tarnych, skarbowych i moralnych, nagromadzonych w narodzie, będących w rozporządzeniu rządu narodowego. Pracę nad gromadzeniem sił polskiego narodu trzeba wykonać, do pracy takiej przygotować się trzeba. Oto w zarysie zapatrywania młodzieży postępowej na sprawę walki o niepodległość.

Młodzież postępowa uważa, że zwalczyć ustroju gospodarczego nie można drogą walki zbrojnej, lub strajku powszechnego, ponieważ ustroju nowego nie można zorganizować na poczekaniu. (Komuna Paryska). Można tą drogą zwalczyć formę rządów, panowanie jednej klasy w państwie na korzyść drugiej, ale państwo, forma własności, organizacya spożycia i wytwórstwa zostaną nietknięte. Szkodliwą jest rzeczą skupiać uwagę ludu wyłącznie na polityce tyce parlamentarnej, przez co stawia się ją w ciągłem oczekiwaniu czegoś z góry od państwa (głodna, rozpolitykowana do ostatecznych granic Galicya).

Parlament bowiem może i powinien ochraniać budowle społeczne, ułatwiać pracę tworzenia nowych form gospodarczych, lecz przebudować obecny porządek rzeczy może jedynie sam lud.

Uznając, że przemiana istniejącego obecnie, niesprawiedliwego porządku rzeczy w dziedzinie gospodarczej, w formy doskonalsze, zapewniające jednostce jak największą możność przejawienia inicyatywy twórczej, zabezpieczające ją od wyzysku, może odbyć się jedynie drogą twórczej pracy społecznej ludu, drogą ciągłego tworzenia form coraz doskonalszych, młodzież postępowa w swych organizacyach przygotowuje się do nauczania ludu zasad budownictwa społecznego. Młodzież postępowa chce więc sprowadzić społeczeństwo polskie z drogi utopii i metafizyki społecznej na drogę wiedzy eksperymentalnej, którą zdobyły już społeczeństwa Europy zachodniej w dziedzinie budownictwa społecznego (kooperatywy: spożywcze, rolne, kredytowe, wytwórcze, handlowe). Drogą kooperatyw spożywczych w miastach zorganizuje się spożywców w celu obrony przed wyzyskiem pośrednictwa, prawdziwej plagi obecnego ustroju, a w miarę rozwoju tych kooperatyw należy organizować wytwórstwo produktów spożycia w ich łonie, w celu usunięcia wyzysku fabrykanta. Kooperatywy wytwórcze śród robotników miejskich przyniosą robotnikom fabrycznym częściowe wyzwolenie, a rzemieślnikowi umożliwią ostanie się w walce z maszynowem wytwórstwem. Jedynie kooperatywy rolne dają włościaninowi możność intensywnej produkcyi. Drogą kooperatyw rolnych trzeba zorganizować włościan — drobnych wytwórców rolnych — w celu postawienia ich na poziomie nowoczesnej wiedzy rolniczej i nowoczesnego wytwórstwa w rolnictwie. Należy zorganizować włościan w kooperatywy handlowe, kredytowe i spożywcze, celem zwalczania wyzysku pośrednictwa, celem nawiązania bezpośredniego stosunku między wytwórcą wiejskim i spożywcą miejskim, między wytwórcą miejskim i spożywcą wiejskim.

Przez gruntowne kształcenie się w tak rozumianem budownictwie społecznem młodzież postępowo - niepodległościowa chce dostarczyć Polsce pracowników, którzy nauczą lud samodzielnie i świadomie budować lepszą przyszłość własnemi siłami, tworząc w ten sposób niezniszczalną potęgę.

Lud wierzący we własne siły, wyzbyty przesądów, świadomy twórca lepszych form gospodarczych, zorganizowany ekonomicznie i militarnie, kochający swoją Ojczyznę nad życie, oto obraz Polski odrodzonej — atrakcya pracy.

Idea tak pojętego odrodzenia Polski przyświeca młodzieży postępowo-niepodległościowej. Nie tworzy się więc nowej partyi politycznej, (w powszechnem rozumieniu tego słowa), posługującej się hasłami demagogicznemi, a uprawiającej często najzwyklejsze pasożytnictwo społeczne i polityczne.

Młodzież postępowo - niepodległościowa łączy się w organizacye dla wspólnej pracy nad sobą, w celu przygotowania się do pracy odrodzeniowej. Według statutu tych organizacyi każdy członek musi otrzymać przynajmniej elementarne wykształcenie militarne, przez należenie do organizacyi strzeleckich, oraz musi uzyskać gruntowną znajomość zasad budownictwa społecznego (w myśl haseł postępu), przez należenie do kółek samokształceniowych o specyalnym typie, które tworzy się w łonie organizacyi. Wykształcenie musi być gruntowne, ponieważ budowniczemu społecznemu popełniać błędów nie wolno. Budowle źle zaprojektowane i ufundowane grożą katastrofą i przynoszą więcej szkody niż pożytku. Tworzenie podłoża psychomateryalistycznego dla budowli społecznych wymaga

mniejszego przygotowania i dlatego w kołach samokształceniowych odróżnia się budowanie od pracy przygotowawczej.

Elementarne, ale dokładne wykształcenie każdy musi otrzymać w obu kierunkach; oba muszą być siłą konieczności połączone w każdym z nas, ponieważ nietylko mamy być obywatelami Polski, lecz i Jej żołnierzami!

Ideałem postępowca jest nie ten, co wyznaje tę lub inną doktrynę, lecz ten, co życie przekuwać potrafi po myśli swych pragnień i ukochań, ten, co ma wiedzę gruntowną, a charakter ze stali, ten, co z ludem pracować potrafi, a w chwili porachunku z wrogiem Ojczyzny zbrojny stanie w szeregach walczących.

Daleko od tych ideałów odbiega charakter dotychczasowych stowarzyszeń ideowych, dlatego młodzież postępowo-niepodległościowa musi stworzyć organizacye odrębne.

Lwów. B. L.

Z NASZEGO RUCHU WOJSKOWEGO.

I. Ćwiczenia okręgowe „Związków".

Związki strzeleckie weszły teraz w okres wakacyjny, który, zwłaszcza dla organizacyi stołecznych Krakowa i Lwowa, jest chwilową przerwą w intenzywnej pracy. Nie tyczy się to co prawda bardzo licznych obecnie oddziałów prowincyonalnych, które w masie swojej opierają się nie na młodzieży akademickiej i inteligencyi, ale na elemencie chłopskim i robotniczym; zawsze jednak całość organizacyi odczuwa okres wakacyjny, jako zamknięcie roku. Zamknięcie to poprzedziły ćwiczenia zbiorowe we wszystkich trzech okręgach galicyjskich. Po całorocznej pracy oddziałów lokalnych, na którą składały się wykłady, seminarya, repetycye, zadania, egzaminy, ćwiczenia formalne i taktyczne w sekcyach, plutonach, kompaniach — rzadziej w batalionach, do których już łączyć trzeba było kilka oddziałów lokalnych — ćwiczenia okręgowe były jakby podsumowaniem wiadomości w ciągu roku zdobytych.

Najliczniejszy Okręg krakowski odbył takich ćwiczeń dwa, wciągając za każdym razem do nich inne obwody i organizacye lokalne. W pierwszych brało udział pięć kompanii bojowych, które stosownie do zadań łączone były w większe grupy, — w drugich operowano batalionem. Na ćwiczenia Okręgu lwowskiego wyruszył batalion bojowy, podobnież jak w Okręgu rzeszowskim.

Ze względu na koszta, połączone z jazdą, nie objęto jednak w ten sposób nawet w przybliżonej mierze całości organizacyi galicyjskiej; odziały z miejscowości odleglejszych przysyłały tylko ochotników, lub nawet zgoła w ćwiczeniach udziału brać nie mogły.

Wciągano natomiast materyał surowy, nie obrobiony w ciągu rocznej pracy. Ze względu na charakter celów naszej pracy wojskowej jest to okoliczność wagi pierwszorzędnej. Były to tak zwane rezerwy, złożone z ludzi, nie biorących czynnego udziału w pracy szkolnej Związku. Niedaleko od nich pod względem wyrobienia wojskowego odbiegały liczne oddziałki z drobniejszych miejscowości, które w ciągu roku zamknięte w ramach swego plutoniku nie współdziałały nigdy w akcyi większych oddziałów.

Program ćwiczeń dostosowano do wymogów organizacyi. Ani przez chwilę nie czuł żaden żołnierz, że bierze udział w jakiejś paradzie czy popisie; cały czas pracował i uczył się. Nigdzie także nie było widać niewolniczego naśladowania armii regularnej. Program ściśle dostosowany był do wymogów organizacyi polskiej, do warunków, w jakich ona pracuje, do celów, którym ma w przyszłości służyć. Więc zwrócono uwagę na rzeczy następujące:

1. Improwizacya organizacyjna i techniczna. Do przyszłej akcyi nie wymaszerują z koszar gotowe wyćwiczone i wyekwipowane oddziały. Zbierać się one będą, zaopatrywać i ćwiczyć w ciągu samej akcyi, niejednokrotnie w przeddzień rozprawy. Pracy organizatorskiej i wychowawczej dokonać będą musiały szczupłe stosunkowo kadry. W tem więc zawczasu ćwiczyć się należy. W tym celu rozproszkowywano i mieszano oddziały szkolne i lokalne, dołączano do nich „rezerwę" i z tej masy dopiero tworzono jednostki bojowe, za pomocą wyznaczonych poprzednio szarż; ekwipowano je i ćwiczono.

2. Samodzielne życie oddziału przez kilka dni w polu. W ten sposób dawano ludziom surogat życia wojennego, gdy nie musztra, a nawet nie bitwa wypełni czas i pochłaniać będzie ogół wysiłku codziennego, lecz marsze, obozowanie, wyżywie-

nie, troska o konserwacyę broni i materyału technicznego, staranie o świeżość i zdrowie ludzi, przełamywanie ich nieporadności, gdy tłumnie znajdą się w niezwykłych warunkach itd. itd.

3. Ataki wzorowe, szkolne. Tu chodzi już o rzeczy czysto formalne przy operowaniu w większych jednostkach. Trzeba ludziom wdrożyć, zmechanizować nawet rzeczy niezbędne. Operowanie linią tyralierską i zachowanie się w niej, łączność, gospodarka ogniem, przestrzeganie celowania i t. p.

4. Ćwiczenia taktyczne. Obok rzeczy powyższych dają one surogat rzeczywistego boju, dają szersze pole do stosowania wiadomości nabytych, rozwijania inicyatywy i samodzielności, kształtowania charakteru wojownika, czy to w szeregowcu, czy w oficerze.

Dla plastyczniejszego zilustrowania tego, czem były i czem są z reguły ćwiczenia związkowe, dla uprzytomnienia żywszego powyższych uwag popatrzmy na kilka obrazków z życia wziętych.

Naznaczona godzina zbiórki się zbliża. Przed lokalem Związku gromadzą się strzelcy, by wyruszyć na „wielkie ćwiczenia". Strzelcy miejscowi schodzą się grupkami, z dworca zaś przybywają oddziały i oddziałki prowincyonalne. Apel w oddziałach szkolnych dokonany. Ma być teraz sformowany batalion bojowy. Na kilka dni przedtem ogłoszony rozkaz przepisał formacyę, wyznaczył szarże od batalionowego — do „starszych żołnierzy" w liczbie kilkudziesięciu. Kadry te wypełnić nakazał żołnierzami z różnych stopni szkolnych, z różnych oddziałów miejscowych. Już wyznaczono miejsca dla wszystkich czterech kompanii. Tam zgłaszają się teraz części poszczególnych oddziałów szkolnych. „Obywatelu kompanijny, melduję: z kursu podoficerskiego, ludzi 22"; za chwilę: „z rezerwy, ludzi 24" — z oddziału Gródeckiego, ludzi 15" i tak dalej. Kompanijny dzieli tę masę ludzi na plutony, przeznacza plutonowych, ci wydzielają sekcye, oddają sekcyjnym, dzielą oddział na czwórki, wyznaczają „patrole bojowe", „roty środkowe" i t. d. Gdy czynności te załatwiono, plutonowi zdają raport kompanijnemu. Ten sprawdza, czy wszystko w porządku. „Obywatelu — pyta szeregowca — jak się nazywa wasz sekcyjny? Wskażcie mi go!" Przy innym plutonie: „Patrol bojowy — klęknij!" i t. d. Idzie wszystko sprawnie, mało gdzie zdarzą się usterki. Wtem zapóźniony oddziałek z prowincyi przybywa od strony dworca: trzeba go gdzieś przydzielić, więc znów zmiany organizacyjne, przeformowywania.

Teraz trzeba batalion wyekwipować. Przeciągają więc plutony kolejno długimi szeregami przed oddziałkiem intendanckim, a każdy strzelec dostaje chleb, konserwy i t. p. Gdzie indziej rozdziela się karabiny i naboje po kompaniach, a trzeba dobrze kombinować, bo nie dla wszystkich starczy. Idzie to pomału, bo odbywa się prymitywnymi sposobami; ani urządzeń, ani lokalu stosownego niema. Tymczasem czekające oddziały zajmują się, czem mogą. Ćwiczą chwyty broni, zwroty, poznajamiają się wzajemnie, rozmawiają żywo. — Wreszcie czynności ukończone. Raport batalionowy. Kompanie stoją w rozwiniętym szeregu. Batalionowy odbiera krótkie, ścisłe dane, tyczące się ilości ludzi, wyekwipowania. Zdaje raport z całości komendantowi ćwiczeń. Batalion patrzy w prawo.

Marsz, zwykły marsz podróżny rozpoczęto. „Odtrąbiono". Wolno rozmawiać, śpiewać. Dwadzieścia kilometrów drogi przed batalionem. Krok równy, miarowy. Trąbka. Przez szeregi z kompanii do kompanii przechodzi piosnka. Swoboda. Ale o nią właśnie chodzi, jest planowana. „Przy marszach podróżnych chodzi o oszczędzanie ludzi" — głosi regulamin. „Referenci" z regulaminem w ręku liczą tempo. — obserwują nastrój. Jedna kompania idzie równo, swobodnie, humory dobre. W innej mąci się tempo, zdarza się męczące zamieszanie. Dlaczego? Na „omówieniu" zdadzą z tego sprawę referenci i komendanci.

Obóz we wsi. Kwatery poszczególnych jednostek rozmieszczone po zabudowaniach. Kartki wskazują drogę: „I. kompania", „Oddział sanitarny", „Warta główna" i t. d. Przy drodze na boisku kuchnia polowa. Wykopane misternie doły, kominy. Strzelcy mają swój własny udoskonalony system budowania kuchni polowych. Na kuchniach kotły poszczególnych plutonów dymią gorącą strawą. Niestrudzony intendant wydaje rozporządzenia: to drzewo, to kapusta, to woda. Zachrypł trochę z gorąca i dymu i ciągłego gadania. W oddziale jego widać kilka obywatelek ze Związku, pomagających z ochotą towarzyszom. Ceniona niezwykle jest ich pomoc.

A drogą podchodzi właśnie kompania, w długi ustawiona szereg. Każdy menażkę ma w rękach.

Ćwiczenie taktyczne; święto „manewrów", jak bój świętem wojny. Dwie kompanie bojowe zajmą pozycyę obronną. Już ją wytyczono i zaznaczono, ale plutony kryją się w rowie obok szosy, by wcześnie linii nie zdradzić. Z tyłu, za kołyszącą się falą zielonego żyta rozłożyły się oddziały rezerwy. Przed linią pozycyi teren obniża się ku strumykowi, potem dość stromo się wznosi. Obstrzał na tysiąc kilkaset kroków. Żołnierze omawiają założenia: obrona odcinka linii kolejowej pod Dawidowem; nieprzyjaciel spodziewany od strony Dźwinogrodu. „Będzie próbował obejścia z lewego skrzydła" — padają przypuszczenia. Patrole odeszły. Zaczyna się czekanie; nuda. Chmury gromadzą się, deszcz krótki, gwałtowny przeszedł. Z taboru zaprowiantowują linię. Długo trzeba było czekać na pierwsze wiadomości. Wreszcie pod osłoną drugiego nawalnego deszczu rozwijać zaczyna się nieprzyjaciel na grzbiecie przeciwległego wzgórza. Przez smugi spadającej ulewy majaczeją luźne jego linie. Plutony wybiegają na zamarkowane pozycye. Padają komendy strzelania; trzask karabinowego ognia wzmaga się, przerywa, wybucha na nowo. Coraz to nowe łańcuchy tyralierów przeciwnika zbliżają się. W napięciu i pracy wojennej niepostrzeżenie biegną minuty i kwadranse, rytmem komend i strzałów mierzone. Gdy na paręset kroków podpełzły nieprzyjacielskie plutony, gdy wybiegły rezerwy bronić zagrożonego skrzydła, zabiły silnem tętnem serca żołnierzy — a daleki głos trąbki dawał sygnał skończonego starcia.

Ćwiczenia skończone. Rozwiązano już obóz. Zatrzymała się kompania w miasteczku, dążąc na pociąg. W tem miejscu mówię o ćwiczeniach w Rzeszowskiem. Obywatele miejscowi rozpytują o ćwiczenia, o to i owo. Obywatelki przyniosły kwaśnego mleka spragnionym. Przyjmują z wesołem uznaniem i sympatyą swoich strzelców. A dzieje się to w okręgu, odległym od stołecznego gwaru. Nie znajdą tam posłuchu rozliczne oszczercze głosy ugodowej politykieryi. Bez przeciwdziałania i bez konkurencyi taniej pracują tam Związki strzeleckie. Tak wszędzie tam, gdzie niema demoralizacyi krzyczących politykierów — mówił przy innej okazyi komendant Związków — będziemy bez konkurencyi. Rzetelna praca przemówi do rzetelnie czujących i myślących.

II. Spór o „militaryzm" w Sokole.

W potrzebie chwili powołane zostały zeszłego roku do życia „Stałe drużyny sokole". Władze Sokoła dopuściły do tego w myśli stworzenia przeciwwagi Związkom strzeleckim. Ale wnet sprawy się zmieniły. W Drużynach skupili się ludzie, którzy zrazu woleli wprawdzie, czy to ze względu na małe wyrobienie polityczne, czy trudności życiowo zawodowe, skryć się pod niezdeklarowane i nijakie skrzydła „Towarzystwa gimnastycznego", którzy jednak, poczuwszy niejako broń w garści, nie chcieli dać się użyć do czczej manifestacyi. Od półtora roku słyszy się nieustanne echa sporów między władzami Sokoła a „wojskowcami". Tyczą się one spraw najrozmaitszych, począwszy od sprawy zasadniczej określenia kompetencyi komend wojskowych, skończywszy na szykanach przy odstępowaniu sal i boisk, przepisywaniu form guzików i butów mundurowych.

Konkretniejsze formy przybrał ten spór niedawno z okazyi walnego zebrania Sokoła Macierzy. Chodziło o uzupełniający wybór 8 członków Wydziału. „Wojskowcy", w których rękach znalazła się „Komisya matka", chcieli wybrać swoich. Wtedy Zarząd uczuł się powołany do tego, by stanąć na straży od wielu lat kultywowanych ideałów „wychowania fizycznego i obywatelskiego". Wydał do członków drukowany list, w którym potraktował przeciwników z lekceważącą złośliwością. Z perspektywy owych wielu lat gimnastyki i taniego blichtru pseudopatryotycznego ocenia pracę wojskową, jako szkodliwe nowatorstwo, pragnące „ducha sokolego" zastąpić duchem kapralskim, mącące „narodową kadź", a w najlepszym razie jako robotę „tymczasową", prowadzoną przez młodzików lub ludzi, osiwiałych nie w narodowej służbie (aluzya nieprzyzwoita do kilku byłych oficerów wojska, kierujących robotą „stałych drużyn"). Wydali oficyalnie kompromisową listę dla zbałamucenia łatwowiernych, a następnie na samem zgromadzeniu wypróbowaną metodą kreślili w niej nazwiska opozycyonistów, wpisując swoich. Na zgromadzeniu zmobi-

lizowana masa ludzi, którzy do Sokoła należą dla manifestowania „prawdziwego patryotyzmu“, nie dla pracy, uzyskała większość. Stałe drużyny zostały zmajoryzowane przez ugodę i bezmyślną biernotę. I dobrze. Rzeczy stoją przed nimi teraz jasno; powinni namyślić się pod wpływem wymownych faktów i zdecydować, czy odbudowanie starego, szanownego gmachu jest możliwe. Jeśli tak, przystąpić do dzieła, zbrojni w jasny, świadomy celów i środków plan, bez niedomówień, bez kompromisów. Jeśli nie — wyciągnąć również konsekwencye i zastanowić się, czy przypadkiem ta „tymczasowa“ robota z jasnym politycznym celem pod kontrolą rzetelnie wypowiadających się obozów niepodległościowych, w łączności z pracą skarbową i agitacyjną na rzecz programu niepodległościowego, nie prowadzi lepiej do celu, niż mętne hasła o „pogotowiu fizycznem“ pod batutą redaktorów pism ugodowych.

A pamiętać winni o jednem. Nie wolno wisieć w powietrzu, nie patrzyć jasno, wzdragać się przed decyzyą, bo wtedy decyzyę na ich rachunek powezmą inni i użyją ich do swoich celów.

Ad. Lux.

ROZMAITOŚCI.

Uchwały Polskiego Stronnictwa Postępowego w sprawie K. S. S. N. i P.S. W. — Przez dwa dni, sobotę 23 i niedzielę 24 maja obradowała we Lwowie Rada naczelna Polskiego Stronnictwa Postępowego. Przewodniczyli na zmiany: prezes rektor Bronisław Pawlewski i wiceprezesi radca Kazimierz Bogdanowicz i redaktor Bronisław Laskownicki. W naradach uczestniczyli prócz posłów stronnictwa na Sejm krajowy i do Rady państwa, oraz członków Zarządu głównego, liczni delegaci z prowincyi, — w szczególności z miast: Przemyśla, Stryja, Sambora, Stanisławowa, Kołomyi, Brzeżan, Drohobycza, Rzeszowa, Tarnowa, Jasła i t. d.

Pierwszy dzień obrad poświęcono w całości omówieniu **spraw niepodległościowych** i t. zw. rozłamu w Komisyi S. S. N. — Po szczegółowych referatach delegatów Stronnictwa do K. S. S. N. i zarządu P. S. W. rozwinęła się kilkugodzinna ożywiona dyskusya, poczem jednomyślnie uchwalono następujące rezolucye:

„Rada naczelna P. S. P. po wysłuchaniu referatu delegatów Stronnictwa do K. S. S. N. i P. S. W. stwierdza z radością pogłębienie się i skonsolidowanie działalności tych instytucyi niepodległościowych. Rada Naczelna P. S. P. wyraża jednomyślne przekonanie, że t. zw. rozłam, wywołany przez nar. dem. „Frondę“ Królestwa Polskiego w K. S. S. N., nie tylko nie osłabi jej powagi i rozpędu, lecz owszem wzmocni pozycyę Komisyi, zwłaszcza w innych dzielnicach Polski. Tak zw. rozłam bowiem jest oczyszczeniem atmosfery niepodległościowej od niepewnych czynników, które pod firmą K. S. S. N. prowadziły od dawna w sposób nielojalny i podstępny, partyjną i egoistyczną politykę, nadużywając haseł niepodległościowych“.

„Rada naczelna P. S. P. potępia z oburzeniem te metody, jakie „Fronda“ usiłowała zaszczepić w szeregach obozu niepodległościowego, wprowadzając demoralizacyę dwulicowości i rozdźwięk partyjny nawet do organizacyi wojskowych“.

„Uznając K. S. S. N. w obecnym jej składzie za organizacyę jedynie powołaną do kierowania pracami niepodległościowemi — Rada naczelna P. S. P. wzywa wszystkich szczerych niepodległościowców — by zdwojeniem prac, pod sztandarem prowadzonych, odpowiedzieli na najnowsze zakusy ugody, dążącej wraz z „Frondą“ do rozbicia konfederacyi niepodległościowej, czyli zniszczenia najdonioślejszego dorobku narodowego ostatnich lat“.

„Uznając P. S. W. za podstawę robót niepodległościowych, Rada naczelna P. S. P. zwraca się z gorącym apelem do patryotycznej części społeczeństwa polskiego, by nie ustawało w jak najwydatniejszem popieraniu organizacyi skarbowej w obecnym stanie pozornego spokoju“.

„Rada naczelna wzywa równocześnie wszystkich członków stronnictwa, dotychczas jeszcze nieopodatkowanych, do stałego opodatkowania się na rzecz P. S. W. za pośrednictwem odnośnych komisaryatów skarbowych“.

Nasze organizacye wojskowe w Ameryce. Rozpoczęta wojna Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej przeciw Meksykowi pociągnęła za sobą wystąpienie nieoczekiwane naszej bratniej organizacyi za oceanem. Leży przed nami numer „Sokoła polskiego“ 18-ty z 30. kwietnia 1914, zawierający „wezwanie do ogółu sokolego“,

aby młodzież polska powstrzymywała się od zapisywania się do milicyi lub armii, ale czekała wieści od swego przodownictwa o wyniku układów ze sztabem generalnym Stanów Zjednoczonych w sprawie utworzenia polskiego legionu ochotniczego.

Krok ten spotkał się zarówno w kraju, jak wśród Polonii amerykańskiej, z krytyką ostrą, a porywczą. O „rozrzutności" krwią polską mowy być w danym wypadku nie może. Szło o to, by Polacy, którzy na ochotnika tłumnie garnęliby się w szeregi Stanów, poszli pod komendę polską, pod sztandar ojczysty; aby krew, któraby w każdym razie popłynęła, polskiemu orężowi przyczyniła chwały. Szło dalej o to, by Polacy, walczący w Meksyku, w boju zahartowani i doświadczeni, stworzyli później żelazne kadry dla naszego korpusu rezerwowego w Ameryce. A dalej, czego nie zrozumieli nasi dziennikarze, ta ofiara krwi kupić miała naszej pracy wojskowej w Stanach swobodę rozwoju, nieraz dotąd krępowaną i ten cel prawdopodobnie osiągnęła. Wojny poważnej nie będzie, więc i pułk polski ochotniczy nie będzie wystawiony. Jednak mamy pewność, że dla ewentualnego legionu polskiego uzyskanoby moralne gwarancye, jak godła polskie, własna hierarchia i organizacya, polska komenda, zastrzeżenie co do użycia wyłącznie w wojnie zewnętrznej na kontynencie amerykańskim, oraz na czas trwania tej wojny. Spodziewamy się również, że na wypadek, gdyby krok ten rzeczywiście został dokonanym, nasi towarzysze broni z Ameryki północnej godnie reprezentować będą polski honor wojskowy i męstwo polskie.

Zbyt szczupłe dochodzą nas wieści o dzielnej i ofiarnej pracy, przez nich prowadzonej. Parę szczegółów podał „Strzelec", nr. 1/14, mówiąc o zbiorze regulaminów i instrukcyi, opracowanym przez naczelnika sokolich drużyn bojowych, ob. W. S. Rylskiego. Obywatel Rylski jest b. kapitanem austryackim; odbył wojnę afrykańską w wojsku Burów w stopniu podpułkownika; pracę nad ubojowieniem „Sokoła" amerykańskiego prowadzi z ogromną energią. Koszta dokonanych zbrojeń podają pisma na 100.000 dolarów; suma ogromna w porównaniu z ubóstwem wojskowości polskiej w ojczyźnie! Ofiarność ogromna, zważywszy, że tych 36.000 „Sokołów" przesłało nadto 75.000 koron na głodnych w Galicyi, 50.000 na Polski Skarb Wojskowy; a przecież sytuacya gospodarcza zła, jedna trzecia członków organizacyi bez pracy, połowa pracuje 3–4 dni w tygodniu! Rezultaty pracy: podobno 6.000 wybornie wyćwiczonego żołnierza, będącego w pełnem rozporządzeniu władzy organizacyi. Oto podstawa na której opiera się propozycya, przez prezesa Starzyńskiego i naczelnika Rylskiego uczyniona Stanom.

Dodać należy, że w ciągu maja przeprowadziło naczelnictwo „Drużyn Bojowych" szkołę instruktorską w Cambridge Springs dla 60 uczniów; kurs obejmował wojskowość, gimnastykę, harcerstwo; był subwencyonowany przez Komisyę Str. Skonfederowanych kwotą 2.000 dolarów. Kierował kursem ob. Rylski, oraz ob. Bartmański, jego zastępca.

Mamy w Ameryce jeszcze jedną organizacyę wojskową: „Związek Młodzieży Polskiej". Z pisma tygodniowego, przez nią wydawanego („Pobudka"), możemy wnosić o panującym w niej duchu patryotyczno-rewolucyjnym, żywym kontakcie duchowym z ojczyzną, młodzieńczym zapale. Brak nam danych o sile tej organizacyi i poziomie jej pracy wojskowej. Podobnież mało wiemy o organizacyach Wojsk polskich i o t. zw. Konfederatach. W ogólności potrzeba bliższego kontaktu naszych kadrów amerykańskich z krajowymi. Władze bratnich organizacyi z za oceanu powinny pomyśleć o informowaniu kraju. „Strzelec" otworzy im z radością swe łamy. (Strzelec" za lipiec i sierpień 1914).

Od redakcyi naszego pisma oświadczamy tę samą gotowość.

Wici. Organ Komitetu Obrony Narodowej w Ameryce. Adres Redakcyi: Chicago Ill (945 Milwaukee ave).

W ostatnim zeszycie „Sprawy polskiej" donosiliśmy o „Wyzwoleniu", amerykańskim organie niepodległościowym, redagowanym przez prof. Tomasza Siemiradzkiego. Teraz przynosimy wiadomość o drugim organie niepodległościowym, mającym charakter oficyalny, a redagowanym przez p. Al. Dębskiego. Nosi on tytuł „Wici" i wychodzi jako miesięcznik Komitetu Obrony Narodowej, organizacyi, stojącej — jak wiadomo — w bratnich stosunkach z Komisyą S. S. N.

Mamy pod ręką trzy ostatnie numery (za kwiecień, maj i czerwiec r. b.) i musimy wydać sąd jak najpochlebniejszy o

stronie redakcyjnej. Podajemy napisy ważniejszych artykułów: Czego potrzeba narodowi polskiemu dla walki o niepodległość (Tomasz Siemiradzki), Jenerał Ludwik Mierosławski (dr. H. Gierszyński), Emigracya (W. M. S.), Półroczny zjazd C. K. O. N. (Centralny Komitet Obrony Narodowej). Sporo miejsca zajmują protokoły i biuletyny K. O. N. i K. S. S. N., co daje doskonały obraz roboty niepodległościowej w Polsce i Ameryce, w szczegółach, które mogą być ujawnione.

Sprawozdanie Funduszu bojowego podaje następujące cyfry:

Z przeniesienia z list 15	. dol.	30.907	ct.	10
Zebrane w styczniu na listę 16		906	„	68
Zebrane w lutym na listę 17		1 506	„	41
Zebrane w marcu na listę 18		972	„	77
Razem	dol.	34.292	ct.	77
Do 1. stycznia wysłano do kraju		26.019	ct.	90
Do 1. kwietnia „ „		5.057	„	60
Zwrócono grupie 20. Z. N. P.		13	„	46

Dla bliższego scharakteryzowania pisma podajemy w wyjątkach artykuł z numeru czerwcowego p. t. „Ojczyzna potrzebuje pieniędzy“:

„Kiedy w czasie powstania zjechała się szlachta i nie mogła się zdecydować, co zrobić, powstańcy wyśmiewając ją opowiadali o mowie jakiegoś pana: „Wszystko jesteśmy w stanie dla Ojczyzny poświęcić, byleby życia i majątki nasze były ocalone“. Takich ludzi, gotowych niby to służyć narodowi, ale bez uszczerbku swej skóry i kieszeni, nietylko wśród szlachty, ale w każdej klasie naliczy się niemało.

Któżby nie pragnął, żeby kraj był wolny, żeby mu Moskal po karku nie deptał, chleba i wolności nie pozbawiał?! — Gdy jednak zapytamy, co każdy ofiaruje na ten cel, żeby się Moskala pozbyć — cicho, sza! nikt się nie odezwie. Skądże więc ma przyjść wybawienie? skąd siła do oparcia się wrogowi, jeżeli każdy na tem poprzestaje, że w cichości duszy chce, żeby mu to szczęście własnym kosztem ktoś inny zafundował?...

Obcy wróg rok po roku różnemi drogami ściąga z nas podatki, a, czego nie wydębi przez komornika, to ściągnie przez karczmę. Ogromne jezioro możnaby napełnić tą wódką, którą chłop polski wypija, a z której Rosya ciągnie setki milionów na żandarmów i więzienia, na zbytki familii cesarskiej i hulanki urzędników, na wykupywanie polskiej kolei, którą potem rujnuje i niszczy, wreszcie na utrzymanie policyi, która niby goni złodziei, ale tylko na to, żeby się z nimi dzielić. A ileż to z nas ten rząd wydusi oszustwem lub łapówką, postrachem i przymusem...!

Niegdyś szlachta całą mocą broniła się przed podatkami na skarb i wojsko, ze strachu, aby król, mając broń i pieniądze, nie przywłaszczył sobie „tyrańskiej władzy“ i „swobód szlacheckich“ nie ukrócił. Zostawiła kraj otworem dla nieprzyjaciół, tyrańską moc zdobył nad nim nie własny, lecz obcy, wrogi rząd, gniecie i uciska tych, co niegdyś dumnego karku przed nikim ze swoich zgiąć nie chcieli.

Patrzmy, ażebyśmy i dziś przez brudne skąpstwo, przez chciwość osobistego zysku i lekceważenie publicznego dobra nie zaprzepaścili ostatniej iskierki nadziei, że się nasza niewola skończy.

„Skarb i wojsko!“ — wołali dobrzy Polacy na Wielkim Sejmie, gdy ostatni raz wysilali się, ażeby od zguby Ojczyznę uratować.

„Skarb i wojsko!“ — wołajmy i teraz do każdego, kto wyznaje, że Ojczyznę kocha i jej wolności pragnie.

W Krakowie zbierają się pieniądze na Skarb Wojskowy. Nie jest to żadna tajemna kasa. Skarb jest pod strażą publicznej kontroli. K. S. S. N., ogłasza swoje rachunki, oznajmia o swych potrzebach, wydaje kwity, a tylko nazwiska składkujących ukrywa, żeby ich nie narazić na prześladowania i więzienie. Każdy grosz, do tego skarbu złożony, będzie służył uczciwej, świętej sprawie i — każdy grosz zbliży choć o chwilkę dzień naszej wolności!“

Bratniemu organowi przesyłamy pozdrowienie rodackie i najlepsze życzenia.

B I U L E T Y N

Biura prasowego Komisyi Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych.

W sprawie pp. Karabasza i Rakoczego. Przed kilku tygodniami w kraju bawili wysłannicy Zw. Nar. Pol., pp. Karabasz i Rakoczy z poleceniem zbadania działalności K. S. S. N. Zachowanie się tych „emisaryuszy“ nie dawało rękojmi, że potrafią oni pozbyć się wrogich uczuć do K. S. S. N., z jakiemi zjawili się w Europie, zaś bardzo nizki poziom intelligencyi tych panów kazał obawiać się, że nie potrafią oni sformułować sami tego, co usłyszą. Wobec te-

go przedstawiciele K. S. S. N., P. S. W. i Wydziału Wojskowego, którzy z nimi konferowali, protokołowali skrzętnie tak pytania wysłanników, jak i odpowiedzi własne. Protokół ten delegaci podpisali, wyrażając zdanie, że „stosunki wzajemne między Zw. Nar. Pol. a K. S. S. N. będą na przyszłość normalne, harmonijne, jako oparte na wzajemnem zaufaniu".

Tymczasem powróciwszy do Ameryki, pp. Karabasz i Rakoczy zachowali się w ten sposób, że zniewolili Sekretaryat K. S. S. N. do wysłania następującego telegramu na ręce Komitetu Obrony Narodowej.

„Sprawozdanie delegatów stekiem niegodnych kłamstw, bezczelnych oszczerstw, sfałszowanych faktów, kłamliwych denuncyacyi..."

Cały szereg osobistości, na które pp. delegaci powołują się, szkalując K. S. S. N. wysyła protesty przeciwko temu haniebnemu postępowaniu.

List Wacława Sieroszewskiego do Polonii Amerykańskiej.

Wobec nieustannych fałszów, intryg, oszczerstw, szerzonych przez jawnych i tajnych przeciwników walki o niepodległość Polski, a których przedmiotem stało się obecnie sprawozdanie Delegatów, wysłanych z Ameryki dla zbadania tej sprawy, wobec tego, że do namiętnej i stronniczej polemiki wciągnięte zostało i moje nazwisko, zmuszony jestem do następującego sprostowania:

Istotnie pp. Karabasz i Rakoczy byli u mnie w Paryżu i rozmawiali ze mną. Rozmowa jednak trwała krótko, gdyż wymawiali się brakiem czasu. Zdziwiło mię to, gdyż jednocześnie upewniali mię, że zboczyli do Paryża głównie dla zobaczenia się ze mną. Rozmowę prowadzili w tak płytki i bezładny sposób, iż odrazu zrozumiałem, jak mało przygotowani są do spełnienia powierzonego im tak niezmiernie trudnego zadania. Zamiast zadawać pytania i żądać wyjaśnień, powtarzali kłamliwe żale na Komisyę Tymczasową, rozsiewane przez jej wrogów politycznych, nie dając mi przyjść do słowa, a gdy zwróciłem ich uwagę, iż podpisali przecież już protokół, gdzie na podstawie dokumentów przyznali niesłuszność i błędność wszystkich tych zarzutów, odpowiedział mi p. Karabasz, że on mnie w ten sposób chciał „przyłapać", lecz że on sam tym powtarzanym przez siebie zarzutom nie wierzy. Choć wysoce obrażającą była ta metoda p Karabasza, uszanowałem w nim delegata amerykańskich ziomków, pohamowałem swe oburzenie i ponowiłem propozycyę, aby stawiali mi punkt za punktem interesujące ich pytania, a na każde postaram się możliwie dokładnie odpowiedzieć. Uchylili się powtórnie od tego, mówiąc, że są dostatecznie powiadomieni i objaśnieni. Z niezmiernem więc zdumieniem czytam obecnie ich sprawozdanie, do gruntu fałszywe, pełne świadomych czy nieświadomych błędów i śmiesznych omyłek, przynoszących ujmę nie tylko im, lecz i tym, co ich wysłali. Moje odpowiedzi delegaci przekręcili, gdyż choć p. Rakoczy zapisywał coś na prędce w swym notesie, ale mi tego, co napisał, ani do przeczytania, ani do podpisania nie dał, a teraz śmie przytaczać te przez siebie napisane oszczerstwa jako moje zdanie! Zabraniam im, Delegatom, tego czynić stanowczo. Zabraniam im używać imienia mego i, aby raz na zawsze stosunek mój do tej sprawy wyjaśnić, stwierdzam, iż: uznawałem i uznaję Komisyę Skon. Stron. Niepodległ. za jedyne poważne i godne zaufania połączenie stronnictw niepodległościowych polskich, że czczę ją za jej najszlachetniejsze usiłowania podporządkowania różnic partyjnych wspólnemu hasłu walki o niepodległość Polski. Związek Strzelecki uważam za jedyną bezpartyjną organizacyę wojskową polską, gdzie nie pytają o przekonania, a żądają jedynie gotowości oddania życia za wolność Ojczyzny, gdzie w jednym szeregu stoją obok siebie konserwatysta i radykał, inteligent i robotnik, pan i chłop.

Oszczerstwa, rzucane na Skarb Wojskowy, na jego skarbników — pp. Walerego Sławka i Tora, ludzi nieskazitelnych, przepełniają już wszelką miarę rzucanych kalumnii.

Taki jest rezultat „misyi" Delegatów amerykańskich.

Posłano ich jako pośredników i mężów pokoju, mających zażegnać waśń i wyjaśnić nieporozumienia... A co uczynili oni?!

Waśń tę zwiększyli, nieporozumienia pogłębili!

Miasto wznieść się ponad partye, ponad ludzi, ich słabości i namiętności, miasto szukać drogi prostej i otwartej, dla służenia sprawie czystej, jaką jest sprawa oswobodzenia Ojczyzny, — poszli na usługi stronnictw, dali posłuch oszczerstwom, pozwolili się omamić tchórzom i nikczemnikom!...

Hańba grabarzom własnej Ojczyzny, hańba tym, co rycerzom jej wolności starają się zdradziecko wsadzić bratni sztylet w serce!...

Hańba im po wszelkie czasy i wśród wszystkich ludów!...

Kraków, 2. lipca 1914 roku.

Wacław Sieroszewski.

List posła Ignacego Daszyńskiego do Aleksandra Dębskiego

sekretarza Komitetu Obrony Narodowej w Stanach Zjednoczonych.

Kraków, dnia 5. lipca 1914.

Wielce Szanowny Obywatelu!

Z wielkiem zdumieniem czytam „Zgodę“ — Dziennik Związkowy z dnia 11. czerwca 1914 Nr. 136, gdzie wydrukowane jest sprawozdanie pp. A. Karabasza i A. E. Rakoczego z ich misyi do Europy celem zbadania działalności Komisyi Tymczasowej.

Na razie nie mam zamiaru wykazywać niesłychanych, dających się łatwo zdemaskować, kłamstw pp. Karabasza i Rakoczego.

Wystarczy podnieść, że w chwili, kiedy rząd austryacki, a w szczególności c. k. namiestnik Korytowski gotują się wśród szykan i pogróżek policyjnych do sparaliżowania Związków Strzeleckich, z ich najlepszą dzisiaj w Polsce organizacyą wojskową, pp. Karabasz i Rakoczy mają czoło powtarzać publicznie oszczerstwa moskalofilów, że K. S. S. N. jest „ekspozyturą rządu austryackiego a tem samem pruskiego...“

Gdybym sam osobiście nie miał był sposobności poznania obu panów Karabasza i Rakoczego, nie uwierzyłbym, że to mogli oni napisać po swoim pobycie w Europie.

Ale poznałem ich obu. osobiście i teraz wierzę. Bo takich smutnych nieuków, takich ludzi niezdolnych do poważnego traktowania ciężkiej, skomplikowanej i olbrzymiej sprawy walki o niepodległość narodu polskiego, takich do swojej trudnej misyi zgoła nieprzygotowanych dwóch ludzi z takiemi pełnomocnictwami, wprost się nie spodziewałem.

Skąd np. ci obaj panowie wzięli bezczelne kłamstwo, że ja radzę „z żydami trzymać, bo żydzi mają pieniądze“ — tego wytłumaczyć nie umiem.

Siedzieli obaj ci panowie u mnie półtorej godziny, prosili o informacye w sprawach takich, które zna w Polsce każdy uczeń szkolny i powtarzali najstarsze brednie endeckie, jakie im ugodowcy polscy podyktowali. Nie notowali sobie przytem ani jednego słówka z mojego wykładu i potem w Ameryce podali, że ja radzę trzymać z żydami, bo żydzi mają pieniądze!...

Nie o tych dwóch kłamców i prostackich pyszałków mi chodzi, bo ich osoby pozostaną dla mnie i nadal zupełnie obojętnemi, ale o te miliony emigrantów polskich, o robotników i włościan polskich w Ameryce, których teraz oszukują pp. Karabasz i Rakoczy, obaj dygnitarze i przodownicy największej organizacyi polskiej w Ameryce.

Jakaż tam nędza duchowa być musi, skoro tacy Karabasze i Rakoczowie są jedynymi oficyalnymi informatorami Związku Narodu Polskiego! Aby cenić interesy olbrzymiej większości narodu polskiego tj. chłopów i robotników, w ich walce o prawa ludzkie i narodowe, poszli obaj przedewszystkiem do ludzi, którzy z ruchem chłopskim i robotniczym polskim, a więc jedynym ruchem niepodległościowym, nic nie mają wspólnego, albo są wprost pasożytami ludu pracującego.

Dla Karabaszów i Rakoczych bardziej decydujące były salony „ministrów, byłych ministrów i biskupów“, niż poddasze na czwartem piętrze, gdzie mieści się K. S. S. N., aby nie wydawać pieniędzy na nic niepotrzebnego.

Ale skądże ci dwaj ludzie mogli wiedzieć

o tem, że cała polityka c. k. namiestnika streszcza się dzisiaj w zawarciu ugody z ruskimi moskalofilami i z ugodowcami polskimi od plantatorów podolskich począwszy, a na endekach-ugodowcach skończywszy! Skąd mogli wiedzieć, że jedyna rzecz, która te stronnictwa dzisiaj jednoczy, to zajadła walka na wszystkich polach przeciw K. S. S. N.!

Że ugoda w Polsce wysila się, aby na zawsze uniemożliwić skarb wojskowy i organizacyę wojskową w ręku niepodległościowców, że doprowadzić chce jedno i drugie do karykatury przez tworzenie coraz to więcej „skarbów" i coraz to śmieszniejszych „armii", to Karabasze i Rakoczowie biorą za dowód zdrowia i rozwoju!... Ale co Polacy amerykańscy, co włościanie, robotnicy, rzemieślnicy i inteligienci mają wspólnego z ugodą w Polsce, żeby popierali jej intrygę, jej walkę przeciw ruchowi zbrojnemu dla Ojczyzny?

Polska amerykańska nie dała dotąd niestety ani jednej idei, ani jednej książki, ani jednego wielkiego czynu obywatelskiego dla Polski-Macierzy. Zamiast tego dała jednak trochę grosza. Powiadam „trochę", bo gdyby chciała, mogłaby dać dziesięć razy więcej. Wszak sama podróż pp. Karabasza i Rakoczego miała kosztować 20.000 koron. Ten grosz amerykański kłuł w oczy naszych ugodowców, to też nie spoczęli tak długo, aż przy pomocy Karabaszów i Rakoczych odebrali go ruchowi niepodległościowemu w kraju. Nigdym obrzydliwszego postępowania nie widział i nigdy podobnie bolesnej komedyi, którą zagrali ci amerykańscy wysłannicy wobec ludu polskiego w Ameryce.

Czy kłamstwa Karabaszów i Rakoczych, kłamstwa dziecinne i nizkie, bezczelne kłamstwa „politykierów" na krótką metę, dające się zbić po kilku już tygodniach, tj. po takim czasie, jakiego wymaga wymiana listów i gazet Polski z Ameryką, czy kłamstwa te zadecydują o stanowisku milionowej rzeszy robotników i chłopów polskich w Ameryce?

Nie wiem. Ale gdyby miały zadecydować naprawdę, nauczyłyby nas w kraju najbardziej gorzkiej nauki, że Polska walcząca o swoją wolność krwawym, męczeńskim wysiłkiem, niema po co wyciągać dłoni za Ocean do swoich biednych wygnanych biedą dzieci...

Jeżeli Karabasze i Rakoczowie są naprawdę przedstawicielami ogółu Polaków w Ameryce, jeżeli ogół polsko-amerykański ogłosi się solidarnym z sposobem myślenia tych ludzi, to mamy przed sobą proces moralnego wynaradawiania się Polaków w amerykańskim odmęcie. Boć przecież nędza duchowa nie ostoi się przed żadną ideą, którą reprezentuje naród, czy państwo jakiekolwiek, bo nizkie oszustwo nie wiedzie i wieść nie może żadnej masy ludowej do życia narodowego...

Tych kilka uwag chciałem Wam przesłać, Szanowny Obywatelu, z pytaniem bolesnem: Czy ogół Polaków amerykańskich jest po stronie pp. Karabasza i Rakoczego, czy po stronie K. S. S. N.?

Przyjmijcie wyrazy szczerego szacunku z jakim pozostaję

Ignacy Daszyński.

Michał Janik: Hugo Kołłątaj. Monografia z czterema podobiznami. (Lwów, 1913, str. 634, Księgarnia Gubrynowicza i Syna we Lwowie).

Dzieło, zakrojone na wielką skalę, z natury nie może być ostatniem słowem o najznakomitszym polityku polskim z minionej przeszłości dziejowej. Działalność bowiem Kołłątaja była tak wszechstronna, tak głęboko wnikała w całokształt kwestyi, najżywotniejszych dla istnienia naszego narodu, że wprzód muszą być opracowane monograficznie fragmenty poszczególne ogromnej spuścizny genialnego reformatora narodu i największego, jakiego Polska wydała, męża stanu. Ponadto nie wszystkie jeszcze rękopisy samego Kołłątaja zostały uprzystępnione dla użytku naukowego, a każdy z nich ma dla monografisty bardzo ważne znaczenie.

Można się tedy zapytać, czy monografii o Kołłątaju nie wydano przedwcześnie, skoro ta nie może być zupełną i całkowitą. Odpowiedź musi wypaść przecząco, czego dowodem szereg monografii drobniejszych, jakie o Kołłątaju już napisano. Potrzeba monografii klasycznej, będąca postulatem historyografii polskiej, nie zmniejsza ważności monografii niezupełnych, zwłaszcza, jeżeli takie monografie dają tyle materyału

i w tak harmonijną dają się ująć syntezę, jak to powiodło się uczynić prof. Janikowi Autorowi monografii nie było obce zadanie i nie były mu obce trudności, z jakiemi musiał mieć do czynienia, gdy przystępował do niełatwej pracy.

„Jeżeli można powiedzieć o jakim człowieku — czytamy we wstępie do monografii — że dzieje jego życia były zarazem dziejami narodu, odnosi się to w bardzo wysokim stopniu do Hugona Kołłątaja.. Przecież postać Hugona Kołłątaja nie jest dostatecznie znana powszechności narodowej, co więcej! — nie jest należycie uwypuklona i oświetlona przez zawodowych historyków, tem mniej przez zawodowych literatów. Jest to tem osobliwsze, że sąd o Kołłątaju musi być zarazem sądem o zdarzeniach przełomowych w naszej przeszłości, że bez wytrawnego i ustalonego na te czasy poglądu z trudnością tylko ogół polski może się zoryentować w zjawiskach życia narodowego teraźniejszości i jak człowiek niedojrzały naiwnie musi patrzeć na bieg opinii, jaką przynosi nowa ciągle potrzeba dnia dzisiejszego. Jakaż tego przyczyna? Widocznie sądu tego lękano się; działalność Kołłątaja, choć tak odległa, nie przestała być żywa i aktualna; stronnictwa i kierunki polityczne, które wystąpiły na widownię w epoce Kołłątaja, oddziaływują po dzisiaj na życie narodu i walczą o owładnięcie duszami. Stąd brak sądu ogólnego, stąd zasadnicza różnica w osądzaniu życia i pracy wielkiego rodaka: uwielbienie u zwolenników prawdy i sprawiedliwości społecznej, nienawiść i potwarze u stronników przywileju i fanatyzmu. Stąd nowa ciągle potrzeba obrony człowieka i działacza, stąd dla zwolenników nakaz bezwzględny ścisłej przedmiotowości w traktowaniu tematu, bo tylko nieubłagana prawda zdoła ostatecznie zwyciężyć...

„Przy bogactwie źródeł drukowanych i rękopiśmiennych, swoich i obcych, jakiemi historycy Kołłątaja mogą dzisiaj rozporządzać, można dojść do prawdy, jeżeli rozpatruje się źródła z ścisłością i bezstronnością, należną tak wielkiemu przedmiotowi. Stać się to może bez względu na osobiste poglądy i przekonania, od których nikt wyzwolić się nie może i nie powinien, boć sympatya z wyobrażeniami człowieka, o którym się pisze, nie zmusza zasłaniać oczu na jego błędy czy pomyłki; z drugiej strony niechęć do osobistości dziejowej nie powinna zaprzeczać cnotom obywatelskim, mądrości i zasłudze. Jest czucie prawdy w sumieniu ludzkiem; jest pietyzm względem umarłych, odpowiedzialność wobec żywych; jest odpowiedzialność wobec siebie samego, nie najmniejsza podobno i nie najłatwiejsza. Słusznie też już w roku 1821 Franciszek Grzymała napisał w „Astrei": „Przyszłe pokolenie z surowością domagać się będzie tego dokładnego obrazu życia jednego z największych ludzi w kraju naszym, uważanego pod względem rzadkich zdolności umysłowych i biegłości w rzeczach publicznych". Niech te słowa wstępu pomogą ułożyć stosunek piszącego do czytelnika"...

Trzeba przyznać, że prof. Janik pozostał wiernym przyrzeczeniu i, mierząc ludzi i rzeczy, choć starał się być obrońcą Kołłątaja, nie przekroczył obowiązującej historyka przedmiotowości. Jest zaś jego monografii zaletą niemałą, że zamiast snuć własnemi słowami wywody na temat ubiegłych zdarzeń, posługiwał się, o ile to było możliwe, głosem źródeł. Metoda to bardzo słuszna, choć w naszej historyografii nie za często stosowana. W ten także sposób autor unika polemiki, gdyż polemika z głosem faktów musi krytyków narazić na zarzut stronniczości.

Całość monograficzną autor ujął w cztery księgi: w pierwszej opisał przedewszystkiem prace około reformy Akademii krakowskiej; w drugiej trud pracy przy tworzeniu nowej dla Polski konstytucyi; w trzeciej współpracę o wolność i honor narodu za insurekcyi Kościuszkowskiej; w czwartej i w ostatniej wysiłki ducha nieustanne pod hasłem: „Nie wolno nigdy rozpaczać o Rzeczypospolitej". Na tle tak bogatych i niezwykłego znaczenia zdarzeń postać Kołłątaja występuje wypukle i wyraziście, chociaż nacisk położono przedewszystkiem na stronę intelektualną, mniej zaś troskano się o materyał anegdotyczny. Toteż monografia prof. Janika czyta się z nieustającem, a ciągle rosnącem zainteresowaniem i ma dużą moc przekonywania. W szczególności część apologetyczną pracy trzeba uważać niemal za ostatnie słowo w tym przedmiocie, syntezę zaś, zbudowaną przez autora, za zrąb zasadniczy, około którego każdy przyszły historyk musi owijać kanwę swojego opowiadania.

Monografia, którą w krótkich rzutach charakteryzujemy, ma nie tylko wartość

wybitną jako dzieło historyczne, ma ona również ze względu na przedmiot niepospolitą wartość publicystyczną, niezmiernie aktualną i dla naszych czasów i dla naszej oryentacyi.

Z całem też uznaniem przytakujemy końcowym wywodom autora: „Dziś, w sto lat po śmierci Kołłątaja, postać jego urosła do rozmiarów niemal legendarnych czy fantastycznych. Nie możemy wyjść z podziwu nad heroicznym trudem męża opatrznościowego, który był dany narodowi na zdrowie i ocalenie. Nie możemy wyjść z podziwu, mimo, że w księdze dziejów i pracom Kołłątaja i losom ojczyzny miał być zapisany koniec tragiczny. Zwyciężyła przemoc złego: wewnętrzna i zewnętrzna. Ofiary najlepszej części narodu, której Hugo Kołłątaj najczystszem był sumieniem i najdoskonalszym wyrazem, wybawienia od niewoli nie przyniosły. Czy jednak nie stały się zdrowiem i ocaleniem dla ducha polskiego? Konstytucya 3-go Maja, insurekcya Kościuszkowska, marsz bojowy przesławnych legionów — czyż nie stały się źródłem nieprzebranem wiary i nadziei? Czy sprawiedliwość społeczna i oświecenie powszechne nie stały się dla nas najściślejszym testamentem, przekazanym jak nakaz Boży przez Hugona Kołłątaja? Czyż nie w tych źródłach ożywczych kąpała się wielka poezya epoki romantyzmu, która przechowała najwyższe na zawsze walory dla wychowania uczucia narodowego? Wszakże Hugo Kołłątaj był właśnie owym Mojżeszem, który te źródła życiodajne cudownym geniuszem wśród kamienistej pustyni na napój nieśmiertelny dla duchów polskich otworzył“...

Jeżeli dodamy, że przez wszystkie karty monografii przepływa gorąca krew uczucia narodowego, sądzimy, że krótkie nasze sprawozdanie dostatecznie powinno zachęcić czytelników do poznania godnej tego w wysokim stopniu książki. Niedokładności niektóre w drobnych szczegółach nie ujmują w niczem istotnej wartości, a są tylko czemś nieodłącznem od pracy każdego człowieka.

Oszczędności Polaków. (Według broszury p. Jerzego Michalskiego p. t.: „Polskie kooperatywy i Kasy oszczędności, ich rozwój i stan obecny na obszarze ziem polskich“).

Cyfry broszury odnoszą się do r. 1912 i dają obraz następujący: Poznańskie i Prusy Zachodnie posiadały w swych kasach kooperatywnych, zwanych przeważnie bankami ludowymi, wkładek polskich 286 milionów franków. Galicya z kasami oszczędności, nienależącemi ściśle do kooperatyw — 535 milionów franków, Królestwo 535 milionów franków. Razem w trzech dzielnicach mieliśmy w r. 1912 miliard 174 mil. franków zaoszczędzonego grosza. Udziały członków kooperatyw wynosiły w 1912 r. w Królestwie 75,145.000 franków, w Galicyi 53,230.700 franków, w Poznańskiem 29,372.000 franków. Razem 157,748.000 franków. Rezerwy w trzech dzielnicach dosięgły 59,728.000 franków. Kapitałów przeto z udziałami i rezerwami było w kredytowych instytucyach kooperatywnych w cyfrach okrągłych: w Poznańskiem 330 milionów franków, w Galicyi — wraz z kasami oszczędności 621 mil., w Królestwie 473 mil. Ogółem 1.424 mil. — blizko 1½ miliarda. Biorąc ten dorobek w stosunku ludnościowym, widzimy, że najwyższą sumę oszczędności posiada Poznańskie, najniższą Królestwo Polskie. Kooperatywy na Górnym Ślązku w liczbie 19 miały w 1912 roku 36 milionów kapitału polskiego. W zaborze pruskim, gdzie niema polskich banków ludowych, tam wiele oszczędności polskich tkwi w kasach niemieckich i o nich, oczywiście, nic nie wiemy. Główna siła tego dorobku przypada na ostatnie lat 10.

Pokwitowanie. Zarząd główny P. S. W. prosi nas o następujące pokwitowanie:

„Na Polski Skarb Wojskowy — L. K. P. W. rubli 104. Bezimiennie rb. 4, L. P. K. W. rb. 7.50, P. i Ł. przez I. M. rb. 13

WYDAWCA I REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY LEOPOLD TORUŃ.

ODBITO CZCIONKAMI DRUKARNI „PRASA“ WE LWOWIE, ULICA SOKOŁA L. 4.